KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 4/150 1960



• « La Culture » • Revue mensuelle •

Nr 150

SPIS RZECZY



KULTURA

…zkice • Opowiadania • Sprawozdania

…ARYŻ Kwiecień – Avril 1960

…NSTYTUT LITERACKI



NOTA BIOGRAFICZNA

Milo DOR, Serb, ur. w r. 1923 w Budapeszcie. Młodość spędził w Białogrodzie. W czasie wojny brał udział w komunistycznej partyzantce na Bałkanach. Dwa lata obozu koncentracyjnego. Uwolniony przez wojska sowieckie nie wrócił do Jugosławii lecz pozostał we Wiedniu, gdzie, z czasem, zaczął pisać po niemiecku. Pierwszy zbiór opowiadań pt.: ,,W drodze" (*Unterwegs*) wydał w r. 1947. Pierwsza powieść pt. ,,Zmarły na urlopie" (tytuł francuski *Morts en sursis*, Editions du Seuil, Paris) w r. 1952. Druga powieść ,,Nic poza wspomnieniem" (*Nichts als Erinnerung*) ukazała się w Niemczech w r. 1959. Zamieszczone w tym zeszycie opowiadanie pt. ,,Salto mortale" ukazało się w hamburskim tygodniku ,,Die Zeit". Milo Dor jest współpracownikiem pism zachodnio-niemieckich i austriackich (,,Heute") oraz członkiem ,,Gruppe 47".

DALSZE WPŁATY NA DOM " KULTURY "

L. Demby, Salisbury, Wilts (Anglia)	14.00 NF
Z. Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada) ponownie ,,zamiast prenumeraty ,,Głosu Polskiego" w Toronto za rok 1960"	22,50 ,,
C. Fabierkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada)	10,00 ,,
Luta Hersch, Genewa (Szwajcaria) po raz czwarty	10,00 ,,

DZIĘKUJEMY

SPROSTOWANIA

Do poprzedniego numeru ,,Kultury (3/149) *zakradły się dwie nieprzyjemne pomyłki:* 1) *błęd drukarski: mianowicie zostały przestawione strony w artykule Gustawa Herling-Grudzińskiego pt. ,,Z kroniki odwilży": strona* 115 *jest w rzeczywistości stroną* 114, *zaś* 114 — *stroną* 115. — *oraz* 2) *błąd korektorski. Mianowicie w Ankiecie ,,Kultury" p.n. ,,O polski 'model' gospodarczy", na stronie* 2 *artykułu (str.* 90 *,,Kultury"), w* 18 *wierszu od dołu wydrukowano: ,,na II Zjeździe Komunistów Polskich w czerwcu* 1956" — *winno być naturalnie: ,,na II Zjeździe* Ekonomistów *Polskich w czerwcu* 1956".

REDAKCJA

Imprimé en France

Nad Korsyką wieje wiatr od wschodu

DZIENNIK Z DEPORTACJI

Porto, 4 marca 1960 r.

Data mojego dziennika wskazuje, że rozpoczynam go na 11 dni przed przyjazdem premiera Chruszczowa z wizytą oficjalną do Francji. Tymczasem zaś miejsce, w którym ten dziennik zaczynam, wskazuje również dokładnie, że znajduję się na zesłaniu... Tak, na zesłaniu, chociaż jest ono istotnie bardzo przyjemne. W każdym razie dla człowieka, który nawet podczas drugiej wojny światowej nie był ani przez sekundę pozbawiony wolności, sam fakt, że mnie zmuszono do opuszczenia Paryża, jest dotkliwy pod względem moralnym.

Zwłaszcza zaś to ,,zesłanie'' francuskie jest poniżające dla kogoś, kto — tak jak ja — napisał w roku 1944, w Wielkiej Brytanii artykuł, stwierdzając bez ogródek, że nie chce walczyć o taki świat, w którym Francja — podówczas wcale nie najlepiej wychodząca z moralnej i materialnej próby sił — nie zajmie swojego wysokiego miejsca. Stwierdziłem nawet, że w takim świecie żyć nie chcę i walczyć o taki świat nie będę.

No i właśnie w dniu 3-cim marca 1960 roku około godziny w pół do ósmej rano posłyszałem dzwonek. Natarczywy dzwonek, bo oczywiście nie tylko nie śpieszyłem się z otwieraniem, ale nie otworzyłem wcale. Od tego jestem sublokatorem, żebym nie przyjmował gości o tak wczesnej porze.

Zabawa w dzwonienie, w przyjeżdżanie windą na 7-me piętro, zjeżdżanie z powrotem i ponowne wjazdy połączone z natarczywym dzwonieniem trwała do godziny w pół do dziewiątej. Wreszcie moja gospodyni załamała się ,,nerwowo'' i otworzyła. Zapukano do moich drzwi. Odkrzyknąłem z łóżka

,,proszę'' i do pokoju wszedł nieznajomy osobnik. Bardzo uprzejmie poprosił mnie o papiery. Pokazałem, na co mi oświadczył, zatrzymując moją kartę tożsamości, że ,,rząd francuski zaprasza mnie na wakacje na Korsykę''.

Roześmiałem się.

— Przed kilku tygodniami — powiadam — widziałem inspektora Bellemaina, którego prosiłem, aby mi zrobił tę uprzejmość i wpisał na listę deportowanych na Korsykę. Wiedzieliśmy przecież, że uchodźcom, których jedynym obrońcą prawnym we Francji jest urząd francuski, podległy całkiem normalnie francuskiemu ministerstwu, grozi deportacja na czas wizyty Chruszczowa we Francji. Wówczas inspektor Bellemain odpowiedział mi: ,,panu to na pewno nie grozi''.

I oto teraz moja karta tożsamości znalazła się w kieszeni inspektora, którego sprowadzili tajniacy, nie mogąc się do mnie dodzwonić.

— Niech pan nie zabiera dużo rzeczy. Panowie polecą samolotem.

— Zabiorę teczkę i maszynę do pisania.

— Jeżeli nie jest za ciężka.

— Nie, nie jest.

— Ile panu czasu potrzeba na ubranie się?

— Jakieś pół godziny z dodatkiem kilkunastu minut na telefony, bo przecież muszę powiedzieć w radio, że nie przyjdę dzisiaj do pracy.

— Oczywiście. Będę czekał pana na dole.

— Niech pan siada. Pan mnie nie przeszkadza.

— Nie. Dziękuję. Zaczekam na dole.

Krótki telefon do radia, dokąd już przyszli koledzy na przygotowanie porannej audycji, telefon do Wakarów, aby uprzedzili PPS, że nie przyjdę wieczorem na miesięczne zebranie, ogolenie się i byłem gotów.

Na chodniku przed domem czekał na mnie inspektor w towarzystwie jakiegoś policjanta po cywilnemu. Ten drugi był wściekły. I nie dziwię mu się bo stracił na mnie jednego półtorej godziny. A tymczasem ja całkiem otwarcie i jasno postawiłem sprawę, że muszę jeszcze wstąpić do pralni po bieliznę i napić się kawy w sąsiednim bistrze.

— Zaczekamy na pana. Niech pan załatwi swoje sprawunki.

Nie zabrały mi one zbyt wiele czasu. I o godzinie w pół do dziesiątej znalazłem się w komisariacie ,,Gros Caillou'', w 7-mej dzielnicy Paryża, w której mieszkam.

Formalności trwały mniej niż dwie minuty. Uprzejmość wszędzie była wręcz niezwykła. I obok uprzejmości — coś jakby zażenowanie...

Temu też nie można się dziwić. Przecie to jednak Francja.

W komisariacie wskazano mi miejsce, gdzie zostawiłem swoją teczkę i maszynę do pisania, a potem jakiś bardzo młody

policjant powiedział mi, żebym przeszedł nieco w głąb. Siedziało tam już 5 osób. Przedstawiłem się.

— To pan jest Laskowski?

— Tak. To ja.

— Pan gra w bridge'a?

— Ostatnio dawno nie grałem. Ale gram dość dobrze.

— Świetnie. To będziemy mieli partię bridge'a. Nazywam się Bitoński.

Wiedziałem, że p. Bitoński jest jednym z filarów tego odłamu Stronnictwa Ludowego, na którego czele stoi Mikołajczyk.

Bitoński był oburzony.

— Panie, to wszystko można było inaczej załatwić.

— No pewno, że można było.

— Gdyby mi powiedzieli ze dwa dni temu, abym zgłosił się do komisariatu celem wyjazdu na Korsykę, to przecież zgłosiłbym się na pewno i nie spóźniłbym się nawet o pół minuty. Ale miałbym czas przygotować się i uprzedzić moje szwajcarskie pisma, których jestem korespondentem, że nie będę mógł obsługiwać ich podczas wizyty Chruszczowa we Francji. A ja — jak na złość — jeszcze wczoraj rozmawiałem telefonicznie i ustaliłem wszystkie szczegóły. Gdzie teraz znajdą zastępcę? I ile to będzie kosztowało?

Automatycznie zacząłem sobie przypominać własne zobowiązania na najbliższe dnie.

— Czy mogę zatelefonować? — zapytałem bardzo uprzejmego przodownika w pierwszej części komisariatu.

— W tej chwili się zapytam. Chyba tak!

Ale okazało się, że nie.

— Panowie. Wywozicie mnie na Korsykę, a ja mam w Paryżu cały szereg spraw do załatwienia w najbliższych dniach...

— Jasne. Niech pan powysyła kartki pocztowe.

— Dobrze. Ale ja tych kartek nie mam.

— Ile panu potrzeba? Policjant w tej chwili przyniesie.

Za chwilę miałem cztery kartki, które wysłałem tym, komu trzeba. Przede wszystkim jednak Tadzikowi, bo chłopak nie po to przyjechał do mnie z Warszawy, aby żyć w marcu pod mostem. To przecież do mnie należy opłacić mu mieszkanie. Z czego? Normalnie poszedłbym w sobotę do kasy radiowej i wziął pieniądze, zarobione za tygodniówkę przed miesiącem. Teraz nie pójdę. Poza tym zaś w marcu nie zarobię ani grosza, chociaż miał to być dla mnie miesiąc najlepszy, bo praca wypadała niemal codziennie. A przecież jestem płatny od dnia pracy. Nie pracując, nie zarabiam ani grosza. Innymi słowy po zakończeniu zesłania, będę miał miesiąc „pusty", bo od chwili zarobku do chwili wpłynięcia pieniędzy do kasy czeka się teraz w radio od trzech tygodni do miesiąca. Z czego będę żył? I z czego będzie żył Tadzik?

I jakim okiem ten rozkochany we Francji Tadzik będzie patrzył na tutejszą rzeczywistość?

Dochodziła godzina 11-ta, kiedy zachciało mi się napić kawy.

— Czy mogę pójść do sąsiedniej kawiarni na kawę? Mam zamiar tylko napić się kawy. Wrócę w ciągu pięciu minut.

— Niestety — odpowiedział obecny tym razem komisarz.

I zarumienił się. Jak Boga kocham — zarumienił się.

— Jeżeli pan sobie życzy, zrobimy panom kawę, lub przyniesiemy z sąsiedniej kawiarni.

— Czy jesteśmy aresztowani?

— Nie, skądże! Mają panowie jednak wolność ograniczoną.

Młody policjant szybko zapytał, kto z nas chce kawy. Chętnych znalazło się pięciu. Tylko Bitoński nie chciał.

Świetną kawę dano nam za kilka minut.

— Panowie są winni po 30 franków za kawę.

Zapłaciliśmy chętnie, a policjant ,,od kawy'' natychmiast schował pieniądze do pudełka od cygar, gdzie widocznie przechowywany jest fundusz na podobne zamówienia. Słusznie! Bo i cukier i kawę trzeba kupić.

Dopiero około godziny 12-ej przed komisariat zajechał samochód policyjny. Wątpliwości nie było. Jesteśmy więźniami.

W samochodzie — pełno. Dla nas już nie ma miejsc siedzących. Stać także jest trudno, bo już i tak stoi sporo ludzi. W przejściu zresztą złożono również walizki i teczki. Nie przeszkadza to, że jedziemy do innych komisariatów po dalszych uchodźców.

W Paryżu pada deszcz. Ale jest ciepło. Stojąc, nie bardzo widzę przez zakratowane okna jakimi ulicami jedziemy. Muszę pochylać się, aby się zorientować gdzie jesteśmy. Bez tego orientuję się tylko w kierunku, w którym zmierza *panier à salade* (koszyk do sałaty — popularna nazwa samochodu policyjnego w gwarze paryskiej). W jednym z komisariatów zatrzymujemy się na próżno. Nie ma tam ani jednego zesłańca.

W drugim komisariacie czekamy nieco dłużej.

Pochylając się, widzę, że jesteśmy w pobliżu Palais Royal. I widzę równocześnie, że cywilny policjant zapoczątkowuje pochód. Tuż za nim idzie Miecio Biernacki.

A więc będę miał przyjaciela!

Miecio Biernacki wywodzi się politycznie z przedwojennego O.N.R. A więc jest moim zasadniczym przeciwnikiem politycznym. Przepraszam za to nieoględne słowo ,,jest''. Po prostu kiedyś ,,był''. Dzisiaj bowiem wszystko uległo zmianie. Zresztą mniejsza o to. Wystarczy, że jesteśmy od sporej ilości lat w serdecznej przyjaźni. Widząc Miecia, nie mogę nie myśleć o tym, jak to w roku 1944-ym młody podówczas kapitan, czy porucznik zdobył i utrzymał pocztę dworcową podczas Powstania Warszawskiego. Po wojnie osiedlił się we Francji, chociaż mógł dwadzieścia i więcej razy pojechać do Ameryki. We Fran-

cji zaś miał przez pewien czas pieniądze. Potem nie miał. I właśnie wówczas zetknęliśmy się w pracy, będąc po 4 noce w tygodniu nocnymi stróżami pewnej fabryki w Courbevoie. Trwało to krótko, bo po kilku miesiącach już tego nie potrzebowaliśmy. Obecnie Miecio pracuje w zakładach lotniczych, produkujących samoloty na zamówienie wojska francuskiego. Chyba więc władze mogą mieć do niego zaufanie? I na pewno mają. Dlaczego zatem czeka go zsyłka? Czy dlatego samego, co i mnie, zewnętrznego współpracownika Radia Francuskiego od lat 11-tu? Co do mnie zresztą, wiadomo powszechnie, a w Radiu najbardziej, że żyję wyłącznie z bardzo skąpych zarobków radiowych...

— Jak się masz Mieciu, chodź tutaj.

— Serwus Janusz! Dobrze się składa, że jesteśmy razem. Byle by nas nie rozdzielono później.

— Będziemy się o to starali.

— Kto jest ze znajomych?

— W samochodzie z tyłu widziałem tylko Lewandowskiego...

— Jakiego Lewandowskiego?

— Malarza. Artystę malarza.

— A on co ma do ,,wywózki''?

Przed następnym komisariatem staliśmy nie długo. Wyprowadzono stamtąd tylko jednego. Był to Eustachiewicz.

I Miecio i ja i stojący obok Bitoński roześmieliśmy się.

Eustachiewicz był działaczem Stronnictwa Pracy. To nie jest takie stronnictwo, do którego nie trzeba by dodawać jakichś bliższych wyjaśnień. Ma bowiem imponującą ilość odłamów. Otóż Eustachiewicz był w odłamie Karola Popiela. Tego samego, co to z Mikołajczykiem wybrał się po wojnie do Polski i został ministrem jakiegoś tam resortu. Po ,,Poznaniu'' czy może nawet jeszcze przed ,,Poznaniem'' Eustachiewicz wybrał się do Polski, co mu wzięły za złe wszystkie ugrupowania polskie na emigracji, nie wyłączając jego własnego odłamu.

Okazało się, że Miecio i Eustachiewicz skończyli to samo gimnazjum w Lublinie. W dalszej więc drodze gadali ze sobą.

Była to zresztą droga krótka, bo po wizycie (niepotrzebnej) w jeszcze jednym komisariacie wóz policyjny pojechał wprost do dawnego szpitala Beaujon, gdzie obecnie mieści się szkoła policyjna.

Tam nas wyładowano. Policjanci (niezwykle uprzejmie) wskazali nam wejście do dawnej kaplicy szpitalnej. Była ona przedzielona na kilka części. W niektórych zainstalowano biura, w nawie zaś urządzono sypialnię. A pomiędzy prezbiterium i nawą główną umieszczono nas. Siedzieć nie było na czym. Tylko niektórzy mogli to uczynić na stołach, skąpo stojących wzdłuż jednej ze ścian.

— Panowie zaczekają tu chwilę.

Więc czekaliśmy.

Miecio pokazał mi siwiutkiego jak gołąb staruszka.

— Czy wiesz kto to jest? — zapytał.

— Nie wiem.

— To jest Hiszpan. Komunista. Ma 78 lat. Byliśmy z nim w tym samym komisariacie. Facet jest zrozpaczony. Opowiadał mi, że podczas wojny domowej w Hiszpanii republikanie widzieli w Stalinie najwierniejszego przyjaciela i gotowi byli za nim w ogień pójść, bo tylko Stalin im pomagał. I teraz hiszpańskiego komunistę, starca, wywożą, obawiając się, że zrobi zamach na Chruszczowa? A on jest komunistą do tej pory.

W nowym transporcie zobaczyłem p. Kwaśnego, prezesa Związku Robotników i Rzemieśników Polskich im. Józefa Piłsudskiego w Paryżu. Raczej byłego prezesa. Miał wielkie nieprzyjemności, bo nie jest uchodźcą, lecz obywatelem polskim, a ponieważ jest malarzem z zawodu, więc wziął pracę w ambasadzie Polski Ludowej w Paryżu. Praca ta polega na odmalowaniu ścian. Ale tego wystarczyło niezbyt wyrobionej emigracji, aby okrzyczeć prezesa za ,,reżymowego''.

I otóż ten ,,reżymowy'' prezes jedzie teraz na Korsykę.

— Proszę wychodzić trójkami! Idziemy na śniadanie.

Na podwórzu byłego szpitala pada deszcz. Organizacja jest dobra. Czekamy bardzo krótko przed wejściem na małe schodki, którymi wchodzimy na schludny korytarz. Prowadzi on do dostatecznie obszernej sali jadalnej. Obsługa jest bez zarzutu.

Śniadanie?

Bardzo przyzwoite, chociaż skromne. Jest wszystko, czego potrzeba. I nawet smacznie przyrządzone. Każdy dostaje — oczywiście — ćwiartkę wina. Piwo, lub więcej wina można sobie dokupić. Dla mnie to śniadanie jest zbyt obfite. Uśmiech usługujących i ich staranność należy wielokrotnie podkreślić.

Odejście od stołu odbywa się też w sposób przyjemny.

— Przepraszamy panów (wśród nas jest tylko jedna kobieta) — inne grupy czekają, a my musimy jeszcze sprzątnąć salę.

Wychodzimy. Jest godzina 14,30.

Wracamy z powrotem do tego samego pomieszczenia pomiędzy prezbiterium i nawą byłej kaplicy szpitalnej. Już po chwili zaczyna nas przybywać coraz więcej.

Wśród nowych widzę Bolesława Jagiełłowicza. Jest on od wielu lat prezesem Związku Inwalidów. I co tu dużo gadać, gdyby nie on, to z tego polskiego związku byłyby nici. Jest inwalidą francuskim i z tego tytułu ma francuską rentę.

— Kto jest z S.P.K.? — pyta Jagiełłowicz.

Na twarzach bardzo nielicznej grupki polskiej pojawiają się uśmiechy...

— Dotychczas nie widziałem nikogo — odpowiadam.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia widzę rękę kiwającą do mnie uporczywie. Poznaję. Wiktor Junosza-Dąbrowski. Mój kolega z warszawskiego Syndykatu Dziennikarzy jeszcze sprzed

wojny, a obecnie profesor polskiego w emigracyjnym gimnazjum i liceum polskim w Les Ageux. Jest oczywiście nadal dziennikarzem, ale nie ma gdzie pisać.

— Co jest z Paczyńskim? — zapytuję, aby natychmiast wyjaśnić, że — musiał on bardzo wcześnie wyjechać dzisiaj od siebie spod Paryża, i pewno wezmą go dopiero jutro.

— Albo wcale.

— Być może, że jutro nikogo nie wezmą.

— Być może. Wcale nie życzę Paczyńskiemu, aby go przymusowo wywożono.

W głębi ducha jestem przekonany, że go nie wywiozą i że Junosza-Dąbrowski reprezentuje wśród nas tzw. Niezależną Grupę Społeczną. Jest to ugrupowanie podkomendnych gen. Andersa, stworzone dla rozszerzenia bazy i tzw. parlamentarnego oparcia dla generała przed powstaniem Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, której „tymczasowość" trwa dopiero lat... siedem. We Francji „wodzem" tego ugrupowania jest właśnie dr Stanisław Paczyński. Jednym zaś z członków Wiktor Junosza-Dąbrowski, który równocześnie jest członkiem oddziału i prezydium TRJN we Francji. Myślę więc, że Junosza znalazł się w rozdzielniku za całe ugrupowanie i po głowę tego ugrupowania nikt nie będzie sięgał.

— A z S.P.K. nie ma nikogo! — stwierdzają jakby na komendę Jagiełłowicz i b. prezes Piłsudczyków.

— Jak dotąd nie ma.

— Co jest z Zarembą?

— Nie wiem.

— A ja wiem, że po niego przychodzili. Mówił mi Łucki...

— Gdzie jest Łucki?

— Widziałem go na obiedzie. Był z Demideckim.

— A więc jest i Demidecki?

— No tak!

— Z Demideckim i Łuckim jest także Nowosad.

— A jego z jakiego tytułu wzięli?

— Kto to może wiedzieć?

Z tych drobnych szczegółów i z zestawienia nazwisk zaczyna się mimo wszystko rodzić rodzaj zrozumienia klucza, jakim kierowano się przy deportacji.

Rozumowanie musiało być następujące:

1. Francja jest krajem najłatwiej udzielającym azylu. I jest z tego słusznie dumna, bo taka jest wiekowa tradycja francuska.

2. W takich warunkach może się zdarzyć, że azyl otrzymują osoby, które nań nie zasługują.

3. Francja pozwala swobodnie istnieć i działać organizacjom uchodźczym.

4. Te wszystkie organizacje są wyraźnie i zdecydowanie antysowieckie.

5. Mogą więc bez wiedzy władz francuskich urządzić jakieś demonstracje przeciw Chruszczowowi i zakłócić atmosferę rozmów.

Klucz zapewne był następujący:

Aleksander Demidecki jest członkiem Zgromadzenia Narodów Ujarzmionych. Jest równocześnie przewodniczącym francuskiego oddziału polskiej Rady Jedności Narodowej.

Łucki jest chyba najczynniejszym działaczem endecji.

Nowosad jest dobrym mówcą, z którego korzystają po trosze wszystkie organizacje polskie na uchodźstwie. Sympatyzuje z endecją, od której się odżegnuje.

Polską Partię Socjalistyczną reprezentuję ja, jako jej sekretarz generalny we Francji. Głowy tej partii, Zygmunta Zaremby, wśród nas jak dotąd nie widzę. I wiem dlaczego.

Ponieważ widzę, że dziennik zaczyna nabierać charakteru gawędziarskiego, więc kontynuuję w tym duchu. A sprawa jest typowo gawędziarska i dlatego warto ją opowiedzieć.

Zygmuntostwo Zarembowie kupili starą, rozwaloną ruderę pod Paryżem (i to dość daleko), pan Zygmunt zrobił z niej coś w rodzaju pokoju i tam przygotowują sobie przyszłe mieszkanie. Wymaga to pracy stałej. Że zaś Zarembów nie stać na wynajęcie odpowiedniej ilości robotników, więc robią to sami. Wymaga to czasu i trwa już dość długo. W każdym razie Zarembowie kilka dni w tygodniu spędzają nie u siebie w Sceaux, lecz u siebie pod Gambai. 3-go marca wieczorem miało odbyć się zebranie Sekcji Paryskiej PPS. Zarembowie na to zebranie na pewno przyjechali. I na pewno przyjechali po południu. Aresztowania zaś odbyły się przed południem. Zarembów w domu nie było. Oto dlaczego wśród deportowanych nie widzę Zygmunta Zaremby, co wcale nie oznacza, że go nie wywiozą nazajutrz po nas.

Ciekaw jestem kto będzie reprezentował międzynarodówkę socjalistyczną i związkową? Prawdopodobnie Aleksander Skrodzki, który jest sekretarzem generalnym Centrum Wolnych Syndykalistów na Uchodźstwie.

Jeżeli mój klucz jest prawdziwy i jeżeli istotnie odszyfrowałem go, to powinniśmy spotkać jeszcze kogoś z innych stronnictw.

Ach prawda! Jest przecież Bitoński, który reprezentuje ludowców Mikołajczyka.

Powinien jednak być drugi ludowiec. Z odłamu Jedności Narodowej, Stefana Korbońskiego. Kto nim będzie? Piotr Kalinowski, czy Kuzdżał?

Co do innych stronnictw, już wiem, że jest Wiktor Junosza-Dąbrowski z Niezależnej Grupy Społecznej. To powinno wystarczyć i za Grupę i za Ligę Niepodległości.

Jeśli chodzi o NiD, nie sądzę, aby kogokolwiek wywieziono. NiD jest nie stronnictwem, ale ,,ruchem''. To ma swoje zalety.

Policjanci otworzyli właśnie boczne drzwi naszego pomieszczenia, zapytując czy któryś z nas nie chce wyjść do ustępu. Zgłosiło się wiele osób. Wychodzą dwójkami pod strażą jednego policjanta. A więc jesteśmy aresztowani. To nie ulega wątpliwości.

— Nie chcę lecieć samolotem — mówi Bitoński. — Jestem gotów zapłacić sobie sam bilet kolejowy. Mam jako francuski inwalida wojenny 75% zniżki na kolejach. Nie znoszę podróży samolotem. I mam na to zaświadczenie lekarskie.

Jakiś urzędnik zaczyna wywoływać poszczególne nazwiska. Trzeba się przygotowywać do odjazdu.

Wywołano właśnie Bitońskiego, a zaraz po nim Miecia Biernackiego. Wydaje się, że lista sporządzona jest prawie alfabetycznie. Na „C" idą trzej Chińczycy — oczywiście zwolennicy Czang-Kaj-Szeka.

Zbliżam się do urzędnika, wywołującego ciągle jakieś nazwiska. I tu — ku swemu największemu zdziwieniu — widzę Wodiczkę. Jest to Czech, który do 1-go marca pracował w Centrum Wolnych Związkowców na Uchodźstwie. Od 1-go znalazł sobie jakąś inną pracę w firmie prywatnej. A dzisiaj jest 3-ci marca. Ładnie mu się ta nowa praca zaczyna! Pewno po powrocie z Korsyki wyleją go z tego nowego biura.

— Jako se matie Laskowski?

— Dziękuję, a wy?

— Dobrze! Skrodzkiego nie widzieliście?

— Nie!

— Jest tutaj! Ja sem był z nim w samochodu. I Hais też jest!

A więc rozumowanie moje było poprawne. Aleksander Skrodzki, sekretarz generalny Centrum Wolnych Związkowców na Uchodźstwie reprezentuje uchodźczą międzynarodówkę syndykalną. Hais reprezentują ją od strony czeskiej, bo jest tej międzynarodówki wiceprezesem i skarbnikiem.

W tym czasie wywołują Junoszę Dąbrowskiego. Odchodzi z rzeczami.

— Poczekaj — zwracam się do Lewandowskiego — pójdę do ustępu, bo nas pewno też zaraz wywołają.

— Pan dokąd? — zapytuje mnie urzędnik, chociaż mam przy sobie policjanta.

— Do ustępu.

— Niech pan poczeka, zaraz pana wywołają.

Cofam się.

Ale policjant podchodzi do mnie, chociaż odszedłem daleko od drzwi prowadzących na podwórze — aż w przeciwny koniec naszego pomieszczenia.

— Niech pan idzie. Ja pana zaprowadzę. Przecie nie można tak...

Idę. Policjant wyprowadza mnie na podwórze i wskazuje kierunek do ustępu. Sam zatrzymuje się z daleka i czeka.

Wróciłem po chwili, ale już za późno na wywołanie. Odpowiedział za mnie Lewandowski i razem wzięliśmy nasze rzeczy, bo i jego już wywołali.

— Panowie pozwolą tutaj.

W małym pokoiku, przerobionym z prezbiterium kaplicy, na kilku stołach stoi kilka maszyn do pisania, a przy nich nieszczęśliwi urzędnicy męczą się nad wystukiwaniem niezrozumiałych i trudnych dla nich cudzoziemskich nazwisk i miejsc urodzenia.

Moje papiery są już gotowe.

— Oto tu — mówi urzędnik — niech pan podpisze u spodu. Jeszcze raz. I jeszcze. A ten czwarty podpis proszę złożyć pod stemplem z boku. Piąta kopia jest dla pana. Czy pan ma swoje rzeczy?

— Mam.

— To proszę tędy.

I oddaje mnie policjantowi. Za mną idzie Lewandowski pod strażą innego policjanta. Ilu aresztowanych, tylu ich prowadzi policjantów. Zresztą bardzo blisko, bo do sąsiedniego baraku, który jest aż za ciepły i bardzo czysty. Ogrzewanie trochę nieprzyjemne, bo promieniami ultra-czerwonymi, co zapowiada, że trudno nam tu będzie spać przy stałym świetle od ogrzewania w nocy. Ale wszystko razem bardzo porządnie wygląda. Na długim korytarzu stoją łóżka pod zewnętrzną ścianą baraku. Po drugiej zaś stronie korytarza są odrutowane siatką pokoje czy cele, jeżeli ktoś woli tę nazwę. Cele te są otwarte na roścież. W każdej z nich znajduje się po 5 łóżek o bardzo czystych materacach i okrągłych, długich zagłówkach. Na łóżkach leżą po dwa koce i powłoczka na zagłówek. Trzeba stwierdzić, że wszystko jest niezwykle czyste i świetnie utrzymane. Aż przyjemnie spojrzeć.

W baraku witają nas Miecio Biernacki i Bitoński. Ich — po wywołaniu — wsadzili do samochodu policyjnego, przetrzymali dobre pół godziny, a potem prawdopodobnie zdecydowali, że nie mają dokąd wieźć. Podjechali ze 20 kroków przed barak i wyładowali. W tym baraku mamy nocować.

W mgnieniu oka zorganizowaliśmy się we wspólnej celi, obliczonej — jakby specjalnie dla nas — na pięć osób. Ale nie zostaliśmy w celi. Ciekawość wyrzuciła nas na korytarz, aby oglądać wszystkich nadchodzących już po nas.

— A pan co tu robi? — zawołałem, widząc młodego człowieka, którego nazwiska nigdy nie znałem, a który jest Białorusinem spod Baranowicz. Na imię ma Bolesław, chociaż jest prawosławny. Wybitnie porządny chłopak. Pracuje od wielu lat w ambasadzie amerykańskiej w Paryżu. Nieźle zarabia. Ożenił się z Polką i dość często przychodzi do Domu Kombatanta. Był w swoim czasie wywieziony do Sowietów, skąd wyszedł jako żołnierz Armii Polskiej na Wschodzie. Bił się później pod Andersem we Włoszech.

— Czy macie panowie miejsce dla mnie? — pyta Bolek.
— Niech pan lokuje się na korytarzu koło naszej celi.
Ale Bolek dojrzał jakiegoś kolegę — też z wojska od Andersa i też Białorusina, więc poleciał do niego. W międzyczasie zaś we drzwiach ukazał się Nowosad.
Ulokowaliśmy go na korytarzu tuż przed naszą celą.
— Czytaliście nasze ,,wyroki''? — zaczął i roześmiał się. — Skandaliczne.
— No pewno, że skandaliczne.
Zacząłem czytać swój ,,wyrok''.

,,Uważając, że utrzymanie porządku publicznego i decydujące o bezpieczeństwie państwowym względy wymagają wydalenia cudzoziemca z terytorium francuskiego,
,,uważając, iż w jego wypadku należy zastosować artykuł 25 wyżej wymienionego zarządzenia dotyczącego całkowitej szybkości działania,
,,Na propozycję Pana Dyrektora Bezpieczeństwa Państwowego,
,, N a k a z u j ę :
,,*Artykuł* 1-szy — wyżej wymienionemu poleca się opuścić terytorium francuskie.
,,*Artykuł* 2 — Aż do chwili, kiedy będzie on miał możność to uczynić, wyżej wymieniony będzie musiał przebywać w miejscach, które mu wyznaczy prefekt Korsyki na terenie swojego departamentu.
,,*Artykuł* 3 — Prefektowie Policji i Korsyki mają wykonać to zarządzenie każdy w dziedzinie, jaka go dotyczy''.
,,Dan w Paryżu w dniu 27 lutego 1960 r.''.
I podpis: za ministra spraw wewnętrznych...

Przy końcu korytarza zarządzają zbiórkę Węgrów, potem Bułgarów, aby ich usunąć z tego baraku, dokąd napływa coraz więcej ludzi. W naszej grupie robi się cisza. Przykra. Milczę nawet ja, chociaż jeszcze przed godziną, już po aresztowaniu i już po śniadaniu w b. szpitalu Beaujon — szczerze walczyłem z panikarstwem. Jestem zgnębiony. Myślałem, że pod względem prawnym Francuzi znajdą jakiś subtelny wykręt... Nie znaleźli...
Pewno nie mogli... Może czasu nie mieli? Kto wie?
Trudno jest i boleśnie dociekać. Jakto dobrze, że nas właśnie wezwali na kolację.
Na dworze pada deszcz, ale nie jest ulewny, a zresztą kantyna jest blisko. Obiad — świetny. Kupujemy sobie z Mieciem Biernackim butelkę wina poza przewidzianą dla nas porcją, kupujemy kawę i... usiłujemy dowcipkować.
Jak to dobrze, że nie jestem sam. Jak to dobrze jest wiedzieć, że przyjaciele moi czują i myślą tak samo. Wówczas bowiem nie potrzeba nawet mówić o niczym.
Wracamy do naszej celi.
Ale zasnąć nie mogę. Boli mnie ta słabość Francji, która wyda na nas ciężkie miliony franków na Korsyce. Kogo za nie kupi? Nikogo! Ani wrogów, ani przyjaciół. Zrazi natomiast

wszystkich. Nawet sowieciarzy, którzy będą teraz mogli najszczerzej wyśmiewać się z francuskiej tolerancji i szacunku dla wolności. A przecież pomimo naszego aresztowania i deportacji Francja jest tolerancyjna i ma szacunek dla wolności...

Niepotrzebnie to piszę — bo tak może mówić tylko zakochany młodzik, usiłujący tłumaczyć ukochaną nawet, jeżeli wyrządziła mu ciężką krzywdę moralną.

*

Ranek był niezbyt przyjemny. Jeszcze przed godziną szóstą rano jakiś Rosjanin zaczął bardzo głośno rozmowy ze swoimi współtowarzyszami celi. Głos miał donośny, więc wszystkich nas zbudził. A że mnie nic tak bardzo nie wyprowadza z równowagi, jak chamstwo, więc wrzasnąłem na cały barak „ta gueule". Rosjanin zatkał się, ale na bardzo krótko. A o wpół do siódmej obok ultra-czerwonego światła ogrzewania, na korytarzu zapaliły się normalne lampy. Tym razem nie „od ogrzewania", lecz od oświetlenia. Trzeba było wstawać.

Ciekawe, że te schludne i czyściuteńkie baraki nie mają nie tylko łazienek i pryszniców, ale nawet najzwyklejszych umywalni. Myć się więc musieliśmy na podwórzu, gdzie umywalni też nie ma, — są tylko krany z zimną wodą.

W domu nie przyszło mi do głowy, że mogę w drugiej połowie XX-go stulecia potrzebować kieszonkowego lusterka. Okazało się jednak, że tu jest mi ono potrzebne dla ogolenia się. Na szczęście na podwórzu, gdzie zapalono wszystkie latarnie, znalazłem jakiegoś młodego człowieka, który golił się przed małym lusterskiem.

— Czy może mi pan później pożyczyć lusterko?

— Niech się pan goli, to nie moje. Nie wiem nawet czyje.

Zaledwie namydliłem policzki, podszedł do mnie Eustachiewicz.

— Niech mi pan później pożyczy lusterko!

— To nie moje. Niech się pan goli tutaj.

Ale Eustachiewicz odszedł na bok, z nieco obrażoną miną.

— Dajcie mi mydło — zawołał Nowosad. — Zapomniałem ze sobą zabrać.

Omal się nie zaciąłem na te słowa, bo gdyby mi ktokolwiek wczoraj zaproponował zakład, byłbym założył się jeden do dziesięciu, że Nowosad zapomni właśnie albo mydła, albo szczoteczki do zębów! Ale że ja mam zawsze pecha, więc mi nikt takiego zakładu nie zaproponował.

A ja sam, czego zapomniałem?

Pewno nici i igły! I jeszcze czegoś?

No naturalnie — pędzla do golenia. Nawet nie zauważyłem, że mam pędzel Miecia Biernackiego w ręku. Bo że nici i igły zapomniałem, to jest więcej, niż jasne. Natomiast jest więcej,

niż pewne, że nie zapomniałem ani papieru, ani kalki, ani bibułek na kopie.

Tualeta skończona, a na pierwsze śniadanie jeszcze czas, więc zaczynam włóczyć się po podwórzu.

— Hallo, Laskowski — woła do mnie Łucki. — I wy tutaj?

— Jak pan widzi!

Jak to przyjemnie, że wszystkie podziały polityczne pomiędzy Polakami przestały odgrywać jakąkolwiek rolę. Bo przecież Łucki — to najprawdziwszy endek. A ja — socjalista o rodowodzie z lewicy piłsudczykowskiej. Witamy się bardzo serdecznie. Podchodzi do nas Aleksander Demidecki.

— Jakże się cieszę — zaczyna, zwracając się do mnie...

— Nawzajem — odpowiadam.

Śmiejemy się.

— Kto jest z SPK?

— Nie wiem. Chyba nikogo...

Nagle posłyszałem głos z korytarza:

— Monsieur Gordowski.

Wpadłem na korytarz naszego baraku.

— Nie — powiadam — Gordowskiego z nami nie było.

— Widocznie spał w innej sypialni.

Wiadomości rozchodzą się po podwórzu b. szpitala Beaujon lotem błyskawicy. A więc z ramienia SPK jest Władek Gordowski.

To też jest operetka! Władzio Gordowski mieszka we Francji od 40-tu lat. Podczas drugiej wojny światowej był w 2 Dywizji Strzelców Pieszych, tej, która po upadku Francji była internowana w Szwajcarii i dlatego nosi w gwarze emigracyjno-żołnierskiej trochę dowcipną, a trochę uszczypliwą nazwę ,,zegarmistrzów''. Obecnie Władzio Gordowski jest prezesem b. żołnierzy 2 D.S.P. na Francję. Poza tym zaś jest wiceprezesem Federacji Polskich Obrońców Ojczyzny. I pewno tę Federację reprezentuje na deportacji jako kombatant.

Na podwórzu ktoś puszcza dowcip, że Gordowski jest tutaj w zastępstwie Paczyńskiego.

— Nie — poprawia Junosza — w zastępstwie Stasia Domańskiego. Paczyński — to za wysoko.

I zaczynamy się śmiać.

— Czy wiecie — zaśmiewa się Junosza — że Domański nie będzie mógł przeboleć, że go nie wywożą. On gotów sam zgłosić się w komisariacie i poprosić, aby go wywieźli. Bo jakże, — aresztuje się Polaków w obawie o bezpieczeństwo Chruszczowa, a Francuzi aż tak zlekceważyli Domańskiego, że go nie aresztowali? Tego Staś nie przeboleje!

Do śmiejącej się grupy doszlusowuje Aleksander Skrodzki.

— Janusz — wykrzykuje przyjaźnie — i wy tu?

— A i ja.

I na to zbliża się do nas roześmiany i chyba po raz pierwszy w życiu bardzo starannie wygolony Hais.

— Laskowski — serwus!

— Serwus, Hais!

— Ja sem dobre spał.

— A ja nie.

— Ty młody — masz czas się wyspać.

— Niech panowie wracają do baraków.

Rozkaz ten dotyczy tylko naszej grupy. To znaczy tej, która nocowała w naszym — nie numerowanym zresztą — baraku.

Apel mija bardzo szybko i sprawnie. Ale naszej małej grupce przynosi pewną niespodziankę. A mianowicie dzielą nas.

Policjant zabiera Bitońskiego do lekarza w sprawie zastrzeżeń co do jazdy samolotem. Nowosada nie wywołują. Widocznie przydzielony jest do innej grupy. Nasza zaś czwórka: Biernacki, Junosza-Dąbrowski, Lewandowski i ja — jesteśmy nadal razem. Z nami jest też Bolek spod Baranowicz, o którym dowiedziałem się, że się nazywa Dragon.

Pierwsze śniadanie jest więcej niż skromne. Spora porcja czarnej kawy i chleb nie okraszony. Nawet bez powideł czy konfitur.

Nie zauważyłem kto zwrócił na to uwagę. Natomiast dosłyszałem typowo policyjną odpowiedź:

— Pan za to śniadanie nie płaci!

Myślę, że gdyby zwierzchnik tego *flic*'a posłyszał tę właśnie odpowiedź, dałby porządnego sztorca durniowi. Ciągle bowiem — pomimo doręczenia nam formalnych nakazów wydalenia z Francji — policjanci unikają nazywania nas więźniami, czy deportowanymi. Wręcz odwrotnie. Jeszcze wczoraj komisarz przypomniał, że nie jesteśmy traktowani jak więźniowie. Ale — oczywiście — nie chciał rozumieć, że ,,traktowanie'' i stan faktyczny, stan prawny — to są dwie różne rzeczy. Stan prawny nie może nasuwać żadnych wątpliwości: jesteśmy więźniami, administracyjnymi, bo nie sądowymi wyrokami przeznaczonymi na deportację.

— Przepraszamy, że prosimy panów o pośpiech, ale inne grupy czekają. Panowie wezmą swoje rzeczy z baraku!

Odjazd nasz ma w sobie coś z pośpiechu. Jest godzina 8-ma rano. Policjanci biegają nie wiadomo po co, przyśpieszając nas na każdym kroku. A w samochodzie policyjnym znowu jest za mało miejsc. Jest nas 26-ciu. Kilka osób musi stać, bo siedzących miejsc brakuje. Motocyklista w pełnej gali poprzedza nasz ,,koszyk do sałaty'', którym w słońcu wspaniałego dnia przedwiośnia jedziemy przez wspaniały Paryż. Jedziemy głównymi ulicami. Dawny szpital Beaujon mieści się przy ulicy Courcelles. Zjeżdżamy z niej ku arystokratycznemu St. Philippe du Roule, przecinamy w poprzek najpiękniejszą ulicę świata,

jaką jest Aleja Pól Elizejskich i toczymy się ku Inwalidom środkiem pięknej esplanady. Jedziemy w kierunku lotniska Orly.

Nasza grupa jest pierwszą, jaka opuściła dawny szpital Beaujon.

Na lotnisko wjeżdżamy od tyłu, aby nas nikt nie widział. Po co ta ,,subtelność'', tego nikt nie zrozumie. Przecież przechodnie i tak widzieli korowód policyjny.

Na lotnisku jest wyraźnie zimno. Wieje ostry wiatr od wschodu. Psia krew! Że też w mentalności więźnia — jakim jestem — zawsze musi wytwarzać się jakaś symbolika. ,,Wiatr od wschodu''. No pewno, że ,,od wschodu''.

W samochodzie policyjnym obok mnie siedział Rosjanin. Nazywa się Andriejew i mówi po polsku. Ma lat może trzydzieści. Po polsku nauczył się, bo 2 lata był w Polsce.

— W jakim okresie?

— Od roku 1945-go do 1947-go. Bardzo mi było dobrze w Polsce. Byłem żołnierzem armii sowieckiej i biłem się z Niemcami pod Gdańskiem. To były ciężkie walki. I Gdańsk na nich bardzo ucierpiał. A po wojnie byłem nadal żołnierzem sowieckim w Polsce. Później przeniesiono mnie do Niemiec wschodnich i stamtąd zdezerterowałem. To było w roku 1948-ym.

— Co pan robi we Francji?

— Jestem pszczelarzem. Mam sporo ulów. Ale ten rok, który przy wczesnej wiośnie zapowiadał się wspaniale, będzie całkiem stracony. Będziemy na Korsyce prawie do końca marca, a więc właśnie wtedy, kiedy trzeba opatrzeć ule...

Żebyż tylko Zygmunta Zaremby nie wywieźli — pomyślałem. On też jest pszczelarzem i ma kilkanaście uli.

— Powiadają, że rząd francuski wypłaci nam odszkodowanie. Ale jakiego mogę żądać odszkodowania, jeżeli sam nie wiem, jakie będę miał straty? A że je będę miał — o tym wiem na pewno. Nieopatrzone wiosną ule nie dadzą mi nic aż do końca roku i jeszcze nawet na przyszły rok będę odczuwał tegoroczne zaniedbanie.

I tak gadamy marznąc na wschodnim wietrze na lotnisku Orly.

— O której odlatujemy? — zapytuję naszego niezmiernie uprzejmego ,,opiekuna''.

— O godzinie 10-ej. Ale czekamy na jeszcze jeden transport.

Nas jest 26-ciu. Jeżeli liczba ta jest za mała na transport, to znaczy że polecimy lepszymi i wygodniejszymi samolotami. Czy to będą transportowce wojskowe? Znawca tego zagadnienia — Miecio Biernacki — precyzuje: jeżeli będzie nas około 60-ki — to samoloty będą wygodne. Ale jeżeli około 80-ki — to będą zwykłe transportowce wojskowe.

W tej chwili nadjeżdża drugi samochód policyjny, z którego wysiada mniej więcej tyle samo osób, co nas. W tej drugiej grupie znajduje się jedyna przedstawicielka płci pięknej

jaką dotychczas widziałem wśród aresztowanych. Jest nią przewodnicząca stowarzyszenia studentów ukraińskich w Paryżu. Bardzo miła panna, dobrze i chętnie mówiąca po polsku.

Jeszcze chwila, a wielki samolot ruszy powoli sprzed hangarów, aby wolno zbliżać się do nas. Jest już obok. I teraz rozpoczyna się gorączkowy ruch. Na rozbieżnię lotniska wjeżdżać zaczynają samochody. Mechanicy sprawdzają śmigła czterech wielkich motorów, z małej półciężarówki wyładowują prowiant, który znika we wnętrzu samolotu, a po chwili policjanci proszą nas o ustawienie się parami.

Ustawiam się z Mieciem Biernackim i ruszamy z rzeczami w kierunku samolotu.

— Nie zabierajcie panowie walizek, ale ręczne bagaże weźcie panowie ze sobą. Walizki proszę postawić po prawej stronie.

Polecenie wykonano natychmiast. I obsługa natychmiast złożyła walizki w pojemnym wnętrzu samolotu. Ja swoich rzeczy nie zostawiłem. Mam tylko teczkę, a więc ręczny bagaż i maszynę do pisania, a więc też ręczny bagaż. Wchodząc na podstawiony nam trap, dostrzegam tego samego inspektora, który mnie aresztował wczoraj rano w domu.

— Dzień dobry panu redaktorowi — mówi. — A widzi pan, że to trwało krócej, niż wczoraj przypuszczałem. Życzę panu dobrej podróży.

— Dziękuję.

Co do tych wczorajszych przypuszczeń, nie tylko nie pamiętam, aby mi inspektor cokolwiek mówił, ale nawet na pewno wiem, że nie mówił nic, bo jeszcze w dawnym szpitalu Beaujon twierdziłem uparcie, że nas powinni wywieźć od razu — wieczorem. Przede wszystkim dlatego, aby nie robić widowiska za dnia, a po drugie dlatego, aby uniknąć dodatkowych kosztów związanych ze spędzeniem nocy w Paryżu i wyżywieniem w kantynie policyjnej.

Samolot jest bardzo wygodny. Po lewej stronie ma rzędy po dwa fotele, po prawej zaś — po trzy. Zajmujemy miejsca po prawej tuż nad skrzydłem.

Lewandowski leci pierwszy raz w swoim życiu i trochę obawia się, że może będzie chorował. Jemu więc oddajemy „honorowe" miejsce przy okienku, ja siadam w środku, a Miecio Biernacki po mojej lewej. Miłe hostessy podają nam dzisiejsze gazety. Wszyscy ze śmiechem proszą o „L'Humanité".

Proszę o „Le Combat".

Pismo nie milczy. Drukuje wiadomość o aresztowaniach uchodźców, ale od siebie komentarzy nie dodaje. Może podało je już wczoraj. Z prasy wynika, że nie jest zbyt dobrze zorientowana w rozmiarach deportacji, bo wszystkie pisma podają inne liczby deportowanych. Niektóre wymieniają Polaków na pierwszym miejscu, inne Węgrów. A w gruncie rzeczy ani jedne, ani drugie nie mają racji. Bo najliczniejsi są Ukraińcy. Po

nich idą Węgrzy. Tak przynajmniej mi się zdaje z obserwacji w szpitalu Beaujon. Ta obserwacja jednak może nie być ścisła, bo nie wiem kogo aresztowano w miastach prowincjonalnych. Na przykład w Lyonie i w Grenoble. Wśród więźniów mówi się, że tam przeważają Węgrzy. To może być prawdą, bo i w Lyonie i w Grenoble studiuje wielu studentów węgierskich, których Francja wspaniałomyślnie przyjęła po narodowym Powstaniu Węgierskim w roku 1956-ym.

Na stronie 5-ej „Combat" tłustym drukiem, w ramkach, zamieszczono krótką, ale wymowną wzmiankę. Senator z okręgu Seine Maritime, p. Jean Lecanuet złożył pisemną interpelację do ministra spraw wewnętrznych w sprawie naszego internowania. „Jak pan godzi zasady świętego prawa azylu należnego cudzoziemskim uchodźcom we Francji z zastosowaniem deportacji, która ich spotyka podczas pobytu pana Chruszczowa we Francji".

Interpelator zapytuje ponadto ministra spraw wewnętrznych „jakimi powodami kierował się zarządzając te środki w wypadkach, kiedy dotyczą one osób, których przeszłość i obecne zachowanie się dają gwarancję przyjaźni dla Francji, podporządkowania się jej prawom, głębokiego poszanowania porządku publicznego, przywiązania do demokracji i które nie dopuściły się żadnego innego występku, jak tylko tego, że zostały pozbawione przez p. Chruszczowa prawa życia w swojej ojczyźnie, jako ludzie wolni".

— Junosza — zwracam się w tył, powstając z fotela.

Junosza siedzi o dwa rzędy za mną.

— „Le Combat" strona piąta.

Rzucam Junoszy „Le Combat".

Junosza odwzajemnia mi się, rzucając „Le Figaro".

— Strona ósma.

Czytam bardzo prawdziwy i dobry artykulik Jean Jacque'a. Artykuł jest bardzo mocno zbudowany w oparciu o elementarne zasady prawne, które obowiązują we Francji...

Tuż pod artykułem, ujętym również w ramki, „Le Figaro" zamieszcza drobnym drukiem protest Związku Pisarzy. Brawo!

To jest jednak nieśmiertelna Francja, gdzie bezpodstawne aresztowanie nawet mieszkańców drugiej kategorii, jakimi uczyniono uchodźców od wczoraj, nie mogą minąć bez echa!

Dochodzi południe. Samolot leci równiutko. Pod nami chmury zasłaniają widok. A szkoda, bo przecie tu gdzieś w pobliżu muszą być Alpy, a wśród nich moja ukochana Grenoble, w której za młodu uczyłem się prawa.

Hostessy zaczynają o dwunastej podawać śniadanie. Rozstawiamy swoje stoliki przed fotelami. Śniadanie jest wręcz świetne, chociaż zimne. Ale to we Francji znacznie drożej kosztuje. Nie żałowano więc pieniędzy na tę absurdalną operację. Nasza deportacja będzie na pewno kosztowała skarb

francuski więcej, niż 300 milionów franków, przewidzianych na wizytę Chruszczowa w budżecie. Szkoda, że tych pieniędzy Francja nie przeznaczyła na Rok Uchodźczy! Wydatek byłby bardziej celowy.

— Morze! Widzicie morze? — woła Lewandowski.

— Jakie tam morze! To pewno dopiero Rodan — stwierdzam.

Ale nie mam racji. Jesteśmy na wybrzeżu Morza Śródziemnego, a za pół godziny wylądujemy na lotnisku w Ajaccio.

Przed hangarem lotniczym stoi szereg autokarów. A więc już nie samochody policyjne dla więźniów, ale autokary. Jakiś młody urzędnik o bardzo przyjemnej powierzchowności załatwia formalności bez pośpiechu. Atmosfera na Korsyce jest całkiem inna, niż w Paryżu. Po pierwsze nikt się nie śpieszy, a po drugie władze idą nawet tak daleko, że każdy z nas sam zabiera swoją kartę tożsamości. Ma to być symbol naszej wolności.

Niestety tylko symbol. Bo oto...

W pierwszym autokarze jest niemal pełno. Dlaczego nie odjeżdżają — nie rozumie nikt. Grubawa paniusia z Francuskiego Czerwonego Krzyża podaje więźniom siedzącym w autokarze, bułki z masłem i szynką i piwo w butelkach. Oczywiście w otwartych butelkach, bo skądże więźniowie mają mieć przyrządy do otwierania butelek?

Właśnie w tym pierwszym autokarze siedzi przy oknie Łucki z Nowosadem. Oni wyjechali ze szpitala Beaujon po nas, ale startowali z Le Bourget, a nie z Orly i opuścili Paryż już o godzinie 9,30. My zaś o 10,30. Dlatego pomimo to, że byliśmy pierwszą grupą, jaka ruszyła z dawnego szpitala Beaujon, na Korsyce wylądowaliśmy jako grupa druga. Oprócz Nowosada i Łuckiego w tej grupie jest Aleksander Skrodzki i Bolesław Jagiełłowicz. Jest też Kuzdżał. A więc moje rozumowanie było słuszne, bo mi ciągle brakowało przedstawiciela Stronnictwa Ludowego z odłamu Jedności Narodowej.

Ale zostańmy przy autokarze.

Więcej niż jasne jest, że nas interesuje dokąd jadą nasi koledzy i przyjaciele. Toteż zbliżamy się do nich.

— Dokąd jedziecie? — pyta mnie Nowosad.

— Jeszcze nie wiemy.

—Nas wiozą do Ile Rousse.

— Postaram się, aby nas też tam wywieźli, jeżeli mają miejsca i jeżeli miejscowość jest ładna.

— Podobno wszystkie są ładne.

— Podobno tak. Dobrze, że wiem dokąd was wywożą. Będziemy trzymali kontakt.

Słońce korsykańskie jest ciepłe, a dzień wspaniały. Żadnej chmurki na niebie. Tylko, że to słońce jest poza hangarem. W pobliżu więc mamy cień. Autokar stoi już tam, gdzie cień hangaru nie sięga. A więc w słońcu. A ja kocham słońce. I chociaż właściwie nie mamy sobie w tej chwili nic do powie-

dzenia ani Łucki, ani Nowosad, ani ja — stoję przy ich autokarze, bo mi po prostu jest dobrze na słońcu.

Przodownik policji przechadza się w słonecznym pasie na granicy cienia.

— *Faites les réculer* — zwraca się do żandarma.

— *Messieurs, réculez, s'il vous plait.*

Z własną kartą tożsamości, oddaną mi symbolicznie na znak, że jestem wolny, muszę się cofnąć, abym nie zapomniał, że to był tylko gest. Gest bez pokrycia w rzeczywistości życiowej.

W hangarze wybucha awantura. Młody i bardzo sympatyczny urzędnik jest właśnie w trakcie przydzielania więźniów do poszczególnych punktów internowania na Korsyce. Robi to dobrze, spokojnie i prawdopodobnie umyślnie wolno. Właśnie wywołał jakieś nazwisko.

Noszący to nazwisko znajduje się po drugiej stronie prowizorycznie zainstalowanych ławek, które mają być rozgraniczeniem kilku grup więźniów. Jest nim Serb, a może Kroat.

— Ja się nie dam oddzielić od moich przyjaciół — woła histerycznie Słowianin.

Obrzydliwy widok!

A tu Słowianin rzuca małą walizkę ręczną o pseudo stół, przy którym spokojnie urzęduje młody urzędnik z gabinetu prefekta Korsyki.

Mnie aż ponosi. Bo co jak co, ale takiego braku godności więźnia, mającego za sobą znakomity atut bezpodstawnego aresztowania wbrew wszelkim, elementarnym prawom człowieka, nie wolno tak marnować histerycznym wybuchem bez uzasadnienia.

A urzędnik z największym spokojem, pod którego płaszczykiem kryje się słuszne oburzenie, zwraca się:

— Niech pan przejdzie na tę stronę i stanie obok Andrejewa w kącie sali. Chcę dokonać podziału narodowościowego. Niech pan stanie obok pana Andrejewa.

— Nie pozwolę, aby mnie oddzielono od przyjaciół.

Ciężko jest panować nad sobą. Zwłaszcza zaś człowiekowi młodemu. Ale urzędnik z gabinetu prefekta Korsyki panuje nad sobą znakomicie. Tylko przesadny spokój zdradza, jak bardzo musiał się wziąć w ryzy.

Ktoś z więźniów doradza urzędnikowi, aby zmienił zasadę i jako pierwszy punkt podziału zastosował oddzielenie Serbów od Kroatów. To wydaje się słuszne, bo w hangarze uspakaja się natychmiast.

Młody urzędnik z gabinetu prefekta Korsyki zaczyna pytać poszczególnych reprezentantów narodowościowych, czy chcą jechać razem z tą czy inną narodowością.

— Kto chce jechać z Kroatami?

— My — pada ze strony Ukraińców.

Obok mnie stoi Bolek Dragon, żołnierz polski z 2-go Kor-

pusu generała Andersa. W tej chwili odsuwa się ode mnie i szlusuje do Ukraińców. Bolek jest Białorusinem, obywatelem polskim oczywiście i prawnie ma zupełnie słusznie papiery uchodźcy polskiego. Jednak idzie do grupy ukraińskiej. Nie boli mnie to, bo mam najserdeczniejsze sympatie zarówno dla Ukraińców, jak i dla Białorusinów, ale nie wiedziałem, że białorusko-ukraińska więź jest silniejsza niż białorusko-polska.

— Z jaką grupą narodowościową chcą jechać Polacy?

— Polakom jest to całkiem obojętne — odpowiadam w imieniu naszej grupy. — Pojedziemy z każdą grupą i z każdą narodowością. Te rzeczy nie grają dla nas żadnej roli.

— Czy panowie chcą jechać z Ukraińcami i Kroatami?

— Chcemy z Ukraińcami.

Jeden z kolegów mówi mi, że może by z Gruzinami, albo Węgrami. Odpowiadam, że nie wydaje mi się możliwe wysuwać jakiekolwiek zastrzeżenia lub dezyderaty. Chcę być więźniem — z podniesioną głową.

Wszyscy podzielili moje zdanie.

— A więc Polacy, Ukraińcy i Kroaci jadą do Evisa.

Po chwili urzędnik zawiadamia mnie, że Polacy jadą z Ukraińcami i Kroatami do Porto.

— Gdzie to jest?

— Nad morzem.

— Dobrze, pojedziemy do Porto. Mamy między sobą malarza, więc dla niego byłoby pożyteczne, abyśmy się znaleźli w malowniczej okolicy...

Zdanie to słyszy bardzo wytworny pan niewielkiego wzrostu i bardzo starannie ubrany.

— Porto jest jednym z najpiękniejszych zakątków Korsyki. Leży nad samym morzem i jest otoczone górami. Który z panów jest malarzem?

Wskazuję mu Lewandowskiego.

— Bardzo panu radzę kilka pobliskich wycieczek. Zresztą sama droga będzie tak ładna, że pan będzie wiedział co należy zobaczyć.

Wdajemy się w sympatyczną rozmowę. Naszym rozmówcą jest prefekt Korsyki.

— My panów traktujemy jak turystów. Zapewniam was, że nie będziecie mieli żadnej cenzury listów, żadnych zakazów i nakazów. Jedyną rzeczą przymusową będzie apel trzy razy dziennie. Rano, w południe i wieczorem. Ale na pewno będziecie panowie mogli załatwić sobie z waszym opiekunem sprawę zbiorowych, czy indywidualnych wycieczek. Ta wyspa jest naprawdę wyspą Piękna i warto ją poznać. Panowie będą umieszczeni w najlepszych hotelach, jakie zdołaliśmy uruchomić pomimo martwego sezonu. Robimy wszystko, aby panowie nie mieli możności narzekać na cokolwiekbądź.

My to zresztą wyraźnie widzimy. Na Korsyce zasadnicza różnica jest ta, że Paryż chciał się nas jak najprędzej pozbyć.

Korsyka zaś przyjmuje nas serdecznie, jako ofiary słabości swojej ojczyzny. A oznak słabości własnego kraju nikt przecież nie lubi. Oto dlaczego prefekt Korsyki tak długo, serdecznie i miło z nami rozmawia.

— Przecież my wszyscy wiemy, że żaden z panów z wyjątkiem może dwóch lub trzech nie jest zdolny do żadnego zamachu na Chruszczowa...

— Jeżeli będzie zamach, to go dopuści się Jeune Nation, skrajnie prawicowa organizacja młodzieży francuskiej... — wtrącam.

— Oczywiście. asz urlop na Korsyce...

— Internowanie — poprawiam.

— Dlaczego pan tak stawia sprawę? To nie jest całkiem słusznie.

— Ja na francuskim uniwersytecie nauczyłem się definicji prawnych, panie prefekcie.

Prefekt pochyla głowę. Cóż może odpowiedzieć?

Formalności szybko dobiegają końca.

Lewandowski i ja odchodzimy pod nadzorem żandarma do restauracji dworca lotniczego. Muszę kupić sobie papierosy. Przy tej okazji stwierdzam nie bez zdziwienia, że papierosy francuskie na Korsyce kosztują taniej, niż w Paryżu.

— Dlaczego?

Po powrocie do hangaru prefekt Korsyki wyjaśnia mi, że ta wyspa korzysta jeszcze od czasów Napoleona z przywileju skasowania cła na wyroby tytoniowe. Przywilej ten pozostał w mocy aż dotychczas.

W autokarze podają nam również bułki z szynką i po butelce piwa z browaru Champignolles pod Nancy. Dobre piwo. Ale czyżby na Korsyce nie było browaru, że trzeba aż z tak daleka — z Lotaryngii — sprowadzać piwo?

Prefekt wsiada z nami do autokaru, aby nam złożyć życzenia przyjemnej podróży i dobrego pobytu na Korsyce. Jest to drobny gest, który zresztą świetnie pasuje do tego wybitnie miłego człowieka, zdradzającego każdym ruchem i słowem wysoką klasę ludzką.

I ruszamy. Jedziemy do Porto, gdzie właśnie kończę pierwszą część swego dziennika więźnia.

Słońce wiosenne jest wspaniałe. Znad morza podniosła się muślinowa tkanina mgiełki porannej i teraz morze lśni silnym błękitnem. Lekka fala rozbija pianę morską o skały, otaczające malutką zatoczkę, zakończoną rybackim portem. Trzeba pójść na pocztę. Dzisiaj jest sobota i listy z Porto już nie odejdą.

Wybieramy się z Junoszą najpierw do praczki, aby jej oddać brudną bieliznę, a potem na pocztę do Ota. Drogowskaz wskazuje 4,6 km.

To nie szkodzi. Spacer będzie przyjemny i dobrze jest się przejść.

Opuszczając Porto, będące wyłącznie wioską turystyczną, spotykamy jakichś dwóch czarnych chłopców o wielkich ognistych oczach. Mówią nam ,,bon jour, Messieurs''. Odpowiadamy uprzejmym ,,dzień dobry''.

Po chwili doleciał nas głos tych chłopców:

— To są deportowani uchodźcy...

A więc jednak deportowani, a nie turyści!

Jakże to dobrze, że młodzi chłopcy z zabitej deskami korsykańskiej wioski mają trzeźwe spojrzenie na świat.



Dzisiaj mamy niedzielę. Sobota minęła pod obstrzałem dziennikarzy. Niektórzy też usiłują nam wytłumaczyć, że nie jesteśmy deportowanymi. Ale trafiają źle, bo na mnie!

Zresztą Ukraińcy zajmują identyczne z nami stanowisko w sprawie zasadniczej i nie mamy nawet najmniejszej potrzeby uzgadniania tego, co mówimy dziennikarzom. Każdy mówi, co chce i co uważa za stosowne.

Po drugiej stronie ulicy, w hotelu ,,La Mediterranée'' mieszka więcej internowanych, niż u nas. Ponieważ na zesłaniu w Porto mamy dwóch księży, więc już od wczoraj wieczorem wiemy, że na tarasie hotelu ,,Mediterranée'' odprawią dzisiaj dwie msze. Wypada być. Idziemy całą grupą na pierwszą mszę. Zaczyna się dość punktualnie o godzinie 9-ej. Na mszy spotykam Wodiczkę, który mieszka w ,,Mediterranée'', oraz poznaję polskiego studenta z Paryża! Dużo się o nim mówiło, a nie znał go dosłownie nikt z nas. Chłopak nazywa się Jan Rygier i pochodzi z Zakopanego. Mieszka w jednym pokoju z Wodiczką, który wystawia mu dobre świadectwo.

Rygier studiuje dekorację wnętrz. Przyjechał z Polski zaledwie przed 2-ma laty. Z mojej pierwszej z nim rozmowy wynika, że młody człowiek unika w Paryżu polskiego towarzystwa, chcąc z jednej strony wejść we francuskie (najtrudniejsze na świecie), a z drugiej w pełni opanować język francuski. Paryżem i Francją jest zachwycony, w czym nie ma nic dziwnego. Dlaczego więc wybór władz deportujących padł na niego?

Rygier nie jest w żadnym wypadku przedstawicielem polskich studentów uchodźczych. Co więcej — niemal ich nie zna.

Do mszy służy b. minister litewski Turauskas. Odprawia zaś ją ksiądz kroacki — Dominikanin, Teodor Dragun, autor sporej książki o kardynale Stepinaczu. Przed ewangelią Turauskas odczytuje list św. Pawła do Koryntian. Znakomicie wybrany list o walce z niesprawiedliwością, krzywdą i prześladowaniami, w której jednak zwycięży sprawiedliwość. Msza spokojnie dobiega końca i rozchodzimy się.

Obiad jest dobry — jak wczoraj! Pewną inowacją jest fakt, że za butelkę wina (trzy czwarte litra) płacimy od dzisiaj nie 400 franków, lecz 250. Podobno jest to koszt własny gospo-

darza hotelu. Ale i to pewno nieprawda, bo ten gospodarz ma na Korsyce nie tylko swoje winnice, ale swoje rozlewnie. I nie chce dawać do posiłków wina stołowego, a jedynie własne, które uważa za ,,gatunkowe''. Skutek jest ten, że w piątek wieczorem nie mieliśmy w ,,Idealu'' wina do kolacji, a wczoraj płaciliśmy po 400 franków za butelkę, jeżeli ktoś chciał pić. Ze swojej strony nie wyobrażam sobie, aby władze francuskie nie przewidziały dla nas chociażby po ćwiartce wina do każdego posiłku. Mamy więc tu do czynienia z wyraźnym nadużyciem ze strony właściciela hotelu. Bierze on od władz francuskich aż 2.700 franków dziennie od osoby za mieszkanie i jedzenie. W tej cenie wino zmieścić się nie tylko może, ale musi. Dlaczego się nie mieści?

Nasz opiekun, komisarz Michel Jeune, zapowiedział wczoraj, że doszedł z gospodarzem do porozumienia w sprawie wina. Wynik tego porozumienia — to właśnie butelka za 250 franków. Przy okazji dodam tutaj, że w sklepach ,,Nicolas'' w Paryżu płacę za bardzo dobre Beaujolais z roku 1959-go zaledwie 230 franków za butelkę. A to korsykańskie jest o wiele gorsze.

Po obiedzie przybiega do mnie Janek Rygier z ,,Mediterranée'', wzywając do telefonu. Dzwoni Aleksander Demidecki.

— Jak tam u was?

— Dobrze!

— Macie ciepłą wodę?

— Mamy!

— U nas jest zimno jak cholera i wody ciepłej nie ma. Jesteśmy w Evisa z Gordowskim. Oprócz nas jest jeszcze dwóch Polaków. Ilu Polaków jest w Porto?

Pytanie to właściwie jest bardzo proste, ale odpowiedzi prawdziwej dać nie mogę. Bo oto jak przedstawia się sytuacja. Większość Ukraińców miała w swoim czasie obywatelstwo polskie. Figurują więc całkiem słusznie i oficjalnie jako uchodźcy polscy zarówno we francuskim urzędzie opieki nad uchodźcami i bezpaństwowcami, jak też i na listach osób deportowanych. Ale czują się Ukraińcami lub Białorusinami, a nie Polakami. Dlatego też odpowiadam Demideckiemu, że jest nas 5-ciu. Czterech w ,,Idealu'' i jeden w ,,Mediterranée''.

— Zrobiłem interwencję o przeniesienie mnie do Porto. Oczywiście razem z Gordowskim. Czy pan może poprzeć ze swojej strony i czy ta interwencja może być skuteczna?

— Myślę, że tak. Mamy dobre stosunki z tutejszym komisarzem.

— My też. To dobrze. W każdym razie niech pan ze swojej strony interweniuje.

— Oczywiście! Gdzie jest Łucki?

— Łucki, Kuzdżał i Skrodzki są w Ile Rousse, ale nie znam nazwy ich hotelu. Komisarz obiecał mi, że w ciągu dwóch dni poda adresy i telefony osób, które mnie interesują.

— Dobrze. Kto jest z innych narodowości?

— Turauskas. Ale mieszka w innym hotelu, niedaleko od nas.



Wspaniała aleja euliptusowa łączy ,,centrum'' Porta z naszym luksusowym'' osiedlem nadmorskim, z plażą i rybackim porcikiem. Aleją włóczą się zastępy zesłańców, nudząc się ,,luksusowo''. Przeważa młodzież: Węgrzy, lub Kroaci, część z nich to być może Serbowie. Wśród innych narodowości nie ma młodzieży.

Rozmawiam z Bolkiem półgębkiem, bo plącze mi się za wiele myśli po głowie. Myśmy się już aż tak zestarzeli, że nawet powojenna emigracja polska jest stara! Podobna do rosyjskiej i starsza od ukraińskiej. Z Gruzinami i Rosjanami stanowimy tę samą mniej więcej granicę wieku, a więc czy jesteśmy emigracją ,,wykończoną''? Czy zostaje tylko i wyłącznie droga osobistej twórczości poszczególnych ludzi?

Myśl ta od bardzo dawna nie jest mi obca. I spowodowała niejedną bezsenną noc, powracając tysiące razy.



Porto, dn. 7 marca 1960 r.

Junosza budzi mnie nagłym otwarciem okna. Świeże, ostre powietrze wpada do pokoju. Leżąc jeszcze w łóżku widzę, że niebo jest znowu błękitne.

Do diabła! Od czasu, kiedy zakończyłem wojnę jako korespondent wojenny Polskiej Marynarki Wojennej nigdy nie zwracałem tyle uwagi na pogodę, co teraz. Cóż mnie w Paryżu obchodził deszcz? Trochę prędzej dochodziłem do stacji metra i to wszystko. Tutaj zaś pogoda gra rolę zasadniczą. Koledzy moi nudzą się. Nie umieją znaleźć sobie zajęcia. Tylko Rosjanin, który jest wśród nas umie zawsze znaleźć sobie coś do roboty. Od pierwszej chwili zajął się praniem bielizny, potem wynalazł jakieś świetne i bardzo wysokie trzciny, z których zrobił sobie wędkę. Ale próbując bez powodzenia łapać ryby w morzu, postanowił szukać szczęścia w rzeczce. Wszystko wskazuje, że tam muszą być pstrągi. A Korsyka jest gościnna i dba o ,,turystów'', z których żyje, nawet jeżeli są nimi deportowani. I dlatego wolno nam łowić pstrągi pomimo, iż zasadniczo jest jeszcze na to za wcześnie. Pogoda jest dobra... to grunt. Pewno dzisiaj dostaniemy już pierwsze dzienniki, które coś o nas napiszą. W sobotę mieliśmy tylko te pisma, które czytaliśmy w czwartek w szpitalu Beaujon w Paryżu, albo w piątek w samolocie. Pisma przychodzą do Porto dopiero po godzinie 19-ej. Dla nas jest to sprawa dość ważna, a jeszcze ważniejsza jest sprawa odchodzenia poczty. Odchodzi ona do

Ajaccio z najbliższego urzędu pocztowego w Ota — o 5,5 km. od nas — o godzinie 7-ej rano, a z Ajaccio dopiero po południu. Oczywiście tylko raz dziennie. Musimy więc po południu chodzić 11 kilometrów (w obie strony), aby nadać nasze listy tak, by odeszły z Korsyki następnego dnia.

W sobotę byłem na poczcie, skąd wysłałem pierwsze strony mego dziennika do „Kultury". W Maisons Laffitte dostaną ten maszynopis dopiero we wtorek. Odpowiedź od Giedroycia mogę mieć najwcześniej w piątek.

Poczta jest sprawą bardzo ważną. I już daje się tutaj we znaki. Nawet Bolek chodzi dzisiaj mętny.

— Co ci jest?

— Psia krew! Nie mam żadnej wiadomości z domu...

— Jakże więc chcesz, aby ci żona odpowiedziała na list, jeżeli dostanie Twój adres najwcześniej jutro?

Bolek nieco się uspokaja. Ale nie zupełnie. Coś go dręczy „od wewnątrz". Nie jego jednego.

Dochodzą też do mnie pierwsze narzekania na sprawy, na które w ogóle nie zwróciłem uwagi.

— Czy pan zauważył, że dostajemy bardzo mało masła na pierwsze śniadanie?

— Mnie wystarcza.

— A ja kupię sobie masła, bo mnie nie wystarcza. W innych hotelach dają więcej. I wino dają. Tylko w naszym hotelu niczego nie ma.

Niestety to jest prawda. I prawdą też jest, że nasz hotel jest najdroższy. Osobiście wolę „La Mediterranée", ale komisarz francuski na całe osiedle zesłańców w Porto mieszka w „Idéalu" więc widocznie władze uznały, że to jest hotel najlepszy.

Z drugiej strony właściciel „Idéalu" jest stanowczo najmniej sympatyczny ze wszystkich hotelarzy. Na przykład kwestia papierosów.

Odległość od hotelu do pierwszego biura sprzedaży tytoniu wynosi około kilometra. I dlatego np. w „Mediterranée" właściciel nabył odpowiednią ilość papierosów. Internowani w tym hotelu mogą więc je kupować na miejscu i nie muszą — jak my — ganiać po dwa kilometry w obie strony. Już raz prosiłem gospodarza, aby miał papierosy. Bez skutku.

Dzisiaj przychodzę do wniosku, że popełniłem nietakt. Gospodarza hotelu o nic więcej nie poproszę. Myśmy nie powinni w ogóle mieć żadnych dezyderatów, ani z gospodarzem żadnych innych spraw, jak zamówienie czegoś przy barze i zapłacenie natychmiast. Od wszystkiego innego jest komisarz. Gdybyśmy byli turystami, mielibyśmy prawo wymagania najrozmaitszych świadczeń, ponieważ jesteśmy internowani, więc możemy jedynie komisarzowi sugerować... Nic więcej!

Dzielę się tą uwagą z przyjaciółmi z grupy polskiej. Wszyscy przyznają mi słuszność i taktyka zostaje ustalona.

Ale Ukraińcy stawiają sprawę inaczej. Jeden z nich — sympatyczny Lewickyj — zapytuje mnie, czy Polacy zbojkotują wino?

— Dlaczego?

— Dlatego, że 250 franków za butelkę to za drogo. Gospodarz powinien dawać nam po ćwiartce wina do każdego posiłku, bo mu władze za to na pewno płacą.

— Czy panowie rozmawiali z komisarzem?

— Nie.

— To niech panowie porozmawiają. On powinien wiedzieć. To władze a nie panowie, zawierały z hotelarzem kontrakt...

— Tak. Ale mniejsza o to. Chciałem wiedzieć, czy Polacy będą się z nami solidaryzowali. Niech mi pan powie o tym po porozumieniu się z kolegami...

— Ja bez porozumienia z kolegami odpowiadam w imieniu grupy polskiej, że będziemy się solidaryzowali z waszymi uchwałami, ponieważ jesteście większością w naszym hotelu. Ale osobiście jestem innego zdania i sądzę, że nie macie panowie racji.

— Dziękuję.

Przy najbliższym posiłku nikt nie zamówił wina przy żadnym ze stołów.

Komisarz to zauważył. Ale nie poruszał tego tematu w ciągu dnia.

Po południu przyszli do nas Demidecki z Gordowskim. Dla nas to jest wielkie urozmaicenie. Bo obaj mają żywsze kontakty, mając po prostu więcej pieniędzy. Gordowski dzwoni do Paryża codziennie. Prawda, że w sprawach osobistych. Ale prawda też, że mu zawsze w Paryżu opowiedzą o wrażeniu, jakie tam wywarła nasza deportacja na Korsykę. A to nas wszystkich interesuje.

Władek Gordowski przypomina, że telefonował zaraz po aresztowaniu do Mariana Czarneckiego, aby mu powiedzieć o tym, co zaszło.

— I do nas nikt nie przyszedł w Beaujon...

Nie spodziewałem się, że właśnie Demidecki powie:

— To byłby już naprawdę cynizm. Z jakimi minami mogliby do nas przyjść?

Uwadze tej towarzyszy milczenie, zakwaszone moim bardzo szczerym uśmiechem.

Następnie Demidecki i ja — rozmawiamy we dwójkę. Temat jest poważny i ważny, mianowicie czy nasze nazwiska będą podane do wiadomości sowieckich lub polskich czynników komunistycznych.

— Czy komuniści będą znali nazwiska tych deportowanych, które władze francuskie na „wszelki wypadek” dodały do listy sowieckiej?

— Przypuszczam, że nie.

Ale sam fakt, że deportowano tych, którzy się znaleźli na listach sowieckich dowodzi, że komuniści znają sporo naszych nazwisk.

— I co z tego?

— A to, że teraz, jeżeli ktoś z Polski będzie utrzymywał z nami kontakt listowny, może być narażony na nieprzyjemności w Polsce...

Ta sprawa wydaje się całkiem oczywista. I znowu budzi mnóstwo zastrzeżeń.

Sięgnijmy pamięcią wstecz do dalekiej przeszłości. Jakże cieszyliśmy się wszyscy wespół z Francuzami, kiedy po wydarzeniach poznańskich rozluźniła się Żelazna Kurtyna. Ileż to razy mówiliśmy — zachwyceni — że nareszcie Polacy będą mogli łatwiej przyjeżdżać na Zachód. I rzeczywiście — w latach 1957-1959 wielu Polaków przewinęło się przez Paryż. Wycieczki studenckie, wymiana młodzieży, przyjeżdżającej tu na winobranie, indywidualne przyjazdy do rodzin — to wszystko było na porządku dziennym i ułatwiało zaznajamianie się Polaków z Zachodem.

Młode dziewczyny, dorosłe i starsze panie, jacyś chłopcy niemal nieletni, młodzi ludzie i starsi mężczyźni zachwycali się, jak ósmym cudem świata wcale nie luksusowymi wystawami, ale najzwyklejszymi sklepami ,,Prisunic'ów'', rozsianymi po wszystkich dzielnicach Paryża. Tym przyjezdnym z Polski luksus zachodni nic nie mówił. Przemawiał do nich fakt, że każdy może nabyć tyle par pończoch czy skarpetek ile zechce, wybierając kolory, jakie mu się podobają.

Przyjeżdżających z Polski urzekała przede wszystkim wygoda życia codziennego. Urzekał sklep rzeźnicki, rodzaje mięsa i jego ,,przygotowanie'', siła kupna, jaką ma frank francuski, zarabiany ciężką pracą przez robotników, swoboda, pozwalająca chodzić w jakim się chce ubraniu nawet po Polach Elizejskich, kantyny, w których za grosze można się było najeść przy nieodzownej szklance poczciwego, zwykłego wina.

Znam tylko jeden wypadek, kiedy policja paryska wylegitymowała gości z Polski. Byli nimi marynarze Misiewicz i jego kolega, którzy na ,,Chatce Puchatków'' popłynęli w zimie na Antyle. Było to na Boulevard Haussmann o późnej godzinie nocnej. Młodzi podróżnicy, chcąc sobie dodać powagi, zapuścili brody. Ubrani byli tak, że zwracali na siebie uwagę. Samochód policyjny przejechał koło nich raz, drugi, trzeci, a marynarze polscy ciągle deptali po tym samym odcinku Bulwaru. W końcu jeden z policjantów wysiadł z samochodu i zapytał Polaków o papiery. Pokazali. Powiedziano im ,,dobra noc'' i policja natychmiast odjechała.

Jakąż radością było dla nas przyjmować nieraz za ostatnie pieniądze tych najmilszych — a często wcale nieznanych — gości z Polski! I jaką radością jest dla nas teraz dostawać

od nich listy, donoszące, że pracują, że jakoś dają sobie radę w ciężkich warunkach materialnych... że żyją i trzymają się.

— Uważaj Janusz, — zwraca się do mnie Miecio Biernacki — ty tą kartką z Korsyki narażasz odbiorcę w Polsce...

— Mieciu, piszę do młodziutkiego chłopca, który zaledwie skończył 21 lat. To jest student, który był jesienią w Paryżu i chciał zostać jeszcze jakiś czas, a już nie miał pieniędzy. Więc wziąłem go do siebie po to, aby mógł jeszcze kilka razy pójść do Luwru i pośmiać się wieczorem na St. Germain des Près.

— Janusz, uważaj! — Możesz mu zaszkodzić!

Ręka automatycznie zatrzymuje się na ślicznej kartce z widokiem pięknej zatoki Porto.

Rzeczywiście! Dlaczego piszę do tego chłopca, prosząc go, aby pokazał kartkę Henrykowi? Czyżbym w podświadomości bał się narażać bezpośrednio Henryka? Chyba tak!

I najpiękniejsza przyjaźń, która trwa przeszło 30 lat, ugina się pod ciężarem drobnego wydarzenia: ,,zaproszenia'' mnie — jak tego chcą władze francuskie — ,,na urlop na Korsykę''.

Czy ktokolwiek z ludzi rozsądnych, z tych ludzi, którzy wespół z nami cieszyli się z rozluźnienia więzów, narzuconych przecież także promieniowaniu kultury francuskiej poza Żelazną Kurtynę — zdał sobie sprawę, że nasza deportacja utrudni dalszy kontakt z krajami naszego pochodzenia, zmniejszając w ten sposób wpływ Zachodu na kształtowanie się pojęć po wschodniej stronie Kurtyny?

Ja wierzę, bo chcę całym sercem i bezkrytycznie wierzyć, że o tym nie pomyślano.

Na słońce zaszły szare chmury i na tarasie hotelu ,,Idéal'' nagle zrobiło się chłodno. Błękit morza nabrał odcienia stali i wiosenna zieleń krzewów straciła młodzieńczy blask.

Bolek podparł głowę rękami i siedzi zamyślony przy swoim stole.

— O czym myślisz? — zagaduję go, aby przerwać niepowstrzymany galop własnych myśli.

— A wie pan, że kiedy prezydent Eisenhower przyjechał do Paryża, stałem na podwórzu ambasady amerykańskiej o trzy kroki od niego. Wysiadł z samochodu i przeszedł spokojnie przez podwórze, witany okrzykami przez przypadkowy tłum. Tam mógł wejść każdy, kto chciał. I... i Francuzi wówczas nie deportowali komunistów, chociaż mają ich u siebie kilka milionów!

Milczę.

Oby na Korsyce trwała pogoda i słońce! Jeżeli bowiem Bolkowi takie myśli przy pogodzie cisną się do głowy, co będzie z nim i z wieloma innymi jeżeli zacznie padać deszcz i jeżeli jedyna droga, jaka nas łączy ze światem — cudna eukaliptusowa aleja — zamieni się w błotnisty szlak, na który nie można będzie wyjść z hotelu?

Porto, dn. 8 marca 1960 r.

Niespodzianka! Niebo jest szare i chmury schodzą niemal na morze.

Zanim zdążyliśmy wstać deszcz zaczął padać, a potem przeszedł w ulewę.

Może niektórym zesłańcom jest to obojętne, ale mnie wcale nie jest wszystko jedno. Życie moje na Korsyce jest uzależnione od pogody. Pracować nie mogę, jeśli na dworze pada deszcz.

Zanim jednak to wytłumaczę, trzeba przejść do rozwiązania jeszcze jednego mitu. Wczorajsza prasa wieczorna przyniosła nam idiotyczne wiadomości obok kilku dobrych. Jakiś chłystek, podany jako Polak o nazwisku ,,Brodsky'' nagadał korespondentowi ,,France-Soir'' idiotyzmów. ,,Niech żyje Chruszczow'' — miał powiedzieć — ,,i niech przyjeżdża co tydzień''. Bo to podobno dało temuż ,,Brodsky'emu'' możność spędzenia uroczych wakacji. Podobno to samo mówili Chińczycy, których na Korsyce znalazło się aż... siedmiu. Jest więc ich ,,dość'', aby ich głos przytaczać, jako głos tysiąca zesłańców. Reszta prasy podkreśla z reguły ,,luksusowe'' warunki naszego internowania. I właśnie to jest legendą!

O luksusie nie ma nawet najmniejszej mowy. Są to skromne, a nawet bardzo skromne hotele w małych wioskach korsykańskich. W pokoju, który dzielę z Wiktorem Junoszą-Dąbrowskim, jak i w większości innych nie ma stołu.

Nasz — najdroższy — hotel w Porto nie ma żadnego pokoju, który służyłby wszystkim. Nie ma czytelni, nie ma pokoju dla załatwiania korespondencji. Ma tylko jadalnię. W niej zbieramy się na posiłki i na rozmowy.

Kiedy na dworze było słońce każdy, kto szukał samotności, mógł wyjść na taras, albo nawet na skałki nadmorskie i być sam. Mógł tam pracować, mógł łowić ryby, mógł wreszcie nic nie robić i oddawać się jedynie swoim myślom. Ale w dnie zimne i deszczowe nie mamy dokąd wyjść. I nie mamy gdzie usiąść spokojnie sam na sam ze sobą na, kto wie, czy nie zasadnicze rozmowy, albo do pracy, lub po prostu do załatwienia korespondencji. Nasze pokoje dopóki było słońce były ciepłe. Dzisiaj zaś, kiedy pada deszcz — nasiąknęły wilgocią i — dosłownie — palce sztywnieją, jeżeli się chce uderzać nimi o klawisze maszyny do pisania.

Niechże więc nikt nie mówi o luksusowych warunkach naszego internowania. Nasz ,,Idéal'' to zwyczajny, przyzwoity i skromny pensjonat, przewidziany wyłącznie na sezon letni, kiedy na Korsyce nikt nie siedzi w pokojach. Spać można w nich wygodnie. Można też umyć się żółtawą, ciepłą cieczą. Jest to woda z zardzewiałego basenu. Na pewno nie szkodliwa. Ale równie na pewno nie luksusowa.

•

W naszym — jakże dzisiaj ponurym — pokoju jadalnym zjawił się znowu jakiś dziennikarz. W gruncie rzeczy mamy ich wszystkich dość. Pismo „Corse-Nice-Matin" podało nawet dość uczciwie nasze wypowiedzi, ale oczywiście powstrzymało się od powtórzenia moich słów o deportacji dla uczczenia Roku Uchodźcy i od wyrażenia głębokiego żalu z powodu tego, że Francja pozwoliła na precedens mieszania się w swoje sprawy wewnętrzne. Wczoraj zaś był u nas korespondent amerykańskiego tygodnika „Time". Rozmawiałem z nim początkowo ja, a później Demidecki, który właśnie przyszedł do nas. Przypuszczam, że Amerykanin łatwiej, jeśli uchwycił, napisze prawdę, a więc stwierdzi, że jesteśmy internowani. Bez żadnych dodatków, w jakich lubuje się minister Turauskas, uważając, że jeszcze nawet na Korsyce „dyplomatyczne" sformułowania mają jakąkolwiek wymowę i sens. Turauskas nazywa nas i samego siebie „honorowymi internowanymi".

Ja mówię wyraźnie o „deportacji" i o „internowaniu". Że zaś i jedno i drugie odbyło się w warunkach i okolicznościach poprawnych — to jest inna sprawa, która nie może jednak wpłynąć na przekształcenie pojęć. Jedynie pojęcie „azylu" może ulec obecnie przekształceniu.

Dziennikarzem, który dzisiaj zawitał do nas jest Pierre Macaigne z „Le Figaro". Przed kilku dniami czytaliśmy jego świetny artykuł na nasz temat, napisany z wielkim wyczuciem nastrojów. Autor zatytułował go „Au petit jour" — „O świcie". Chodziło tam o prawo ludzi spokojnych do spokoju we własnych ogniskach domowych i o formę, w jakiej nas wszystkich aresztowano.

Zgadzając się na sto procent z Pierre'm Macaigne, sądzę jednakże, że fakt wysłania policji po nas o godzinie 7-ej rano lub wcześniej, był podyktowany praktycznością sprawy. O tej bowiem porze można niemal wszystkich zastać w domu.

Ale można byłoby też wezwać nas do komisariatu i uprzedzić o deportacji. Stawilibyśmy się na pewno na czas.

Z Pierre'm Macaigne mówię o warunkach i o zagadnieniach, jakie zrodziła ta nasza deportacja. Mówię też równocześnie o książce.

— Jaki pan chce dać tytuł tej książce?

— Jeszcze się nie zdecydowałem, ale przychylam się do „Nad Korsyką wieje wiatr wschodni". — „Le vent de l'Est souffle sur la Corse".

— Tytuł jest dobry, ale niech pan da podtytuł, aby ludzie wiedzieli, że chodzi tu o deportację przed wizytą Chruszczowa, a więc o aktualność. To wpłynie na poczytność i sprzedaż...

Wracamy jednak w rozmowie do spraw zasadniczych. A są nimi: precedens do wtrącania się we francuskie sprawy wew-

nętrzne, niewątpliwe naruszenie przez Francję konwencji genewskiej o uchodźcach i bezpaństwowcach, fatalna propaganda dla wszystkich demokracji zachodnich — a dla Francji w szczególności — w krajach za Żelazną Kurtyną i poderwanie i bez tego już naderwanego zaufania w zachodnią uczciwość w dotrzymywaniu powziętych zobowiązań. Z tego punktu widzenia zagadnienie deportacji uchodźców politycznych przez władze francuskie na Korsykę wychodzi poza ramy francuskiej polityki wewnętrznej i daje niewątpliwe prawo moralne innym krajom Zachodu do interwencji. Bo tak działając Francja odegrała rolę anty-propagandową i poderwała zaufanie stu milionów mieszkańców Europy Środkowej i Wschodniej do całego Zachodu, nie tylko do siebie. Istnieje również i czysto ,,polskie'' zagadnienie, dotyczące polskiego życia organizacyjnego we Francji. Sprawę tę usiłuje wytłumaczyć Pierre'owi Macaigne. Rozumie ją dostatecznie jasno i chwyta w lot moje myśli.

W tym czasie dostaję wiadomość o śmierci Bułgara w sąsiedniej Piana.

W naszym hotelu robi się raptem, jak w ulu.

Pierre Macaigne jest zgnębiony.

Sprawdzam wiadomość u naszego komisarza i opiekuna. Potwierdza.

— Nie jestem pewien. Mówi się o ataku sercowym. Wydaje się, że ta śmierć jest całkiem przypadkowa i mogła nastąpić wszędzie, ale w każdym razie dla nas to jest bardzo nieprzyjemny wypadek, który odbije się ujemnie dla Francji w prasie całego świata.

— To jest niestety jasne!

Do rozmowy włącza się Miecio Biernacki.

— Jak to było wczoraj z tym Węgrem?

— Z jakim Węgrem?

— No tym, co to spadł w urwisko górskie...

Okazuje się, że jakiś młody Węgier, czy raczej Słoweniec poszedł w góry i obsunął się ze skały, spadając w urwisko. Na szczęście nic się temu ,,alpiniście'' nie stało. Nieobecność chłopaka zauważono przy kolacji i policja zaczęła go szukać. W nocy zauważono w górach ogień. Ekspedycja ratunkowa złożona z mieszkańców miejscowych wiosek wyszła około 2-ej w nocy i znalazła młodzieńca przy ognisku. Gdyby nie miał zapałek, powinienby był umrzeć, bo noce korsykańskie są zimne, zwłaszcza na sporej wysokości. Ale wszystko jest dobre, co się dobrze kończy...

Z Bułgarem w Piana skończyło się — niestety — najgorzej jak można. Pytam się o szczegóły tej śmierci, ale my w Porto szczegółów tych nie znamy. Wiemy jedynie, że Pierre Macaigne pozostanie przez noc w Porto, aby nazajutrz pojechać do Piana, odległej od nas o 10 kilometrów, — i aby tam poznać szczegóły tragicznego wydarzenia.

W Porto nie mamy Bułgarów. Ale mieliśmy już tutaj wizytę ich przywódcy, bardzo sympatycznego człowieka, jakim jest Bareff. I tak więc wypadałoby, abyśmy go rewizytowali. W tej sprawie porozumiewam się z Turauskasem, który proponuje wyłonić delegacje z każdej narodowości. Co najmniej po jednym przedstawicielu.

Ja o tym już dawniej pomyślałem i powiedziałem kolegom, że ktoś z nas musi jechać. Wolałbym nie jechać sam, ale ponieważ nie mamy pieniędzy, więc trzeba się będzie ograniczyć do jednego Polaka, aby go nie zabrakło na pogrzebie. Turauskas chce mówić w imieniu wszystkich zesłańców. Ja jestem odmiennego zdania.

— Niech mówią Bułgarzy z Piana. I nikt więcej. W okolicznościach internowania nie wiele możemy powiedzieć. Poza tym zaś, jeżeli będzie przemawiał przedstawiciel jakiejkolwiek narodowości, to natychmiast przedstawiciel innej również będzie chciał mówić. A wszyscy mają to samo do powiedzenia, więc będą się powtarzali. Nie mówmy więc nic i ograniczmy się do złożenia Bułgarom kondolencji w imieniu każdej grupy narodowościowej.

Turauskas daje się przekonać. I taką właśnie taktykę proponujemy Ukraińcom.

Do Ukraińców zawsze miałem słabość pomimo mnóstwa głupstw, jakich zarówno Polska, jak i Ukraina dokonały w przeszłości. Tutaj zaś — w Porto — sympatia moja jeszcze bardziej wzrasta. Ukraińcy zachowują się pierwszorzędnie. A że podkreślają własną odrębność narodową, to tylko wpływa na zwiększenie mojego do nich szacunku. Poza tym zaś są dobrymi kolegami. Dochodzimy z nimi do natychmiast wzajemnego porozumienia. Bez wytaczania nawet zasadniczych argumentów. Czując to samo, co my — postępują tak samo.

Wśród Ukraińców mamy w naszym hotelu dwóch Białorusinów. Są to Bolek Dragon i Eugeniusz Danielczyk. Obaj młodzi i bardzo sympatyczni. Obaj żonaci z Polkami. Danielczyk jednak rozwiódł się, bo — jak mówi — rodzina jego żony miała zbyt wielkie wymagania. Natomiast Bolek ciągle mówi o swojej Lucynce i bardzo tęskni do listów od niej. Ale obaj młodzi ludzie, chociaż trzymają ze mną bardzo ścisłą „sztamę", czują się Białorusinami, mimo że są „uchodźcami polskimi". Bolek jest zdania, że na pogrzebie Bułgara nie może również zabraknąć Białorusina. Popieram go.

— To pojedziemy razem.

— Dobrze, jeżeli będę miał miejsce w taksówce. Zamawia ją Turauskas. Zgłoście, że chcecie jechać!

Po kolacji ksiądz Lambert robi do mnie „perskie oko". A sam najbezczelniej siada grać w szachy.

Poczekajże, księże, ja ci dam szkołę!

I spokojnie zatrzymuję się przy barze, dokąd szlusuje Miecio.

— Nic mi nie pomogło. Czuję się jeszcze gorzej. Gardło mnie boli. To wino, które Ukraińcy wytargowali do posiłków, jest rozrzedzone wodą pół na pół.

— Wolę to rozrzedzone wino z wodą, niż samą wodę, która jest według mnie płynem, nadającym się wyłącznie do mycia się i do nawigacji.

Pod bar podszedł komisarz Jeune.

— Jak się pan czuje, majorze?

— Nie dobrze, ale teraz trochę lepiej.

— Co pan pił?

— Grzane wino.

— Słusznie! To pana postawi na nogi, ale niech pan po tym grzanym winie idzie do łóżka.

— Zaraz to zrobię.

— A pan — komisarz zwrócił się do mnie — nie chce czasem trochę się przejść? Deszcz przestał padać.

— Chyba, że do mostu...

— ...i trochę za most.

Ledwie komisarz ukazał się przy barze w płaszczu, ksiądz Lambert wyrósł jak spod ziemi.

— Przegrałem tę partię, bo mi się zdaje, że panowie wybierają się na spacer. Pójdę z wami.

— Dobrze.

I rzeczywiście... pospacerowaliśmy. Nie ma co gadać.

Do ,,Młyna'' za mostem podwiózł nas jakiś dobroczynny i przypadkowy szofer. A w ,,Młynie'' już my sobie radę damy.

Młodzież węgierska rżnie tam w karcięta. Grają w pokera. Pewno na kredyt. Na te obiecane i dotychczas jeszcze nie wypłacone pieniądze.

— Moi panowie — zaczyna komisarz Jeune. — Mam poważny kłopot. Jak panom mówiłem, za kilka dni panowie dostaną pieniądze na swoje wydatki kieszonkowe. Otóż tych pieniędzy będzie więcej, niż myślałem. Każdy z was dostanie 30.000 franków. Liczymy po tysiąc franków dziennie. Wyrównanie zasadniczych strat w zarobkach marcowych nastąpi w Paryżu. Te pieniądze będą jedynie waszymi pieniędzmi kieszonkowymi. Otóż boję się, że jeżeli wypłacimy za kilka dni wszystko, to młodzi Serbowie i młodzi Kroaci przepiją je natychmiast. Już mniejsza o bijatyki, jakie nastąpią po pijanemu, ale te chłopaki po powrocie z Korsyki przez dwa tygodnie, albo nawet przez cały miesiąc nie będą mieli ani grosza.

— Ja o tym, proszę pana, rozmawiałem już z księdzem. I przyszliśmy do wniosku, że pan powinien wręczyć każdemu à conto, a resztę złożyć u starostów grup narodowościowych.

— Jestem tego samego zdania, co Laskowski — dorzucił ksiądz. — Myśmy już wczoraj o tym mówili. Ja za swoich Kroatów ręczę...

— Za co ksiądz ręczy?

— Za to, że się pobiją po pijanemu z Serbami...

— No więc co ja mam zrobić? Nie mogę przecież zatrzymać pieniędzy, które oni pokwitują. Jeżeli to zrobię, powiedzą, że popełniłem nadużycie, albo jeszcze prościej, że ukradłem...

— Na pewno tak powiedzą — z głębokim przekonaniem stwierdza ksiądz.

— No więc co mam robić?

— Wstrzymać wypłatę? — mówię dość stanowczo.

— A pan ma dosyć pieniędzy?

— Nie! Już mam długi.

— Inni również.

— Pomimo to można wypłacić jedną trzecią całości, lub połowę. A drugą połowę, lub dwie trzecie dać w przede dniu naszego wyjazdu z Korsyki.

— To przekracza moje kompetencje...

— I dlatego musi to zrobić prefekt. Musi dać tylko „à conto".

— Nie wiem jak to załatwię. Ale spróbuję właśnie tak zasugerować.

W „Młynie" mieszkają wyłącznie Węgrzy. Jest ich osiemnaścioro. Tak: ...„ścioro", bo są również kobiety i nawet dzieci. W niektórych bowiem wypadkach aresztowano całe małżeństwa. Biedne, jak biedna jest większość uchodźców.

— Panie Januszu, jeżeli pan tak pozwoli — zwraca się do mnie komisarz — czy pan wie, że musiałem tu, na Korsyce, ubrać to dziecko? Ono nie miało odpowiedniego ubrania i rozchorowałoby się na pewno w tych warunkach. Dlatego właśnie lubię właścicieli „Młyna", bo mi w ciągu niespełna godziny ubrali węgierskie dziecko! To są naprawdę dobrzy ludzie. Niech mi panowie wierzą. A że pokrzykują sobie trochę, iż są Korsykańczykami, a dopiero na drugim miejscu Francuzami, to przecie jest tylko zewnętrzny fason. Z Korsyki zawsze zgłaszało się w razie wojny najwięcej ochotników i najwcześniej.

Rozmowa nasza przechodzi powoli w opowiadania wcale nie łączące się z naszym obecnym pobytem na Korsyce. Ksiądz, dowiedziawszy się, że byłem korespondentem na procesie norymberskim, zaczyna wypytywać o ten proces. Komisarz słucha z zainteresowaniem, pociągając powoli whisky, które — nie wiem dlaczego i jak — znika w moim wnętrzu znacznie prędzej, niż u moich współbiesiadników. Tuż pod nami wspaniale szumi nieustannie wzbierający potok, zwany rzeką „Le Porto". Deszcz znowu pada dość gęsto.

Dochodzi północ. Na nas więc czas. Ale gospodarz w żadnym wypadku nie pozwala nam wyjść bez „strzemiennego".

— *Encore le coup d'étrier* — powiada śmiejąc się. — Nauczyłem się tego polskiego zwyczaju od tego pana — wskazuje na mnie. — To mi się zresztą bardzo spodobało.

Pijemy więc strzemiennego.

A na dworze leje.

Gospodarz oczywiście odwiezie nas samochodem. Czuł się przez cały dzień źle i aż do popołudnia leżał w łóżku. Ale teraz jakoś mu się poprawiło.

Przed samochodem, na deszczu stoi jakiś stary jegomość w wypłowiałym mundurze — zdaje się — żandarmerii.

— Jadę z panami. Mnie to jest po drodze.

Gospodarz ,,Młyna'' ma niewyraźną minę. Komisarz przedstawia się:

— Jestem oficerem policji...

— I ja też. Byłem Francuzem, ale już nie jestem. Jestem Korsykaninem. Cztery razy głosowałem na de Gaulle'a, a teraz powiem: ,,au poteau''.

Chciałbym, aby to wierne opowiadanie dotarło do Czytelników w Polsce, bo może wówczas lepiej zrozumieją, iż pomimo naszego internowania, we Francji istnieje jednak swoboda i wolność.

Powodem zmiany uczuć patriotycznych ,,oficera policji'', który jest w istocie rzeczy zbliżającym się do emerytury leśnikiem, jest — oczywiście — polityka algierska prezydenta de Gaulle. Na to nie ma rady. Ciasne umysły nie mogą podążyć za dalekowzroczną myślą de Gaulle'a. Tak samo, jak ciasnota nacjonalistów polskich nie nadążała za wielką myślą Józefa Piłsudskiego wskrzeszenia najświetniejszych tradycji Rzeczypospolitej, która byłaby ,,po społu'' ojczyzną bratnich narodów polskiego, ukraińskiego, litewskiego i białoruskiego.

W samochodzie zawiązuje się rozmowa pomiędzy komisarzem i leśnikiem. Toczy się w przyjaznym duchu, chociaż czuję, że komisarza krew zalewa. Nie dlatego, że leśnik plecie głupstwa, ale dlatego, że jest aż tak urżnięty. Ksiądz zaś i ja zaśmiewamy się głośno, głęboko i pozytywnie oceniając wielkość francuskiej wolności.

Niechby jakiś leśnik w Sowietach, albo nawet w Polsce ośmielił się przy komisarzu policji powiedzieć ,,Gomułka'' — ,,au poteau!'' Wiemy aż nadto dobrze, co by się z nim stało!

Przed naszym hotelem drogą płynie potok. Jednego dnia deszczu wystarczyło, aby drożynami z gór zaczęła spływać na szosę woda, leniwa, jak cała Korsyka. I tą szosą spłynie do morza.

Nam niewygodnie jest stać w tej wodzie przed samochodem. A wejść do hotelu nie chcemy, bo nas interesuje rozmowa leśnika z komisarzem.

— Ja byłem ochotnikiem w pierwszej wojnie światowej. Mam odznaczenia — woła leśnik. — Byłem pod Verdun. I jestem z tego dumny.

— Przecież pan nie jest Francuzem, ale Korsykańczykiem...

— Kto to panu powiedział? Ja? Nie jestem Francuzem? Głupstwo. Ja zawsze byłem Francuzem — wykrzykuje leśnik, uderzając się mocno w piersi.

Janusz LASKOWSKI

Fragmenty z dziennika

Wtorek

Sztuka jest arystokratyczna do szpiku kości, jak książę krwi. Jest zaprzeczeniem równości i uwielbieniem wyższości. Jest sprawą talentu, czy nawet geniuszu, czyli nadrzędności, wybitności, jedyności, jest także surowym hierarchizowaniem wartości, okrucieństwem w stosunku do tego co pospolite, wybieraniem i dokonaleniem tego co rzadkie, niezastąpione, jest wreszcie pielęgnowaniem osobowości, oryginalności, indywidualności. Trudno się dziwić przeto, że hojnie finansowana sztuka w Demokracjach Ludowych jest górą, która rodzi mysz. Kosztuje to ciężkie miliony, a cała ,,produkcja'' sprowadza się do gadaniny.

Gadanie. Gdy zdarza mi się nadstawić ucha w stronę polską, słyszę to — gadaninę. Oni są straszliwie rozgadani. Ich książki są jak ich prasa literacka, a ich prasa literacka jak ich kawiarnie — wszystko ocieka gadaniem, pęka od gadania. Nie znam ani jednego ich utworu, o którym można by powiedzieć, że urodził się w milczeniu. Nie znam też ani jednego autora (oprócz może dwóch), o którym można by orzec, że nie pisze na chodniku, lub w kawiarni do tegoż chodnika przylegającej. Nawet utwory ludzi dawniej dość odosobnionych mają w sobie tę szczególną towarzyskość, charakterystyczną dla osób nie posiadających własnego mieszkania (duchowego; nie mowa o tym z kuchnią i łazienką). Wsłuchując się w kawiarniany szumek, jaki tworzą, można stwierdzić, że wszystkie głosy mają mniej więcej to samo natężenie; mają też ten sam ,,kolor'', jak mówią muzycy. Nastąpiło zestrojenie głosów i grup instrumentalnych — takie, że trąba i flecik są prawie nie do rozróżnienia, a kontrabas zlewa się z obojem. Wszystko razem brzmi jak orkiestra, pardon, jak kawiarnia — tak, nie ulega kwestii,

współczesna literatura krajowa jest nie tylko wielkim gadaniem, ale i wielkim ,,lokalem'' z ciastkami, czarną i duszami.

Wykrzywiłbym się im dzisiaj i zawołał ,,zyg, zyg'' — bo dawniej, przed wojną, dla polskiej heroicznej lewicy ja byłem godnym politowania kawiarnianym literatem... tymczasem dzisiaj odmieniły się role. Widać doskonale, widać jak na dłoni, że ich prawdy wykształciły się przy pół czarnej (hej, czy tak jeszcze się mówi, bracia?), że wiersze ich są zapijane herbatą, ich esseje są jak przekładaniec, a ich powieści jak ,,napoleonki'' (hej, czy znane wam jeszcze to słowo?). Nie żeby były zanadto słodkawe. Sprawa jest ciekawsza. Jak wiadomo, człowiek inaczej siebie odczuwa — na przykład — w ciemnym lesie, a w strzyżonym francuskim ogrodzie, lub na czterdziestym piętrze wieżowca amerykańskiego. Otóż dla znawcy, jak ja (bo zęby zjadłem na lokalach) nie może ulegać wątpliwości, że ich samopoczucie jest samopoczuciem bywalca kawiarnianego. Jest w nich, jak by to powiedzieć, ten smaczek... granice ich osobowości są akurat na dystans ,,od stolika do stolika''. Próżno by szukać w nich świętej puszczy, lub rozległości pól. Nie ma w nich za grosz zajadłości dramatycznej samotnika, jak Kant, jak Proust. Brak niepokoju metafizycznego, zrodzonego z natężenia ciszy. Brak religii, objawionej w gorejącym krzaku. Brak metody, higieny, dyscypliny, które cechują laboratoria naukowe. Każdy z nich kończy się niedaleko — tam gdzie zaczyna się sąsiad — są ograniczeni sobą, swoim tłokiem. Naturalnie wszystko to dobrze im wiadome i robią, co mogą, żeby nie być kawiarnią; ale ich konwulsje duchowe są po to żeby nie być kawiarnią, wskutek czego stają się znowu kawiarnią, choć na opak. Błędne koło.

Już przed wojną nadmierne zadomowienie się literatury w Ziemiańskiej, Ipsie, Zodiaku itd. było niepokojące. Kawiarnia jest niebezpieczna, bo stwarza własny światek, kawiarnia, choćby paryska, jest zawsze lokalizmem, jest prowincją, Zasługą Sandauera pozostanie, że wykrył zastraszający procent kawiarni, a co zatem idzie, i prowincji, w twórczości znanego krajowego pisarza — ale moim zdaniem należałoby raczej pochwalić tego autora za twórczość tak dalece typową i reprezentacyjną. Jak się leczyć? Jest tylko jeden środek ratunku. Natychmiastowy wyjazd zagranicę, za jakąkolwiek granicę (byle przekroczyć). Otóż to wydaje się nie na czasie z powodu niejakich trudności paszportowych, robionych przez władze — ale nie zapominajmy, że literat może wyjechać na książce, jak czarownica na miotle. Czy uchwyciliście, co wam doradzam? Artysta polski, jeśli chce czegoś dokonać, musi wyjechać, wyjechać duchem, wyjechać nie ruszając się z miejsca — i trzeba aby wyjechał w góry. Polska równina jest ze wszechmiar wzruszająca, ale dla artysty nie ma to jak górski klimat, ostry, ostry, i w dodatku opatrzony takimi nierównościami gruntu, że ciągle ktoś na kogoś patrzy z dołu albo z góry — czy jasne? Wy-

ruszcie (duchem; nie ruszając się z miejsca) w teren błogosławiony, co wzdyma się pod nogami, prężnieje, rośnie i wynosi wzwyż. Czyli, innymi słowy: jeśli chcecie uprawiać sztukę, musicie oprzeć się na sztuce, wyruszyć na poszukiwanie najwyższej sztuki Europy, odnaleźć w jej naturze własną waszą naturę artysty i związać się z nią...

Wstrzymałbym się od tych sugestii, gdyby komunizm nie wykazywał na punkcie sztuki i literatury tak daleko posuniętej sklerozy... ale przyznać trzeba, że choć komunizm nie zawsze bywa sklerotyczny, w tej właśnie materii ,,kulturowej'' cierpi na nieuleczalną sztywność i zwapnienie żył. Gdzie indziej bywa odkrywczy — tutaj jest ciężki, ślepy, nieinteligentny. Gdyby komuniści chcieli podejść do sztuki mniej brutalnie i tępo, musieliby zrozumieć, że nie można jej zmienić w jej istocie — że ona, jak pewne krzewy, jest wysokopienna. Mało co w ludzkości jest tak nieustępliwe, jak artysta. Najmądrzej tedy byłoby dać artystom spokój i pozwolić aby oni po staremu byli arystokracją, zgodnie ze swoim powołaniem. Taka arystokracja jest do pomyślenia i do przyjęcia w systemie Marksa. Ale komuniści woleli sztukę ,,zrównać'' zadeptując jej twarz. Trudno, w tych ,,kulturowych'' warunkach pozostaje tylko jedno — jak najśpieszniej wyjeżdżać duchem — ale naturalnie doradzam to tylko dwom lub trzem autentycznym książętom z bożej łaski, trzydzieści tysięcy pozostałych demokratów, parających się piórem, niech robi co chce, bo to jest bez większego znaczenia.

Wtorek

Wszystkie (potworne) wpadunki komunistów w traktowaniu sztuki wyprowadzają się z tego, że nie uchwycili jej racji bytu.

Siła sztuki, jej nieustępliwość, jej wiecznotrwałość wciąż odżywająca pochodzi stąd, że nią wypowiada się indywiduum. Człowiek. Człowiek pojedynczy. Nauka jest sprawą zbiorową, gdyż rozum i wiedza nie są prywatną własnością; prawdy rozumowe, abstrakcyjne, przekazywane są z pokolenia na pokolenie i uczony jest jak budowniczy, który jedną więcej cegiełkę dokłada do gmachu, wybudowanego przez swoich poprzedników. Prawdy filozoficzne, pojęciowe, bywają niemniej abstrakcyjne i niemniej komunistyczne — są przeto wspólne (póki filozof, co często się zdarza, nie stanie się artystą).

Natomiast gdy wchodzicie na teren sztuki — ostrożnie, komuniści! To bowiem jest własność prywatna, najbardziej prywatna jaką kiedykolwiek człowiek sobie sprawił. Sztuka jest tak bardzo osobista, że każdy artysta zaczyna ją właściwie od początku — i każdy ją robi w sobie, dla siebie — jest wyładowaniem jednej egzystencji, jednego losu, osobnego świata.

W skutkach swoich, w mechanizmach swego oddziaływania — społeczna, w poczęciu swoim i duchu — indywidualna, osobna, konkretna, jedyna...

Cóżby się stało, gdybyście zlikwidowali sztukę, komuniści? Mówicie, że nic? Postęp ludzkości nie zostałby zahamowany, nie nastąpiłaby próżnia, ani cisza, nadal rozlegałyby się gromkie głosy Nauki, Filozofii, Partii, może i Religii, każdy dzień przynosiłby nowe wynalazki. Pewnie... Czy jednak jesteście przygotowani na jedno straszne wyrzeczenie? Od tej chwili nigdy już nie byłoby wiadomo, co myśli i czuje człowiek. Człowiek pojedynczy.

To byłoby nie do zniesienia. Ale dlaczego komunizm nie miałby się zdobyć na przyznanie sztuce osobnego miejsca i uszanowanie jej potrzeb? Taki rezerwat będzie im potrzebny, mogliby pozwolić (innym, ale i sobie) na taką prywatną własność i taką arystokrację. Dlaczego tego nie robią? Nie wiem. Schemat nie pozwala?

Środa

Radca Podsrocki z ,,Trans-Atlantyku'' przypomina nieco, zdaniem osoby, która mi to powiedziała, komiczną osobistość, radcę Korczyńskiego. Ten Korczyński był, w okolicach 1947 r., sekretarzem poselstwa, które nadpłynęło z Warszawy do Buenos Aires pod przewodem ministra Szumowskiego. Figura sekretarzowata, biurokratycznie dyplomatyczna i galicyjska na dodatek — jak najbardziej nadająca się do wodewilu. Zresztą nie on jeden w tym poselstwie łechtał zmysł humoru.

Czwartek

Ach, więc polonista! Kiedym odpisywał panu Grabowskiemu, zdawało mi się, że jest felietonistą li tylko, ale już wtedy coś wyglądał mi na polonistę. I chyba nie omyliły mnie przeczucia, bo jego replika przyniosła dumne objawienie, że jest profesorskim (od historii literatury) synem, a także ten passus nieoszacowany, rozkoszny, typowy, że to niby zwykł oceniać dzieło sztuki metodycznie, według trzech aspektów (już nie pamiętam jak to było, ale z wielkim entuzjazmem czytałem).

Alicja Lisiecka, która w ,,Nowej Kulturze'' (,,Jubileusz krytyki'') rozwodzi się nad Saudauerem, też niestety zalatuje polonistką. Trochę to przemądrzałe, profesorskie i po profesorsku jak kulą w płot. (P.S. Dziwne. W ,,Życiu Literackim'' ze stycznia inny artykuł, też o Sandaurze, też belfrowaty i polonistyczny, ale nie Lisieckiej, tylko Lisickiej i nie Alicji tylko Teresy. Cóż to za św. dr prof. w dwóch osobach? Czyżby się rozdwajała jak ameby? Ratunku!).

Piątek

Byron i Debussy. Ci rewolucjoniści sprzed lat są godni zazdrości. Mieli przynajmniej coś określonego do burzenia, wroga mieli wyraźnego, uroczystego, w którego można było bić. W naszych czasach rewolucja przeniknęła wszystko i już nic nie jest gorszące. Skandal się wyczerpał.

Ale listy Byrona są dziś zasobniejsze w dynamit od Childe Harolda, Korsarza, od tego co było zamierzone, jako rewolucja. A Debussy? Czy jego konserwatywny upór, specyficzny klasycyzm, nie gra nam przynajmniej tyle samo w jego partyturach, co jego „modernizm"?

Niedziela

„Guitarrę" wzięto do „colimby", „Guitarra" jak sama nazwa wskazuje, jest gitarzystą, którego poznałem w Tandilu, gdy odtwarzał Bacha i Suite en re, której autorem jest chyba Visée. A „colimba" to służba wojskowa. Potem, przy następnych spotkaniach, czytałem z jego twarzy wszystkie zgrozy tej tortury, która w Argentynie trwa rok z okładem dla wojska, a dwa lata dla marynarki.

Czy można pogodzić koszary z demokracją? Z konstytucjami, gwarantującymi wolność osobistą i godność? Z deklaracjami praw człowieka? Dwudziestoletniego chłopca, który nie popełnił żadnej zbrodni, wsadza się do tego obozu koncentracyjnego, gorszego niż więzienie (bo w więzieniu nie ma sierżanta, który cię bierze do galopu; bo więzienie nie jest, jak koszary, obliczone na łamanie twojej istoty; bo więzienie jest zamknięciem, ale nie prześladowaniem od rana do wieczora). Rok lub dwa z lat najpiękniejszych muszą oddać Sierżantowi. Pół biedy jeśli wyjdą z tego bez grubszego szwanku (nie wypłaca się odszkodowania). Nieuchronność tej łaźni zatruwa im młodość już na długo przed fatalną datą.

Jak wytłumaczyć, że krzywda jakiegoś pojedynczego Dreyfusa, czy innego szczęśliwca, staje się problemem sumienia i wywołuje nieomal wojny domowe, a pozbawienie z dziesięciu milionów chłopców rocznie najbardziej elementarnych praw (czasem łącznie z życiem) tak gładko zostaje przełknięte przez nasze humanitarne gardziele? Dlaczego nikt nie protestuje, ani rodzice, ani oni sami, ani wreszcie żadne z tych wyczulonych sumień ludzkości, zawsze gotowych rozdzierać szaty?

Jeśli jesteście ciekawi, kto temu winien, rozejrzyjcie się... tak, to on, to... wiek (ta ukryta sprężyna życia społecznego). Dwadzieście lat! „Colimba" jest terenem gdzie urzeczywistniają się dwa gwałty, będące u podstawy społeczeństwa: gwałt bardziej oświeconego na mniej oświeconym, gwałt starszego na młodszym. Tu oficer, bardziej świadomy, bierze za mordę

półanalfabetów; tu starszy bierze za pysk młodych. Żyjemy życiem złagodzonym, w atmosferze poszanowania, ale gdzieś przecież musi znaleźć się miejsceczko żeby wyższy z niższym, starszy z młodszym, spotkali się, ot tak... bez krępacji.

Flor, Marlon, Goma i inni, już wyzwoleni, opowiadali wczoraj anegdoty z ,,colimby'', jeżące włos!

Co by się działo, gdyby ogłoszono prawo, że każdy kto ukończył, powiedzmy, czterdzieści lat, musi iść na rok do więzienia? Protest powszechny doprowadziłby w mgnieniu oka do rewolucji? A ,,colimba''? No, ludzie od wieków się przyzwyczaili. I, zresztą, ten wiek... Wiek pełnej sprawności fizycznej, a jeszcze dziecinny, ułatwiający, umożliwiający... skupienie wielu żyć w garści jednego oficera, jak w garści półboga!

Wtorek

Dziś obudziłem się w rożkoszy, że nie wiem co to nagroda literacka, że nie znam honorów oficjalnych, karesów publiczności i krytyki, że nie jestem ,,nasz'', że wszedłem do literatury siłą — arogancki, dumny i kpiący. Ja jestem *self made man* literatury! Nie jeden jęczy, że miał ciężkie początki. Ale ja debiutowałem trzy razy (raz przed wojną, w kraju, raz w Argentynie, raz po polsku na emigracji) i żaden z tych debiutów nie oszczędził mi upokorzenia.

Składam dank Najwyższemu, że wydobył mnie z Polski, gdy moja sytuacja literacka zaczynała się polepszać i przerzucił na ląd amerykański, w obcy język, w samotność, w świeżość anonimatu, w kraj bardziej zasobny w krowy niż w sztukę. Lód obojętności tak dobrze konserwuje dumę!

Dzięki Ci też, Najwyższy, za ,,Dziennik''. Jednym z najdramatyczniejszych momentów mojej historii był ten sprzed lat dziesięciu, gdy rodziły się pierwsze fragmenty ,,Dziennika''. O, drżałem wtedy! Porzuciłem język groteskowy moich dotychczasowych utworów, jak się zdejmuje pancerz — tak bezbronny się czułem w dzienniku, taki strach mnie brał, że w tym słowie prostym wypadnę blado! Czyż nie był to czwarty mój debiut, najniebezpieczniejszy? Ale potem! Jakaż pewność, gdy okazało się, że od biedy mogę komentować siebie — tego mi było trzeba, stać się własnym swoim krytykiem, glosatorem, sędzią, reżyserem, odebrać tym mózgom moc wyrokowania... wówczas dokonała się moja niezależność!

Wiele zawdzięczam kilku piórom, które mnie poparły, począwszy od znakomitego dzisiaj Bruno Schulza. Ale dopiero, gdy rozpisałem się w ,,Dzienniku'' poczułem, że i ja mam pióro w garści — cudowne uczucie, którego nie dostarczyła mi ,,Ferdydurke'', ani inne utwory artystyczne, piszące się same z siebie... jakby poza mną... Od tej chwili pióro zaczęło mi służyć... Było to tak, jak gdybym towarzyszył mojej sztuce

aż tam, gdzie ona zapada się w cudze istnienia, stając mi się wrogą.

Wtorek

,,Gombrowicz uważał, że wyjątkowo złośliwe okoliczności zmuszają go do takiej reżyserii w ,,Dzienniku'' osobistego swojego dramatu (choć może była ona też uzasadniona duchem jego twórczości, w której jakże często pojawia się idea reżyserii, postać reżysera) — że więc nikt nie powinien z tego powodu robić mu zarzutów. Pisał przecież w warunkach wręcz dławiących — kneblowany w kraju, odcięty od szerokiego świata egzotyzmem polszczyzny, dusząc się w emigracyjnej ciasnocie. Tak rodziły się jego nieszczęsne utwory — niełatwe przecież, do tyla niełatwe, że nawet w samym centrum Paryża musiałyby ciężko walczyć o uznanie''.

,,Miarą niewiarygodnego spłycenia głów polskich, z którymi miał do czynienia na tej emigracji duszącej, niech będzie że nawet ten ,,Dziennik'' jego, o tyle łatwiejszy, często nie przenikał do mózgów. Opatrzono go naklejką z napisem ,,egotyzm'' — i szlus! Większości tych emigracyjnych czytelników i krytyków — polonistów, poetów, pisarzy, intelektualistów — nie przyszło w ogóle na myśl, że mówić o sobie można rozmaicie, że jego ,,ja'' w dzienniku to nie ,,ja'' trywialnego sobka, ani naiwnego Narcyza, a kogoś zdającego sobie sprawę... że, jeśli to jest egotyzm, to metodyczny, zdyscyplinowany i świadczący właśnie o wysokim i chłodnym obiektywiźmie. Zobaczyli tylko sztampę. I dalejże w krzyk: — egotysta! Zarozumiały! Nietaktowny! Drażniący, zły, niesympatyczny!''

,,To prawda, że Gombrowicz nieraz umyślnie drażnił. — Drażnię ją aby się na mnie nie rzuciła — tak wyraził się kiedyś — albowiem twierdził, że Głupota jest bestią wyjątkową, taką która nie może gryźć, gdy się ją ciągnie za ogon''.

Witold GOMBROWICZ

Salto mortale

Dopóki nie wyszedłem z domu, wszystko było po dawnemu. Tak, przypominam sobie dokładnie: był wtorek, chociaż na ściennym kalendarzu widniała jeszcze nie zerwana kartka z napisem: „poniedziałek". Goliłem się, wpatrując się w lustro, by sprawdzić czy tego poranka wydaję się sobie sympatyczny czy też nie, ale nie spostrzegłem nic szczególnego — po prostu zaczynał się powszedni, najpowszedniejszy w świecie dzień. Otworzyłem okno, by napuścić jesiennego chłodu do środka, i w tej samej posłyszałem ochrypły, do kaszlu podobny dźwięk katarynki, grającej za rogiem ulicy:

Uebers Jahr, wenn die Korneblumen blühen,
komm' ich wieder, komm' ich wieder...

Dziwna rzecz, przypomniał mi się mój krótki pobyt za granicą, w stolicy sąsiedniego państwa. Miałem tam przyjaciółkę, dziewczyniątko zaręczone z Amerykaninem. Ów Amerykanin wybrał się za morze pierwszy, rzekomo miał jej uwić gniazdko w ojczyźnie dobrobytu, ona miała wyjechać nieco później, ale koniec końców dla jakichś tam dość niejasnych przyczyn (najwidoczniej nie chciała się, biedaczka, przyznać że zostawił ją na koszu) została w Europie z kompletem niespłaconych mebli, sprzętem kuchennym i nowiutką, jeszcze nieużywaną piżamą, przeznaczoną dla swego niedoszłego oblubieńca. Tutaj dodam, że gdy mi któregoś wieczora zaproponowała, bym został u niej na noc, odmówiłem przebrania się w nieswoją piżamę, wychodząc z założenia, że są w życiu zasady, których łamać nie wolno. Następnego dnia o świcie, tuż przed powrotem do ojczyzny, gdy po zapakowaniu przyrządów do golenia do teczki stałem w oknie i czekałem na taksówkę, posłyszałem tę kiczowatą pio-

senkę po raz pierwszy, dziwiąc się nieco kataryniarzowi — rannemu ptaszkowi:

Uebers Jahr, wenn die Korneblumen blühen,
komm' ich wieder, komm' ich wieder...

Dziewczyna, jak łatwo się domyśleć, rozpłakała się na pożegnanie, a ja czym prędzej zbiegłem po schodach do taksówki. W zasadzie niechętnie ulegam tanim nastrojom, jednakże tym razem ogarnęło mnie coś na kształt smutku. Odwróciłem się więc na tylnym siedzeniu taksówki, by raz jeszcze rzucić okiem na biedactwo skamieniałe w oknie... Co jeszcze? Aha, później próbowałem sobie przypomnieć, jak też ona wyglądała. Zdaje się, że była nieduża, pulchna i zajadała się cukierkami, stąd pocałunki jej miała smak słodkawo-kleisty.

Już nie pamiętam, jak jej było na imię. Gdybym ją przypadkiem spotkał na ulicy, nie jestem pewien, czy bym ją poznał na pierwszy rzut oka. Jedyna rzecz, co do której się nie mylę, to właśnie ów nieznośny kwik katarynki, nie mający zresztą nic wspólnego z tym, co się wydarzyło tamtego, nieszczęsnego wtorku. O, gdybym był wiedział, co mnie czeka, nie wychodziłbym z domu, ale — powtarzam — nie wiedziałem na co się zanosi, gdyż dzień był powszedni, najpowszedniejszy w świecie. Ogolony, zerwałem kartkę z kalendarza na której ciągle jeszcze widniał „Poniedziałek" i poszedłem do redakcji.

Tak, jeszcze przed dwoma lub trzema laty wylegiwałbym się o tej porze w łóżku i niewiele by mnie obchodziło, czy jest poniedziałek czy wtorek: byłem wtedy literackim „wolnym strzelcem", żyłem sobie ot, z dnia na dzień, ba — ulinilem nawet dwie nienajgorsze książczyny, które krytyka oceniła dość życzliwie, czaiłem się nawet do napisania trzeciej, oczywiście znacznie lepszej niż dwie pierwsze, miałem już tytuł w głowie, wykaligrafowałem go dużymi literami na okładce brulionu, ale skończyło się na tytule. Snułem się po całym kraju, szeroko otwartymi oczami przypatrywałem się ludziom i ich sprawom, i wiele dumałem. Mimo to trzecia książka jakoś nie chciała się urodzić. Koniec końców, korzystając z niemiłej przerwy w natchnieniu pisarskim, postanowiłem — póki nie wpadnie mi jakiś nowy, genialny pomysł do głowy — obejrzeć się za stałą posadą. Tak się też stało. „Orędownik" przyjął mnie w poczet stałych współpracowników, podpisałem kontrakt na dwa lata. Do moich obowiązków służbowych należało uważne przeglądanie nadchodzących wiadomości. Wyszukiwałem najciekawsze, przepisywałem je na maszynie i podrzucałem redaktorom poszczególnych działów. Skłamałbym, mówiąc, że ta praca nie sprawiała mi pewnego zadowolenia. Co tu wiele mówić: podobnie jak większość ludzi piszących, nie mam konkretnego zawodu, tzw. „fachu w ręku", i poza pisaniem absolutnie nic nie umiem. Zresztą, mój popas w „Orędowniku" nie miał trwać wiecznie. Umyśl-

nie przykucnąłem sobie w czapce-niewidce anonimowego redaktora od depesz, aby kiedyś po nabraniu sił i oddechu, na nowo poderwać się do lotu...

No, i wtedy to właśnie przyzwyczaiłem się do wstawania o oznaczonej godzinie poranka i do obcowania ze ściennym kalendarzem. Jeden, jak już wspomniałem, wisiał u mnie w domu, w łazience, a drugi w redakcji nad biurkiem. Ho, ho, nabrałem nawet iście urzędniczej rutyny: wciskając tułów za redakcyjne biurko, jednocześnie prawą ręką zdzierałem kartkę z kalendarza, robiłem z niej chrząszczącą kulkę i zręcznym ruchem rzucałem ją do kosza — nigdy nie chybiając celu... Ale właśnie tego nieszczęsnego wtorku pozbawiony zostałem radości celnego rzutu. A jak się stało, opowiem.

Zaczęło się już przy drzwiach. Woźny redakcji, który mnie zawsze pozdrawiał głośnym: ,,Dzień dobry, panie redaktorze!'', a przy tym radosnym dyszkantem, niczym kogucik, piał również moje nazwisko, tym razem zaledwie mruknął pod wąsem: ,,...bry-dzień!''... Z początku nie zwróciłem uwagi na ten fakt: woźny był już stareńki, mógł mnie po prostu nie dostrzec. Ale to jeszcze nie wszystko. Ledwie przekroczyłem próg poczekalni, Fräulein Deubler, sekretarka naszej redakcji, zwróciła się do mnie ze zdawkowo-uprzejmym uśmiechem:

— A pan w jakiej sprawie?

Stanąłem jak wryty, ale rychło zrozumiałem o co chodzi: chce mnie nabrać na jakiś nowy koleżeński kawał — mało to razy nabrała mnie na sfingowaną rozmowę telefoniczną! Trzeba mi więc uszanować infantylne poczucie humoru Frl. Deubler!

— Nazywam się Nowaczek, Jarosław Nowaczek — odpowiedziałem jej przez nos, kłaniając się z przesadną uprzejmością. — Przed godziną zabiłem człowieka z którym poza różnicą płci nic mnie nie łączyło. Chciałbym teraz szanownej redakcji, jak na świętej spowiedzi, wyłuszczyć prawdziwe powody dla których targnąłem się na ,,wyżej wzmiankowaną'' osobę. Do organów sprawiedliwości od dawna nie żywię zaufania, natomiast wasz organ, którego jestem namiętnym czytelnikiem, ba: prenumeratorem, ma prawo dowiedzieć się całej prawdy...

Tak bredząc, chciałem wejść do pokoju, do mego redakcyjnego pokoju, aliści Fräulein Deubler spojrzała na mnie bez cienia uśmiechu. Jej zwiędnięta, staropanieńska twarz, twarz zabiedzonego konia, pokryła się lodem śmiertelnej powagi:

— Kogo mam zameldować? I w jakiej sprawie?

Nie będąc tego dnia w najlepszym humorze, zaprzestałem dalszej zabawy. Wszedłem do pokoju, do mojego redakcyjnego pokoju i... I już w drzwiach spostrzegłem, że za moim biurkiem siedzi rdzawowłosy wyrostek i niezgrabnie wystukuje coś dwoma paluchami na mojej maszynie. Co więcej, bezczelny szczeniak zdarł już kartkę z mojego kalendarza i cisnął ją niedbale na ziemię, nie trafiając do kosza. Na kalendarzu, pamiętam, widniał ,,Wtorek''.

— Co się stało? — zawołałem na pannę Deubler. — Czyżby mnie przeprowadzono do innego pokoju?

— Przeprowadzono? — posłyszałem jej martwy głos. — Co pan chce przez to powiedzieć?

— Cóż ten... ten... jegomość robi za moim biurkiem?

— Herr Neuhold jest naszym nowym redaktorem od depesz. A to jest od dzisiaj jego pokój.

— A czym ja jestem? — krzyknąłem.

W tym momencie rdzawowłosy podniósł się znad mojego biurka, podszedł do drzwi i trzymając rękę na klamce zadudnił zdumiewająco niskim basem:

— Bardzo pana proszę, tylko bez podnoszenia głosu. Siedzę nad pilnym tekstem, zecer czeka na maszynopis, a pan przeszkadza mi w pracy.

W sekundę później zamknął mi drzwi przed nosem. Posłyszałem jeszcze, jak dwoma paluchami wystukuje coś niezdarnie na maszynie, na mojej maszynie.

— Dosyć tej komedii! — powiedziałem twardo. — Chciałbym natychmiast zobaczyć się z naczelnym...

— Nie wiem... Obawiam się, że go nie ma... — zaczęła niechętnie Fräulein Deubler. Widząc jednak, że ściskam pięść na stercie gazet, szybko dorzuciła: — To jest... spróbuję sprawdzić...

Ledwie zaczęła się szamotać ze sznurami centrali telefonicznej, pośrednictwo jej okazało się zbyteczne: Herr Chefredakteur Titinger zjawił się w poczekalni we własnej osobie.

Wybiegłem mu naprzeciw:

— Nie pozwolę się traktować w ten sposób! Nie pozwolę!

— O co właściwie chodzi? — zapytał Herr Titinger, człowieczek nieduży, wiecznie obolały i zakatarzony. I tym razem wyjął chusteczkę do nosa, gotów do walki z przykrą dolegliwością. — Jestem gotów pana wysłuchać...

— Jakim prawem ten smarkacz siedzi za moim biurkiem? — wskazałem rozdygotaną ręką na drzwi, zza których dochodziło nieregularne stukanie dwóch paluchów w klawisze.

— Nie rozumiem pana... — Herr Titinger ukrył twarz w chusteczce.

,,Nie rozumie''! Stary, perfidny wróbel! Na pewno sprowadził na moje miejsce jednego ze swoich krewniaków! Nepotyzm rozplenił się w tym kraju, nie ma co!

— Nie ma pan prawa zwalniać mnie bez wypowiedzenia. Podpisałem dwuletnią umowę z ,,Orędownikiem''.

— Umowę? — zdziwił się Herr Titinger, a zwracając się do Fräulein Deubler teatralnym gestem rozłożył ramiona. — Czego ten człowiek chce od nas? My go nie znamy, myśmy go nigdy nie znali. Proszę pana, niech mnie pan nie męczy...

I tutaj dał istny popis baletu palców, baletu z chusteczką. A to przebierał serdecznym i wskazującym, to puszczał w ruch dwa kciuki, rozwijał chusteczkę jak wachlarz...

— Niech mnie pan nie męczy — powtórzył obolałym głosem i ruszył ku drzwiom. Oparł się jeszcze o futrynę i rzucił mi zakatarzone spojrzenie zza chusteczki. Stanowczo powinien był zostać aktorem komediowym, zamiast marnować się w dziennikarstwie.

Znalazłszy się na ulicy, wstąpiłem do piwiarni. Czas zebrać myśli. Właściwie spotyka mnie zasłużona kara. Zostałem wyrzucony z redakcji, gdyż zdradziłem sam siebie: zostałem redaktorem od depesz, zamiast pisać książki, książki których nikt inny poza mną napisać nie może.

Dobrze ci tak, wylany depeszowcu, skoroś zdradził swoje istotne powołanie! Herr Titinger dobrze czyni, że popiera swego zrudziałego krewniaka, nieuka o dudniącym basie. Jedynie w ten sposób, poprzez końską kurację, ułatwia mi odnalezienie właściwej drogi. Powinienem mu być wdzięczny jak rodzonemu ojcu. Od dzisiaj zaczynam nowe życie, moje własne, prawdziwe życie...

Ale co na to Szarlotka?

Zapłaciłem za piwo i poszedłem do Szarlotki, aby się z nią podzielić najnowszą sensacją. Jeszcze nigdy nie odwiedzałem jej o tej porze. Co też teraz porabia moja mała i dobra Szarlotka? — zastanawiałem się po drodze. — Czy leży na wznak z szeroko rozkrzyżowanymi ramionami? Może huśta się, jak mała dziewczynka, na sprężystym materacu? Pewnie sprząta swoje rozkoszne i przytulne mieszkanko? A może poszła już na zakupy? Miałem zamiar ją zaskoczyć jak dziecko przy zabawie, ale jakoś wcale jej nie zaskoczyłem. Wręcz przeciwnie: oczekiwała mnie, a raczej nie mnie, tylko kogoś innego, kogo najwidoczniej brała za mnie, gdy srebrzystym sopranem odezwała się przez drzwi:

— Ach, to pan! Nie myślałam, że się pan tak szybko zjawi! W niespełna kwadrans po telefonie, ale to nic, to nic...

Miała złoty szlafroczek na sobie, jeszcze nieuczesana i nieumalowana odwracała ode mnie spojrzenie.

— Chwileczkę... łóżko jeszcze nie zasłane — szczebiotała, zasłaniając wycięcie szlafroczka pod szyją. — Drugi pokój też może pan za chwilę obejrzeć. Do łazienki wchodzi się przez sypialnię. Na pewno się panu mieszkanko spodoba. Słońce w każdym pokoju. Sądziłam, że zjawi się pan dopiero za pół godziny, ale to nic, to nic...

I dalejże opowiadać, że w łazience kazała zainstalować elektryczny grzejnik na wodę, a w kuchni przebudować kaloryfer, nie byle jakie inwestycje, jeśli się zważy ile dzisiaj kosztuje robocizna...

Im dłużej grała ze mną w kotka i w myszkę, tym więcej szkód odkrywałem w jej urodzie. Na przykład: ta zmarszczka wokół ust. Dawniej jej nie widziałem. Kurze łapki pod oczami... Ale grała swoją śmieszną rolę niegorzej od Fräulein Deubler czy Chefredakteur'a Titingera. Udawała, że widzi mnie po raz pierwszy w życiu, że jestem — rzekomo — jakimś idiotycznym,

z palca wyssanym reflektantem na jej mieszkanko, który po przeczytaniu ogłoszenia w gazecie przychodzi zajrzeć w cztery kąty. A przecież jeszcze przedwczoraj huśtaliśmy się we dwoje na tym sprężystym materacu! Zapewniała mnie o swojej dozgonnej miłości aż do znudzenia. Po co więc ta żałosna maskarada?

Marta, z którą również przez jakiś czas „chodziłem", też kiedyś udawała, że mnie nie poznaje na ulicy, ale to było zrozumiałe: zaręczyła się z pułkownikiem, mieli się pobrać, pułkownik to nie byle jakiś tam skryba, ale poważna figura. Tak, Marta miała prawo odwracać głowę na mój widok: żyłem z pióra, nie byłem pułkownikiem, ale teraz gdy nie zależę już od kaprysu wydawcy i od żebraczych honorariów, ale jestem na solidnej, miesięcznej pensji, kiedy poważnie myślę o małżeństwie... Nie, Szarlotka nie ma prawa postępować ze mną w ten sposób! Czyżby się już dowiedziała, że straciłem posadę? To niemożliwe! A może jakaś nieznana, podstępna choroba zniekształciła mi rysy nie do poznania? Pisaliśmy kiedyś w naszym „Orędowniku" o podobnych wypadkach. Bodaj, że było to w Chinach czy w Indiach. Twarz nawiedzonego w ciągu godziny pokrywa się tak straszliwą wysypką, że nawet najbliższa rodzina...

Poszedłem do lustra, by przyjrzeć się sobie uważniej. Tak, to moja zacna, nieco już umęczona przez życie twarz, ani sympatyczna ani niesympatyczna, ale na pewno moja własna.

— Dość już tej komedii! — powiedziałem do Szarlotki. — Po jakiego diabła chcesz mi sprzedać swoje mieszkanie?

— Jak pan śmie?! — twarz jej poczerwieniała z oburzenia, na skroniach pokazały się żyły podobne do czyraków. A ja ją przez tyle miesięcy miałem za piękną dziewczynę!

— Jeśli to pana interesuje — odsłoniła nierówne zęby w złym uśmiechu — wyjeżdżam na wieś, do mojego narzeczonego.

Zacząłem się śmiać.

— Pewnieś go znalazła przez ogłoszenie matrymonialne?

— To moja rzecz! Proszę natychmiast...

Otóż to! Już nie raz groziła mi w sprzeczce, że pójdzie „dokąd ją oczy poniosą" i wyjdzie za innego. Któż mógł przypuszczać, że nie była to czcza pogróżka? A więc za moimi plecami już od dłuższego czasu sposobiła się do odwrotu na „z góry przygotowane pozycje"... Nieźle, Szarlotko, nieźle...

— A więc między nami... — przełknąłem ślinę przed wypowiedzeniem banalnej formułki — wszystko skończone?

— Nigdy się nic nie zaczęło — brzydko skrzywiła usta.

Co prawda, to prawda: nigdy jej nie kochałem. Był to typowy romans z lenistwa: mieszkała tylko o kilka kroków od mojego pensjonatu. Ilekroć mnie namawiała, bym sprowadził się do niej na stałe, odmawiałem. Bałem się utraty swobody. Ale dopiero teraz jestem wolny. Właściwie powinienem się radować: dobre fata rozwiązały tego poranka aż dwa postronki.

Mogę wreszcie udać się do domu, zasiąść w spokoju za stołem i pisać...

Ale już wchodząc na schody pensjonatu, poczułem na sobie kolczugę lęku. Co będzie, jeśli i tutaj nikt nie zechce mnie poznać? Im wyżej się piąłem po stromych schodach, tym bardziej lęk przeradzał się w strach, a strach w panikę. A może wszedłem do obcego domu i dzwonię do obcych drzwi? Jeszcze nie wbiłem palca w dzwonek, a już wiedziałem co mnie czeka...

Frau Gruber wychyliła głowę.

— Wszystkie pokoje zajęte!

Nie chciała mnie wpuścić do środka za żadne skarby. Zatarasowała drzwi swoim obrzydliwym cielskiem, przypominającym beczkę zepsutego tranu. Krzyczała, że mnie nie zna, że zawezwie milicję. Miałem tego dość. Odepchnąłem ją od progu, aż się zatoczyła pod ścianę. Dopadłem do drzwi mojego pokoju. Mieszkałem pod „siódemką". Siódemka, to moja szczęśliwa cyfra. Złapałem za klamkę i... znowu to samo!

Na kapie od łóżka, na mojej świeżo upranej i zaprasowanej kapie, leżał jakiś nieznany mi łapserdak, potężny chamuś pod każdym względem. Co gorsza: zabłoconymi buciorami wysmarował całą kapę, kałuża błota czerniła się na dywaniku. Spróbowałbym tak ja z buciorami położyć się na łóżko albo na sofce, nasłuchałbym się od Frau Gruber! Ale temu zwierzęciu wszystko wolno. Dryblas z głośnym charkotem przewrócił się na bok, nie zaszczycając mnie spojrzeniem. Frau Gruber poczęła go przepraszać za przerwanie drzemki i ostrożnie zamknęła drzwi. Gdy poprosiłem o moje rzeczy, zaprowadziła mnie na strych, bym sobie wybrał co pozostało po dawnych lokatorach. Wpatrywała się we mnie z ponurą zajadłością psychiatry, chcącego udowodnić swemu pacjentowi, iż padł ofiarą własnego szaleństwa.

Schodząc ze schodów, zatęskniłem nagle do zacisza mego redakcyjnego pokoju i do objęć Szarlotki. Nic z tego: nie mogę wrócić tam, skąd mnie przepędzono, nie jestem żebrakiem. Poszedłem natomiast do kawiarni na róg, łudząc się że chociaż tam mnie ktoś zechce poznać: jakby nie było od lat należałem do stałej klienteli i siadałem przy tak zwanym „Stammtischu". I rzeczywiście w ciemnym kącie grali w karty Baumann, Nortinger i Schwarz. Co wieczora zaglądałem tutaj na partyjkę, rżnęliśmy w karcięta do późnej nocy, ale tym razem nawet nie podnieśli oczu znad talii, jakby nie zauważyli, że brak im czwartego partnera do gry.

Solidny Herr Baumann, zapięty pod szyję, sztywny jak pastor, był wyższym urzędnikiem państwowym w stanie spoczynku. Chudzielec Nortinger i bezwstydnie tłusty Herr Schwarz byli czynnymi politykami, zasiadali w jakichś komitetach i komisjach, które wydawały im się czymś diabelnie ważnym. Szczerze mówiąc, nigdy mnie nie darzyli większą sympatią. Wiedzieli bowiem, że niewiele sobie robię z polityki. Dlaczego ci

dwaj politykierzy tak łapczywie skorzystali z okazji, by się ode mnie odwrócić, przy odrobinie fantazji potrafię sobie wytłumaczyć, ale że solidny Herr Baumann także się zechce mnie zaprzeć... Nie, ta możliwość, przyznam się, nigdy by mi przedtem nie postała w głowie... Podszedłem grzecznie do naszego „Stammtischu", zapytałem czy wolno mi się przysiąść i zagrać z nimi w karty — potrzebują przecież czwartego! — ale i tym razem nie podnieśli oczu znad talii...

— Nie... — mruknął Herr Nortinger. — Obejdzie się...

— Pardon, przyrzekliśmy jednemu z przyjaciół — powiedział Herr Schwarz.

— Może kiedyś innym razem... — próbował mnie pocieszyć solidny Herr Baumann, i to było wszystko co dla mnie uczynił.

W chwilę później wbiegł do środka jakiś blady, zagruźliczony oberwaniec, usiadł bez pochwalenia Boga do stołu, jakby tylko na minutkę oddalił się od kart, i kaszląc zapytał:

— No, lu go! Kto wychodzi pierwszy?

Baumann i Schwarz wskazali kciukami na chudego Nortingera, który jął karty tasować z taką szybkością, iż mu tylko białe chrząstki przeświecające przez siną skórę łyskały w półmroku.

Wyszedłszy z kawiarni, oparłem się na rogu o latarnię, przygarbiony rosnącym z każdą godziną ciężarem bezradności. Co robić? Co dalej? Dokąd pójść? Na moim łóżku w pensjonacie Frau Gruber rozwalił się jakiś obcy chamuś, za moim biurkiem w redakcji rozparł się rdzawowłosy wyrostek, moja Szarlotka wyjeżdża na wieś w ramiona innego, nawet przy moim „Stammtischu" jakiś obcy łapserdak spod najciemniejszej gwiazdy rżnie w karty z trzema, którzy mnie się zaparli. Nie mam pracy. Nie mam własnego kąta. Nie mam nazwiska. Oczywiście, nie brak w mieście ludzi, którzy mnie znają: kupiec w sklepie delikatesów u którego od czasu do czasu kupuję butelkę wódki, sprzedawca gazet, subiekt w trafice... Widzieli mnie nie raz, znają mnie z widzenia, ale nie wiedzą jak się nazywam, kim jestem i co robię. Jestem dla nich tylko klientem, kupującym wódkę, gazety, papierosy, i byłoby głupstwem nad głupstwami przywoływać ich na świadków dla ustalenia mojej tożsamości. I tak by nie dowiedli, że mieszkałem w pensjonacie Frau Gruber, pracowałem w „Orędowniku", miałem dziewczynę o śmiesznym imieniu Szarlotka, i co wieczora grywałem w karty w moim kawiarnianym kąciku z panami Baumannem, Nortingerem i Schwarzem. Mógłbym pójść na milicję... Ale cóż z tego, że ustalą, jak się nazywam, gdzie i kiedy urodziłem się, kiedy i tak więzy łączące mnie z gazetą, pensjonatem, Szarlotką, karciarzami zerwały się raz na zawsze. Niemiłe słowo: „raz-na-zawsze!"... Próbowałem się pocieszać myślą, że ludzie ci w gruncie rzeczy są mi całkowicie obojętni i na pewno do szczęścia nie potrzebni...

W takim oto, zaiste niezbyt wesołym nastroju, przypomniałem sobie ni stąd ni z owąd dwoje wyklętych z naszej rodziny: ciotkę Barbarę i jej dżokeja czyli wuja Fredka. Nieszczęsna ciotka, ofiara wyścigów konnych, ośmieliła się zakochać w pokracznym karle-dżokeju. Nikt właściwie nie wiedział jak się naprawdę nazywał bohater tego pożałowania godnego mezaliansu. Mówiono wstydliwie: ,,Barbara i ten jej kuc''. Biedny Fredek, kiedy go odwiedzałem (po kryjomu przed rodzicami, ma się rozumieć),dawno już nie był dżokejem: roztył się w małżeństwie, jeszcze bardziej spokraczniał i już nie mieścił się w siodle, jakby swoją figurą chciał zaświadczyć starej prawdzie, że dwom bogom służyć nie można: albo miłość albo sport hippiczny. Nie chcąc jednak zrywać z chlubną przeszłością, założył sobie kantorek, w którym można było nabywać bilety ,,Hippo-Totka'', ot — taki mały, zadymiony sklepiczek z olbrzymim portretem konia, obwieszonego wieńcem zwycięstwa a nad tym wieńcem — uśmiechnięty Fredek u szczytu swej dżokejskiej kariery. Ach, pamiętam tego ,,trefnego'' wuja, zakałę całej rodziny! Otoczony kibicami, spod czapeczki z celofanowym daszkiem wyrzucał zaklęte formułki w rodzaju:

— Nefretete! Cezar! Kasandra! Mississippi!

I nagle olśniło mnie: a gdyby ich tak dzisiaj, tych dwoje niegdyś odtrąconych i zbojkotowanych, odwiedzić? To nic, że taki zwariowany pomysł nazywają u nas: *eine Schnapsidee.* Prawda, nie widziałem ich od wielu długich lat, nie wiadomo czy jeszcze żyją, może już pomarli? A nawet jeśli żyją, mój Boże, pamiętają mnie jako małego brzdąca. Ale wcale nie po to chciałbym ich odnaleźć, by wreszcie być przez kogoś rozpoznanym i przerwać krąg samotności, tylko... Tylko co? Sam już nie wiem po co... Sprawa wcale nie jest taka prosta, i chcąc ją opowiedzieć muszę z kolei przejść z ubawionego tonu niepotrzebnej i niezamierzonej groteski na ton znacznie poważniejszy.

Zwolna zapadał zmrok. Wsiadłem do tramwaju, pamiętając nazwę ulicy i numer domu: 33. Pasażerowie w zabiedzonych paltocikach siedzieli na drewnianych, niezbyt czystych ławkach z oczami wrogo wbitymi w podłogę, dwa rzędy kukieł sprzysiężonych przeciwko mnie, połączonych zmową złego milczenia. Postanowiłem również milczeć, zawsze milczeć i nigdy nikomu nie odpowiadać na pytania, ale i tak mnie nikt o nic nie pytał.

Gdy wysiadłem na bezludnym przystanku, już za miastem, spostrzegłem że ulica Barbary i jej dżokeja zmieniła się nie do poznania. Jakże zmalała w porównaniu z tamtą aleją dzieciństwa! Z odrapanych balkonów zwisały płaty bielizny, na chodnikach stały niewypróżnione kubły śmieci, a powietrze przesycone było tłuszczem z najtańszej garkuchni. Na próżno szukałem numeru 33-go. Nie było go po prawej stronie ulicy, ani po lewej. Między 31 a 35-ym, z potężnej wyrwy między domami powiało zimną i wilgotną pustką. Na niedużym placyku, wśród cegieł i rupieci, czernił się wrak ciężarówki — znak że w po-

bliżu rozciąga się cmentarzysko samochodów. W pogruchotanej szoferce siedział chłopaczyna, może ośmio — lub dziesięcioletni. Z zaciętą miną spoglądał w pustą ramę po wybitej szybie i na wszystkie strony mocował się z resztkami kierownicy. Na mój widok próbował zahamować na odłamku zardzewiałego pedału. Ciężarówka-widmo nawet nie drgnęła, co napełniło go szczerym smutkiem.

— Dom? — spojrzał na mnie ze zdziwieniem. — Tutaj nigdy nie było domu...

Słusznie, za jego pamięci na pewno nie było. Moje pytanie nie miało sensu. Pobiegłem więc za jakimś zabłąkanym przechodniem. Na próżno! Zniknął mi za rogiem jak cień. Jak okiem sięgnąć, pusto, mokro i brudno. Zniechęcony, dałem za wygraną. Wróciwszy między stare żelastwo, usiadłem na wywróconej bańce po benzynie, a chłopiec, mimo deszczu i zapadających ciemności, bawił się we wraku dalej. Zdumiało mnie, że nie słyszę bicia kropli w beczki ani skrzypienia kierownicy w rękach chłopca. Cisza stawała się z każdą minutą dotkliwsza. Czułem się zepchnięty w dół milczenia. Sam już nie wiedziałem czy śnię czy czuwam, czy jeszcze żyję czy już mnie nie ma — nie dający się słowami wyrazić stan zawieszenia w próżni. A może, przyszło mi na myśl, zostałem skazany na zapomnienie i nieistnienie, jeszcze nim zaczęto mnie nie poznawać?...

Ale czas już najwyższy, bym po tylu okrężnych drogach, kołowaniach i słownych wybiegach, wyznał wreszcie całą prawdę i przestał udawać, że nie wiem o co chodzi: od samego początku wiedziałem wszystko. Łatwo powiedzieć: najlepiej byłoby w ogóle nie żyć i nie istnieć, bardzo łatwo...

Rzecz w tym, że nikt mnie milczeniem nie zabił i nikt o mnie nie zapomniał. Wszyscy znali i znają moje nazwisko, ale nie wolno im wypowiedzieć go na głos, gdyż — najzwyczajniej w świecie — spoczywa na nim oficjalna pieczęć milczenia. I nic tutaj nie pomogą pretensjonalne, literackie wybiegi, sprawa jest prostsza niż sądzicie i całkiem w swej prostocie wulgarna: po prostu nie chciałem przyznać się sam przed sobą, że zorganizowano przeciwko mnie bojkot, tę najskuteczniejszą broń, jaką wymyśliło społeczeństwo przeciwko ,,elementom rozkładowym''.

Od najmłodszych lat byłem człowiekiem posłusznym. Prawdopodobnie dlatego, że nikt mnie w domu do niczego nie zmuszał i nigdy nie podniósł na mnie ręki. Jakie to ważne: moje posłuszeństwo było dobrowolne. I dopiero w tych niezapomnianych dniach, gdy w naszym kraju... Tak, właśnie w tych ,,historycznych'' dniach odkryłem w sobie coś dotychczas nieznanego: nieposłuszeństwo. Właściwie nie miałem powodów do niezadowolenia: walczyłem po stronie zwycięzców, co zawsze jest dość ważne, gdy człowiek chce przeżyć, a jednak... Z początku był to tylko niesmak, jak po złym alkoholu, ale stopniowo przeradzał się w niechęć do wczorajszych towarzyszy walki. Byłem wtedy jeszcze bardzo młodym człowiekiem i z instyk-

tówną odrazą spoglądałem na takie oto widowisko: chude, blade twarze rewolucjonistów, których płonące oczy zawsze kojarzyły mi się z aniołami zemsty na bizantyjskich malowidłach, stopniowo zaczęły porastać tłuszczem wielkopańskiego dobrobytu. I tylko oni, ci potężni i nalani tłuszczem po białka oczu, mieli rację. Kto nie dął z nimi w jedną dudkę, tego...

Musieli mnie jednak uważać za swojego, za ,,kombatanta'', gdyż po pierwszej książce udzielono mi jedynie grzecznego pouczenia, abym się dobrze zastanowił nad ,,istotą swego pisarstwa i jego konkretnymi zadaniami''. Po drugiej książce wydawcy zażądali zmiany tematu: rzekomo był ,,nie na czasie''. Polecono mi również, bym pojeździł sobie po kraju i szeroko otwartymi oczami przypatrywał się ludziom i ich sprawom, a wówczas na pewno odnajdę właściwą drogę, bo tylko w ,,kontakcie z terenem'' leży tajemnica pozytywnego stosunku do życia i jego aktualnych potrzeb. Próbowałem posłuchać tej rady, ale — niestety — bez powodzenia. Być może, nie umiałem już odróżnić co jest w życiu pozytywne a co jest negatywne. Wreszcie — wylądowałem w ,,Orędowniku''...

I od tej pory nie spoczywało już na mnie brzemię jakiejś ,,historycznej'' misji i odpowiedzialności, prócz stałej troski o szatę językową wiadomości. Otrzymywaliśmy je od jedynej w kraju, przez państwo kierowanej agencji prasowej. Roboty było co niemiara: agencja nadsyłała swój serwis informacyjny w okrutnym żargonie, przypominającym regulaminy koszarowe skrzyżowane z okólnikami izby skarbowej, natomiast ,,Orędownik'', najstarszy dziennik w kraju, od pokoleń krzewił piękno mowy ojczystej. Toteż nawet pospolite kłamstwa przystrajaliśmy w piękną sukienkę.

Do umiłowanych przez rząd bredni, jakie dalekopis wystukiwał w naszej redakcii, należała stara jak świat bajeczka o okrążeniu naszego kraju przez nieprzyjaciela. Moi dawni towarzysze broni im bardziej łój zaokrąglał im twarze, tym skwapliwiej twierdzili, że oiczyzna nasza znajduje się w nieustannym, i jakże śmiertelnym, niebezpieczeństwie. Co jakiś czas na moim biurku lądowały krew w żyłach mrożące depesze o podstępnych napaściach uzbrojonych po zęby band nieprzyjaciela na nasze posterunki graniczne. Złośliwie szykanowano naszych Bogu ducha winnych obywateli, ilekroć znaleźli się za granicą. Prześladowano naszą mniejszość narodową w obcej stronie. Samoloty ościennego mocarstwa naruszały naszą świętą nietykalność i suwerenność w powietrzu. Wyłapywano na pograniczu umyślnie nasłanych spadochroniarzy-dywersantów. Dzięki czujności naszych władz udawało się od czasu do czasu unieszkodliwić, i to w samą porę, niebezpiecznych agentów, szpiegów i innych knowaczy. Wróg nie spał, a my razem z nim. Może i tam było coś z prawdy w tych dramatycznych meldunkach, ale nie mogłem się oprzeć podejrzeniu, że władcom naszego kraju zależy na wprowadzeniu społeczeństwa w trans histerii patriotycznej,

co zawsze ułatwia sprawowanie rządów w okresach porewolucyjnych.

Szczerze mówiąc, nie przywiązywałem do tych spraw zbyt dużej wagi, dziś jeszcze macham na nie ręką, i sam nie wiem jaki diabeł mnie wtedy podkusił — może dlatego, że na kalendarzyku ściennym zobaczyłem datę „1 kwietnia?" — aby dopuścić się czynu, który, najłagodniej mówiąc, nazwać można „niesmacznym żartem?" Powtarzam: dziwię się sam sobie i swojej decyzji, gdyż nie jestem bohaterem ani materiałem na męczennika. A może po prostu byłem zmęczony wielogodzinnym stukaniem na maszynie?

W każdym razie — stało się: gdy agencja prasowa doniosła, że „dziś o świcie patrol wojsk nieprzyjacielskich znowu przekroczył naszą granicę i całkowicie bezzasadnie ostrzelał naszych żołnierzy, ale chłopcy z ochrony pogranicza, czujni jak zawsze, odpowiedzieli zażartym ogniem na ogień i zadając napastnikowi ciężkie straty, zmusili go do bezładnej ucieczki", sam już nie wiem dlaczego, raczej automatycznie niż z premedytacją, ale na pewno ze złośliwym grymasem na twarzy, zacząłem na mojej maszynie wystukiwać taką oto nowinę „z ostatniej chwili":

> *„Dziś o świcie patrol wojsk nieprzyjacielskich znowu przekroczył naszą granicę i całkowicie bezzasadnie obrzucił naszych żołnierzy kwiatami, ale chłopcy z ochrony pogranicza, czujni jak zawsze, odpłacili pięknym za nadobne i przyjaciołom z drugiej strony granicy rzucili się w objęcia"...*

Ze szczególnym zadowoleniem spostrzegłem, że z oryginalnego tekstu udało mi się ocalić wyświechtane kwiatuszki: „całkowicie bezzasadnie" i „czujni jak zawsze"...

Przypadek sprawił, że żona redaktora działu politycznego tego samego dnia powiła dzieciątko płci męskiej, co w konsekwencji doprowadziło do wielkiego pijaństwa w „Orędowniku". Tak więc mój pierwszy, całkowicie samodzielny, wyczyn redakcyjny ujrzał światło dzienne bez większego trudu. Działałem szybko i instynktownie, nie myśląc o skutkach swego wybryku. Dopiero nazajutrz, gdy rozłożyłem płachtę dziennika przed sobą, strach skoczył mi na piersi jak zły wilczur. Bałem się wstać zza biurka i wyjść z pokoju. Spoglądałem na drzwi, kiedy ukaże się w nich naczelny w towarzystwie dwóch mężczyzn w długich wojskowych butach... Ale jakoś nic się nie wydarzyło. Przez kilka nocy nie zmrużyłem oka, łykałem proszki nasenne, nasłuchiwałem czy nie słyszę kroków na schodach. O dziwo, nic się nie zmieniło. Nadal wystukiwałem wiadomości na maszynie, odwiedzałem Szarlotkę i w naszym kąciku kawiarnianym grywałem sobie w karty z panami Baumannem, Nortingerem i Schwarzem. I tak nic się nie działo, aż do owego pamiętnego wtorku... Teraz już wiem, że przygotowania tego

typu wymagają czasu. Bojkot wymaga starannych wysiłków, musi być konsekwentny i absolutny, w przeciwnym razie nie ma większego sensu. Na głowę skazańca musi spaść niespodziewanie, z całą siłą katowskiego topora. Tak się też stało.

Patrząc na widmowy wrak pogruchotanej ciężarówki, po kolana zagrzebany w starym żelastwie, stwierdzałem z przerażeniem że zabrnąłem. Na mapie mego niedługiego jeszcze życia zabrnąłem do takiego martwego punktu z którego nie wiedzie już żadna droga ani w przód ani w tył. Miejscowość, bez wyjścia, całkowicie odcięta od życia. Mądry Nowaczek po niewczasie. Tyle i tyle najrozmaitszych bolesnych odkryć i doświadczeń poza nim, a dookoła — jak okiem sięgnąć — śmietnik. Jak to tylko pisaliśmy w rocznicowych artykułach w ,,Orędowniku'' o wrogu wewnętrznym? ,,...*a wroga wewnętrznego wyrzucimy na śmietnik historii!*'' Tak pisaliśmy. Oczywiście, mógłbym jeszcze z uporem niebezpiecznego maniaka trykać głową w mur milczenia i bojkotu, ale w niczym to nie zmieni mojej sytuacji. Znalazłem się więc — żeby raz jeszcze posłużyć się stylem naszego ,,Orędownika'' — ,,poza nawiasem''... Załóżmy nawet, wbrew wszelkiej nadziei, że rząd jutro rano zmieni kurs polityki zagranicznej o 180 stopni i dalszy bieg wydarzeń przyzna mi stuprocentową rację, ale czy dawni towarzysze broni o twarzach przerośniętych tłuszczem przebaczą mi nagle grzech w kraju naszym najcięższy: drwinę z władzy? Na pewno nie.

Nic dziwnego, że przyszedł mi na myśl nieszczęsny Budek. Powierzono mu kiedyś w zaufaniu napisanie historii naszego Ruchu. Należał do najwybitniejszych i najlepiej płatnych publicystów zwycięskiej rewolucji. Aż któregoś dnia — daj kurze grzędę, ja wyżej siędę — najwyraźniej przewróciło mu się w głowie: napisał artykuł upstrzony złośliwymi aluzjami pod adresem stylu życia nowej oligarchii. Z początku też się nic nie wydarzyło. Ba, odezwały się nawet naiwne głosy niepoprawnych optymistów, że ,,casus Budek'' oznacza zapowiedź nowej ery w naszej ojczyźnie: wolność słowa drukowanego wraca w triumfie pod rodzinną strzechę! Ale pozory najczęściej mylą. Tak było i tym razem. Cios ugodził go we właściwym czasie, nierychliwy, jak się to mówi, ale sprawiedliwy. Drugie wydanie jego historii ukazało się już bez nazwiska autora. Jednocześnie Budek otrzymał zakaz publikowania w prasie rządowej. (A innej u nas nie ma). Właściwie dopiero na nim uczono się stosowania nowych metod; system bojkotu pozostawiał w tamtych latach jeszcze wiele do życzenia. Budek przez niedopatrzenie dorwał się nawet w jakiejś prowincjonalnej gazecie do stanowiska korektora, i trwało dobrych kilka miesięcy, zanim wykryto tę lekkomyślną pobłażliwość w stosunku do przeciwnika ustroju. Potem udało mu się jeszcze zaszyć w jakiejś placówce wydawniczej jako tłumacz literatury perskiej, ale już po roku zaciągnięto wszystkie oka sieci, upolowana zwierzyna znalazła się w potrzasku bez wyjścia.

Pamiętam jego nagłe pojawienie się w klubie pisarzy i dziennikarzy, kiedyśmy to po ciężkiej pracy zasiadali do butelki krajowego wina. Stanął na progu, cień dawnego wielkiego Budka, i toczył po sali okiem zaszczutego zwierzęcia. Przy długich stołach siedzieli ludzie, którzy jeszcze przed rokiem ubiegali się o zaszczyt podania mu palta w miejscu publicznym, ale teraz nawet nie spojrzeli w jego stronę, tylko w milczeniu, ze spuszczonymi głowami, ciurkali wino z kielichów. Nikt go nie poznał, nie pozdrowił, nawet ukradkiem nie mrugnął do niego okiem. Miałem wrażenie, że na progu słania się żywy trup człowieka który umarł za życia i na próżno doprasza się łaski pogrzebu. Gdy niepożądany przybłęda zakręcił się na obcasie jak pijany i zniknął za drzwiami, odetchnęliśmy z ulgą. Ktoś nawet poderwał się od stołu i na rozcież otworzył okno, by wywietrzyć po intruzie. A potem Budek staczał się coraz niżej. Widywano go z nałogowymi pijakami, złodziejami i włóczykijami. Podobno był na utrzymaniu jakiejś litościwej prostytutki, zanim zaczął zarabiać na wódkę jako tragarz na dworcu. Zorganizowani zawodowo tragarze, element na wskroś patriotyczny, nie chcieli jednak ścierpieć odszczepieńca w swoim gronie. Pobili go raz i drugi aż zaprzestał pokazywać się na peronie. Kiedy go widziałem po raz ostatni, a było to w pobliżu ustępu publicznego na Placu Zwycięstwa, nieogolony, z zaczerwienionymi od wódki i bezsenności powiekami, podobny do szczura, wygrzebywał dygocącymi rękami odpadki ze śmietnika. Szukał, bezwstydny, na oczach tłumu, resztek jedzenia w kuble z popiołem...

Tak, wszystko to widziałem na własne oczy, a czego sam nie widziałem, dopowiedziano mi w klubie, a jednak nie ustrzegło mnie to przed popełnieniem błędów mego poprzednika i towarzysza niedoli, Budka, do którego w tym momencie, na wzgórzu starych puszek po konserwach, poczułem nawet coś w rodzaju braterskiego uczucia. Gdybym podniósł się teraz z wywróconej bańki po benzynie, i obszedł wrak pogruchotanej ciężarówki, na pewno znalazłoby się wśród rupieci kilka podobnych kubłów ze śmieciami. Wystarczy rękę zanurzyć w odpadkach po łokieć i namacać kość z resztkami mięsa na dnie, a duchowy „Bruderschaft" z Budkiem stanie się ciałem...

A jednak, zamiast do kubła z odpadkami, czym prędzej pobiegłem do najbliższej knajpy, aby tanim, cuchnącym sznapsem jak najszybciej rozkojarzyć swój związek z rzeczywistością. Czas przyzwyczaić się do nowego, psiego życia — mówiłem sobie po każdym kieliszku — pij, pij, póki pijesz, nie jesteś psem...

I wtedy to właśnie poprzez hałas oberwańców i lepką kurtynę dymu sklejonego ze smrodem zobaczyłem ten idiotyczny obrazek na ścianie: „Drabina ludzkiego wieku" czy coś w tym guście. Dziesięć progów, a na nich dziesięć nieudolnie kolorową farbką wypędzlowanych postaci. Na samym dole chłopiec bawiący się kołem, nieco wyżej młodzieniec z teczką, jeszcze wy-

żej — dojrzały mężczyzna obejmujący żonę i dziecko... Potem schodki schodziły w dół: zażywny jegomość w dostojnym tużurku, dalej: starszy pan pochylony na lasce, aż wreszcie — na samym dole — starzec ze siwą brodą, najwyraźniej bujający się w fotelu... Pacykarz wypacykował jeszcze Adama i Ewę, drzewo wiadomości złego i dobrego, jabłko i węża, a do tego wysmarował kiczowate wierszyki w rodzaju:

„W dziewiątym życia roku
blask radości w twoim oku"

Albo:

Gdy już stu dożyjesz lat,
toś z wiecznością za pan-brat"...

Śmieszne, ale nie mogłem oderwać oczu od tego bohomazu. Im więcej piłem, tym uważniej przyglądałem się malowidłu. Ba, syciłem oczy każdym szczegółem, chociaż dawniej na widok podobnej potworności rozbolałyby mnie zęby.

Najwidoczniej wszystko razem wzięte jest jednym wielkim kiczem — medytowałem przy kieliszku — a ten nieszczęsny wtorek, rozpoczęty kiczowatą piosenką ulicznej kataryNki o „bławatkach, które kiedyś zakwitną", musi się zakończyć w nędznej knajpie przed takim oto dziadowskim dziełem sztuki... Śmieszne, ale w pewnej chwili złapał mnie smutek, że nigdy nie osiągnę wieku brodatego starca, kołyszącego się w fotelu, i pewnie nigdy już nie wrócę „gdy zakwitną bławatki"... Pożałowałem sam siebie...

I nagle — równie automatycznie jak wtedy, w redakcji, gdy wystukiwałem ową niefortunną wiadomość agencyjną na maszynie, zacząłem pisać list. Właściwie nie był to list, ale anonimowy donosik, napisany wersalikami na kawałeczku papieru:

„UWAGA NA NAVRATILA, KTÓRY NA SWOIM LINOTYPIE ROBI BŁĘDY „NIECHCĄCY-NAUMYŚLNIE" Z CZEGO PÓŹNIEJ WYCHODZĄ TAKIE KWIATKI JAK W NUMERZE Z DNIA 2 KWIETNIA B.R. —
ŻYCZLIWY".

Zapłaciłem rachunek. Co tchu wybiegłem z szynku. Na drugi koniec miasta. Na dworcowy urząd pocztowy. Nie wolno tracić ani jednej sekundy. Tu idzie o życie. Donosik włożyłem do koperty, na której napisałem: „Orędownik" — Herrn Chefredakteur Titinger do rąk własnych!".

Nie odczuwałem najmniejszych wyrzutów sumienia, bo i z jakiego tytułu? Linotypista Navratil był starym walkoniem, należał do kategorii „fotel na biegunach" albo jeszcze gorzej: do raju

Adama i Ewy, podczas gdy ja zbliżałem się dopiero do wierzchołka drabiny ludzkiego wieku, i ani mi w głowie postało być takim skończonym idiotą jak ów cuchnący szmaciarz Budek!

Przez trzy dni kręciłem się po dzielnicy portowej, obijałem się po podmiejskich poczekalniach dworcowych i trzeciorzędnych knajpach. Czwartego dnia rano udałem się do publicznej łaźni na Placu Zwycięstwa, wziąłem natrysk, a w tym samym czasie gdy nastawiałem twarz i klatkę piersiową pod przyjemny, pieszczotliwy strumień ciepłej wody, czyszczono i prasowano mi ubranie. Potem wstąpiłem do fryzjera, kazałem się ostrzyc i starannie ogolić. W drodze do redakcji nie zapomniałem również odwiedzić budki ulicznego pucybuta, który w ciągu kilku minut moje oklejone gliną buciska zamienił w lśniące, eleganckie buciki. Patrząc na szybko po moich noskach czmychającą szczotkę, pomyślałem sobie, że jeśli mój anonimowy list nie doszedł do rąk adresata, mógłbym ewentualnie zająć się czyszczeniem butów, o ile do sprawowania tego odpowiedzialnego zajęcia nie potrzeba specjalnego zezwolenia władz państwowych.

Wchodząc po schodach, wiodących do redakcji, czułem jak z każdym stopniem wstępuje we mnie zimny spokój. Kto wie, czy się nawet nie uśmiechałem do siebie. Zaskoczyło mnie tylko jedno odkrycie: odwołanie bojkotu odbyło się znacznie szybciej i sprawniej niż jego przygotowanie. Woźny redakcji pozdrowił mnie radosnym ,,Dzień dobry, panie redaktorze'' i dopiał do tego dyszkantem moje nazwisko, Fräulein Deubler zachowywała się tak naturalnie, jakbyśmy się widzieli przed kilku godzinami i rozstali w najlepszej komitywie. Mój pokój był pusty. Za moim biurkiem już nie rozpierało się żadne rdzawowłose indywidum. Usiadłem przy maszynie i zacząłem pracować — normalnie, najnormalniej w świecie. A w stołówce, przy obiedzie przysiadł się do mnie sam Herr Titinger. Jeszcze dobrze nie zaczął wiosłować łyżką w zupie pomidorowej, gdy zagadnął mnie z uśmiechem:

— Cóż się też z panem dzieje, drogi panie k o l e g o ? Dlaczego nie napisze pan czasem jakiejś noweleczki albo felietonu do naszego ,,Orędownika''? Czyżby przestał pan uprawiać sztukę pięknego pisania?

I tu zniżył głos:

— Z takim talentem jak pan! Nic, tylko pisać, więcej pisać!...

Aha — pomyślałem sobie — zaczyna się. Nadchodzi okres próby i politycznej kwarantanny. Przywrócono mnie wprawdzie do łaski, ale muszę teraz, syn marnotrawny, wytężoną, spontaniczną pracą dowieść, że zasłużyłem sobie na wielkoduszne zaufania przełożonych. I nie będę mógł już pisać jakichś tam dyrdymałek. ale tylko takie dzieła, które świadczyć będą o mojej stuprocentowej lojalności.

— Dobrze — skinąłem głową — zastanowię się nad tą propozycją.

Herr Titinger rozpoczął swój popisowy balet palców z chusteczką. Tym razem był to istny taniec triumfalny, paluszki śmigały radośnie, chusteczka furkotała jak na majowym wietrze.

— Brawo! — powiedział. — Wobec tego czekam na pański nowy utwór! Damy go do specjalnego numeru z okazji Dziesięciolecia. Kombatanci, naprzód. Nikt tego lepiej nie napisze od pana! Dziękuję w imieniu „Orędownika" i jego czytelników!

Przygwoździł mnie bez wysiłku. Ale — o dziwny mechanizmie natury ludzkiej! — nie zrobiło to na mnie najmniejszego wrażenia. Kapitulacja wcale nie jest tak straszna jak ją niektórzy malują. Chcą żebym napisał utwór „za", proszę bardzo: napisze im utwór „za"!

— *Wie Sie wünschen, Herr Chefredakteur!*

Popołudniu pobrałem zaliczkę na poczet pensji, a po pracy udałem się do mojej uroczej Szarlotki. Po drodze wpadłem przypadkowo na pana Nortingera i umówiliśmy się na partyjkę, na przyszłą sobotę, z tym że uczynny Herr Nortinger podjął się łaskawie zawiadomić pozostałych partnerów. Przyjdą więc zarówno Herr Baumann jak i Herr Schwarz. Spotkamy się oczywiście w naszej kawiarence, przy „Stammtischu".

Szarlotka, co spostrzegłem na pierwszy rzut oka, miała nową fryzurkę w piramidkę plus dwa loczki na czole, a na stole stały świeże kwiaty. Róże herbaciane, które tak bardzo lubimy. Złota dziewczyna, pamięta o wszystkim! Poszliśmy razem na kolacyjkę do najdroższej restauracji w naszym mieście, gawędziliśmy przy stoliku o tym i o owym, ale nie o mojej nieobecności. Późnym wieczorem, gdy leżeliśmy na sprężystym materacu, przytuliła się do mnie jak kotka i szepnęła mi do ucha:

— Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ci się czasem miało coś przytrafić. Nie mogę żyć bez ciebie...

Następnego ranka zabrałem swoje rzeczy z pensjonatu Frau Gruber. Przeprowadziłem się na stałe do Szarlotki. Frau Gruber, dobroduszna, zacna kobieta, rozpłakała się z żalu, słysząc że traci wiernego lokatora, ale na wiadomość że żenię się wkrótce z Szarlotką złożyła mi serdeczne życzenia:

— *Viel Glück!*

Przez ileś tam dni unikałem zejścia do zecerni. Aż wreszcie nie wytrzymałem i po spiralnych schodach zszedłem do hali, pachnącej farbą drukarską i roztopionym ołowiem. Navratila nie było. Na jego miejscu siedział — wyobraźcie sobie — ten sam rudy wyrostek, który swego czasu rozpierał się bezczelnie za moim biurkiem i dwoma paluchami niezdarnie tłukł w maszynę!

Musiałem zbyt natarczywie wpatrywać się w rudzielca, bo w pewnej chwili poczułem czyjąś rękę na ramieniu. Był to niejaki Herr Sandmann, zwany również „Sandmännchen", je-

den z naszych korektorów, niegdyś dziennikarz, ale odkąd zaczął się systematycznie zapijać na śmierć, wylądował tutaj, w Hadesie, jako łowca chochlików drukarskich. Sandmann, mizerota w wiecznie poplamionym kitlu, a przy tym typowy z cicha pękł, korzystał z tego marginesu pobłażliwości, jakim cieszą się w naszym kraju małe dzieci i nałogowi pijacy.

— Widzę, że pan szanowny szuka Navratila... — chuknął mi w twarz rumem. Butelka wystawała mu z kieszeni. Twarz ptaka, ale nie ptaka żywego, tylko wypchanego, nachylił ku mnie z dość arogancką poufałością. — Mnie też brak Navratila. Czyżby pan nie wiedział, że biedak... Tak, tutaj, przy linotypie. Atak serca. I to w całkiem dogodnej, że tak powiem, chwili: bo właśnie przyszło dwóch w wojskowych butach, aby go...

Wskazał palcem na ryżego wyrostka.

— A teraz męczym się i dręczym się z tym potwornym nieukiem. Tępy łeb! Nie ma pojęcia o składaniu. Jednego wiersza nie odleje bez błędu. Istna plaga egipska.

Sandmann nachylił się ku mnie jeszcze poufalej. Ptasie oczka błysnęły mu pijackim szkliwem, siwe piórka spadły mu na czoło.

— Ho, ho — zniżył głos — gdy nasz stary Navratil zrobił jakiś błąd, to zrobił go naumyślnie, no nie? Ale takich błędów, panie szanowny — znowu mi chuchnął rumem w twarz — nie godzi się poprawiać. Takie błędy trzeba szanować. Tak jest, wiem co mówię, trzeba szanować...

Wybiegłem z zecerni dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Cóż ten bałwan plecie? Dlaczego właśnie mnie częstuje swoim bełkotem? Czyżby mi chciał powiedzieć, że Navratil sam sobie zgotował zły los, sam głupstwem własnym?

Chociaż... gdy sobie całą sprawę dokładnie w sumieniu rozważę i odważę, dochodzę do wniosku, że Navratil nabroił w tym samym stopniu co i ja. Ostatecznie — to on złożył mój tekst na linotypie. Powinien był przyjść do mnie i zwrócić mi uwagę na niedorzeczność, zawartą w depeszy. To jasne! A więc — współdziałał ze mną świadomie, wiedział co robi. A ten Sadmann... Tak, ten Sandmann, co tu wiele mówić, umyślnie nie poprawił błędów, popełnionych przez Navratila. Sam powiedział, że takie błędy „należy szanować''. A więc i on ponosi odpowiedzialność za to, co się stało. Swoja drogą, ten Sandmann... Nie dość że pijaczyna, to jeszcze krętacz i kanalia...

A może to wszystko nieprawda? Może Navratil był po prostu tamtej nocy przemęczony, pewnie tekst skakał mu przed oczami i nawet nie zauważył, co składa? A Sandmann, jak to Sandmann, mógł w czasie robienia korekty być w stanie nietrzeźwym? Może w ogóle nie rzucił okiem na odbitkę? A może?...

Nie, nie mogłem się uspokoić.

W kilka dni później Sandmann znowu napatoczył się na mnie. Na korytarzu. I znowu był pijaniusieńki. Z trudem trzy-

mał się na nogach. Obmacywał ścianę ręką jak ślepiec. Język co chwilę zwijał mu się w trąbkę.

— A czy opowiadałem już panu o jego psie?

— O czyim psie? — próbowałem zejść mu z drogi.

— Chwileczkę... — złapał mnie za rękaw. — O psie Navratila. Posłuchaj pan, to... to... naprawdę wzruszające. Wyobraź pan sobie: on miał psa. Co mówię „psa"! Kundla, parszywego kundla, z którym po powrocie z drukarni włóczył się po nocach. Ale, jak pan wie, któregoś dnia nasz biedny Navratil — hops! — do Bozi...

— Wiem, słyszałem...

— Chwileczkę, posłuchaj pan, bo to rzewne, że tak powiem, bardzo rzewne. Navratil u Bozi, a biedna, osierocona psinka czeka, furt czeka... Z nikim innym na nocny spacer iść nie chce. wierne stworzonko, co? Nic, tylko furt czeka, źreć, panie, nie chce, i tylko wyje... Musieliśmy pieska uśpić. I powiedz pan sam: mówią, że my, ludzie, mamy duszę, a psy nie mają. Bujda! Pies od człowieka szlachetniejszy, wierz mi pan: szlachetniejszy!...

Odszedł, potrząsając siwymi frędzelkami na czole, a ja sobie pomyślałem, że nazwisko Navratil nie bez powodu wywodzi się od słowa: „nawracać". Navratil — człowiek, który odchodzi i znowu przychodzi...

Nie jestem bynajmniej przesądny, ale dość często myślę o dziwnym znaczeniu tego nazwiska, zwłaszcza gdy stary linotypista nawiedza mnie we śnie lub we wspomnieniu.

Dziwne, że twarzy jego już nie mogę sobie przypomnieć — rozpłynęła się w niepamięci. Widzę tylko jego stare, żylaste ręce na klawiaturze linotypu. Czasem chwyta za stojącą przy linotypie butelkę mleka, to ją znowu odkłada, i sine, pokrzywione palce grają na maszynce dalej — jak na pianinie. Wystukuje coś powoli i bardzo starannie — może list w swojej obronie, a może akt oskarżenia, ale z linotypu nie wydobywa się ani jedno słowo. Kłębi się tylko długi, niekończący się zwój niezapisanego, białego jak śnieg papieru.

Milo DOR

(Z niemieckiego przełożył Tadeusz NOWAKOWSKI)

W przede dniu

Fakty są suche a cyfry nudne. Ale w pewnych wypadkach nie należy pomijać cyfr a faktów lekceważyć.

Według doniesień prasy, amerykańscy przemysłowcy zamierzają zainwestować w niemiecki przemysł zbrojeniowy 1.000.000.000 dolarów. ,,Dornier'', ,,Messerschmidt'', ,,Heinkel'' — odradzają się jak feniks choć nie z popiołów ale z dolarów. Nieszczęsne polskie miasta zrównane z ziemią Heinklami, Messerschmidtami i Dornierami odradzają się dosłownie z popiołów, bo któż by inwestował dolary w wschodnio-europejskie ruchome piaski.

Zachodnie Niemcy w najbliższym czasie będą posiadały ponad tysiąc ,,supersonicznych'' bombowców przystosowanych do akcji atomowej. Bundeswehra dysponuje już dwoma typami pocisków balistycznych a niebawem otrzyma rakiety ,,Mace'' i ,,Matador''.

Powtarza się w kółko, że Niemcy nie mają i nie otrzymają głowic atomowych, które po wieczne czasy spoczywać będą w magazynach i pod kluczem amerykańskim. Lecz prez. Eisenhower oświadczył, że rząd amerykański chciałby uzyskać uprawnienia umożliwiające przekazanie broni nuklearnej sojusznikom pewnym i godnym zaufania. Wiemy skąd inąd, że Pentagon nie ma żadnych zastrzeżeń w tej materii w stosunku do Bundeswehry.

Gdybym był Niemcem prześladowałoby mnie pytanie: dlaczego i w imię czego powieszono w Norymberdze Ribbentropa, Franka, Streichera i całą resztę?

Powieszono tych ludzi w Niemczech aby nie było więcej antysemityzmu, zbrojeń, nacjonalizmu, roszczeń terytorialnych — by wreszcie na pięknej ziemi niemieckiej zakorzeniła się demokracja i sczezł pruski, autorytatywny, feudalizm.

Sprzymierzeni zachodni nie dotrzymali żadnej ze swych obietnic. W piętnaście lat po procesie norymberskim ex-hitlerowcy zajmują nadal ważne stanowiska w administracji państwowej. Koncern Kruppa, który miał ulec likwidacji — kwitnie i jest najpotężniejszą organizacją przemysłową na kontynencie. Swastyki na synagodze w Kolonii zdetonowały falę antysemityzmu, która objęła dwieście czterdzieści trzy miasta w trzydziestu czterech państwach świata. Widowisko, które swym zasięgiem musiałoby wprowadzić w radosne zdumienie samego Streichera gdyby dożył tej chwili.

Kanclerz Adenauer mówi o ,,historycznej misji'' zleconej Niemcom przez Boga a instytuty wschodnie drukują mapy obejmujące ,,Ostgebiete'', których ministrem był kiedyś Alfred Rosenberg.

,,Führerprinzip'' triumfuje. Niemcy jak dawniej wolą zawierzyć swój los autorytetowi jednostki niż maszynerii demokratycznej.

Na obronę Niemców trzeba powiedzieć, że demokracja została im narzucona w sposób identyczny jak Polakom narzucono komunizm. Tak jak nie było w Polsce żadnej rewolucji komunistycznej tak w Niemczech nie było żadnej rewolucji demokratycznej.

Cudzoziemcowi nie łatwo jest zrozumieć ten problem. Hitleryzm ma dwa aspekty. Obozy koncentracyjne, SS, masowa eksterminacja Żydów — to jest jeden aspekt. Należy przypuszczać, że znakomita większość narodu niemieckiego bezkompromisowo potępia zbrodnie Himmlera i SS. Ale istnieje jeszcze inny aspekt tego zagadnienia, który wiąże się z istotą i rdzeniem niemieckiej tradycji. Mam na myśli lojalność w stosunku do legalnych władz państwa i wierność wojskowym sztandarom. Historia spisku przeciwko Hitlerowi stanowi doskonałą ilustrację dwoistości tego problemu. Spiskowcy — wysocy wojskowi wychowani w zakonie niemieckich cnót niczego nie dokonali, bo nie zdołali przekonać w pełni samych siebie, że spisek jest czymś dopuszczalnym.

Autor ,,Die Grosse Deutsche Tour'' — Carl Amery w jednym ze swoich szkiców stwierdza: ,,Armia Federalnej Republiki uważa się za dziedzica 20 lipca 1944 roku. Jest to ze strony armii akt godny pochwały — niemniej fakt ten odzwierciadla straszliwy dylemat dzisiejszych Niemiec. Albowiem armia federalna musi sobie zdawać z tego sprawę, że uznanie 20 lipca jest w gruncie rzeczy salwą honorową nad grobem niemieckiej modły życia''.

Uznanie 20 lipca jest aprobatą rewolucji, która się nie powiodła. A rewolucja nie udała się dlatego, ponieważ w ramach tradycji, której filarami były armia i korpus urzędniczy — nie było miejsca na rewolucjonistów. By czynnie przeciwstawić się Hitlerowi trzeba było odrzucić coś znacznie więcej niż hitleryzm.

Generałowie, którzy nie przystąpili do spisku, którzy wykazali wierność sztandarowi i legalnej władzy państwowej — w oczach przeciętnego Niemca działali zgodnie z nakazami niemieckiej tradycji, realizując do gorzkiego końca kodeks pruskich cnót.

W sumie uznaje się spiskowców, bo trudno ich nie uznać i równocześnie uznaje się tych, którzy nie przystąpili do spisku. I tu leży źródło owej dwuznaczności z której Niemcy do dziś nie zdołali się wydostać.

Zachodnie Niemcy przystosowują się do amerykanizmu. W skali przedwojennych tradycyjnych wartości oficer zawodowy stał hierarchicznie niepomiernie wyżej od ,,businessman'a'', którego dochód tygodniowy mógł przekraczać roczną pensję oficera. Obecnie w wyniku zmienionych warunków powstała w Niemczech Zachodnich nowa, liczna i potężna warstwa przemysłowo-kupiecka. Warstwa ta nie tylko osiągnęła wysoki stopień zamożności w nieprawdopodobnie krótkim czasie — lecz również wyzbyła się wszelkiego niemieckiego idealizmu. Wyznaje materializm nieupiększony żadnymi pozorami. ,,Co dobre dla Forda, dobre i dla Stanów Zjednoczonych''. Analogicznie ,,co dobre dla Mercedesa dobre i dla Federalnej Republiki''.

,,W dzisiejszych Niemczech nie ma żadnej planowanej akcji przeciwko wszechwładnemu materializmowi'' — stwierdza melancholijnie Carl Amery.

W przeszłości bywały okresy, że słabe politycznie Niemcy kwitły intelektualnie zdobywając zaszczytne miano kraju poetów i myślicieli. Lecz dziś wybitny krytyk Friedrich Burschell mówi o głębokiej ,,malaise'' zachodnio-niemieckich intelektualistów. Osobiście przywiązuję większą wagę do ocen Burschella niż innych krytyków — ponieważ Burschell był politycznym emigrantem i piętnaście lat mieszkał w Anglii — co pozwoliło mu zdobyć perspektywę w stosunku do własnego narodu.

Intelektualiści zachodnio-niemieccy uważają, że NRD a nie Federalna Republika — posiada najlepszy niemiecki teatr. NRD obdarowała kulturę niemiecką najwybitniejszym dramaturgiem w osobie Bertholda Brechta a pośród swych uczonych posiada najciekawszego z współczesnych filozofów Ernsta Blocha.

Istnieje jeszcze inny wariant niemieckiej ,,malaise''. W jednym z poprzednich artykułów wspomniałem o książce W.S. Schlamma pt. ,,Die Grenzen des Wunders''. W książce tej, która rozeszła się w nakładzie 35.000 egzemplarzy — Schlamm domaga się od Amerykanów, by uznali suwerenność Niemiec w stosunku do wszystkich ziem, które wchodziły w skład ,,Reichu'' w roku 1939.

Czytelnik niezorientowany w sprawach niemieckich skłonny będzie uważać książkę Schlama za wyskok indywidualny bez większego znaczenia. Bliższa analiza tego problemu wykaże

jednak, że zarówno w tym jak i w innych wystąpieniach, które cytuję poniżej — nie chodzi o zwykły ziomkowski, krzykliwy rewizjonizm. Ci panowie nie operują również profesorskimi historycznymi argumentami. Autorzy o których mówimy mierzą znacznie wyżej. Ich celem jest wypracowanie koncepcji rozwiązania „kwestii rosyjskiej". Jako sojusznicy Nr 1. Stanów Zjednoczonych na kontynencie — Niemcy usiłują podsunąć Waszyngtonowi politykę, której celem byłoby zepchnięcie Rosji na linię Curzona i powrót Niemiec na europejski Wschód. Wówczas politycy w Waszyngtonie mogliby spać spokojnie, bo sojusznik niemiecki warowałby na granicy rosyjskiej. Po tych liniach idą rozważania zarówno Schlamma jak W. Starlingera („Grenzen der Sovietmacht") jak i J.F. Barnicka („Die Deutschen Trumpfe"). Książek tego typu i artykułów w periodykach jest już zbyt wiele, by można je zakwalifikować jako niewinne występy kilku ekscentryków. Wspólną cechą tych opracowań jest swoisty filo-amerykanizm oparty na przekonaniu, że Stany Zjednoczone nie będą miały innego wyboru tylko oprzeć się na Niemczech w rozgrywce z Rosją. A Sowiety wybiorą wówczas mniejsze zło i wycofają się na linię Curzona. By zrealizować ten program Niemcy muszą się zbroić, cierpliwie czekać i trwać fanatycznie wiernie przy swym amerykańskim sojuszniku.

Czynniki oficjalne w Bonn są oczywiście bardziej powściągliwe w swych wypowiedziach. Ale skłonny jestem przypuszczać że na dnie duszy myślą podobnie jak pp. Barnick czy Schlamm. W czasie debaty w Izbie Gmin (16 luty br.) Jennie Lee przedstawiła biuletyn wydany przez niemiecką ambasadę w Londynie. Okładkę tego wydawnictwa stanowi mapa Niemiec w ich dawnych granicach. Wrocław — według tego oficjalnego, adenauerowskiego biuletynu leży w „Ostdeutschland".

Ale rozważywszy wszystkie *pro* i *contra* gotów jestem bronić Niemców. Bo nie zrobiono absolutnie niczego, by im ułatwić wyjście z historycznego i narodowego kryzysu. W dniu, w którym przywrócono w Niemczech służbę wojskową — szereg pism w Monachium ukazało się w czarnych, żałobnych obwódkach. A dziś ci sami Niemcy godzą się bez sprzeciwu na bronie nuklearne i bazy pocisków balistycznych. Był czas kiedy Konrad Adenauer stał na baczność przed reprezentantami armii okupacyjnej. Dziś, ten sam Adenauer uważa, że status Berlina nie może być zmieniony bez jego zgody — co jest tym zabawniejsze, że „status" Berlina opiera się na „bezwarunkowej kapitulacji Niemiec".

Osobiście nie wierzę w re-edukację narodu niemieckiego czy jakiegokolwiek innego narodu. Ale co innego jest re-edukacja a co innego jest celowe uwarunkowanie. Przez uwarunkowanie w tym kontekście rozumiem zespół faktów do których dany naród musi się przystosować. Propaganda nie ma żadnej wartości. Wartość wychowawczą mają tylko fakty. Nie jest

rzeczą możliwą przeprowadzić re-edukację wszystkich Niemców, którzy w przeszłości w ten czy w inny sposób związani byli z ruchem hitlerowskim. Ale było i jest nadal możliwe wymusić na władzach Republiki Federalnej przeprowadzenie konsekwentnej czystki w administracji, szkolnictwie i w wojsku. Nie jest rzeczą możliwą organizacjom ziomkowskim, panom Schlammom czy Starlingerom zabronić publikowania planów rozbioru Polski. Ale jest rzeczą możliwą wykazać narodowi niemieckiemu, że plany tego rodzaju są nonsensem.

Gdyby Stany Zjednoczone uznały granice na Odrze i Nysie — zaborcze rojenia cytowanych powyżej autorów utraciłyby wszelką podstawę. Wówczas pisarz polityczny domagający się granicy niemiecko-rosyjskiej na linii Curzona naraziłby się na śmieszność. Brak uznania granicy na Odrze i Nysie Niemcy interpretują jako cichą aprobatę ich roszczeń, których zasięg rośnie z każdym rokiem.

Nieporozumienie w sprawie Niemiec sprowadza się do następującej kwestii. Zachodni zwolennicy pełnego uzbrojenia Federalnej Republiki twierdzą, że jeżeli Niemcy mają być sojusznikiem to muszą być traktowane na równi z innymi sojusznikami.

Powyższy pogląd w ogólnym jego brzmieniu jest logiczny i słuszny. Należy tylko zapytać o jakich Niemczech mowa? Bo nie każde Niemcy winny być pełnoprawnym i uzbrojonym sojusznikiem. Nie na to prowadziliśmy wojnę by naszym sojusznikiem był rząd niemiecki, w którym zasiadają eks-hitlerowcy. Nie na to prowadziliśmy wojnę by za sojusznika mieć Niemcy zgłaszające pretensje terytorialne pod adresem Polski i innych krajów Europy środkowo wschodniej. Dziesiątki milionów ludzi położyło swe życie by w centrum Europy powstały Niemcy — wolne, demokratyczne, nie wyciągające zbrojnej ręki po cudze ziemie. Tylko takie Niemcy mogą być pełnoprawnym sojusznikiem Zachodu. I takie Niemcy nie są mitem. Takie Niemcy można było stworzyć.

Za kilkanaście miesięcy siły lądowe NATO zostaną zmajoryzowane przez Bundeswehrę. To znaczy, że indywidualny udział Niemiec będzie większy od sumy udziałów wszystkich pozostałych sojuszników. I ten fakt decyduje o wszystkim. W Pentagonie panuje przekonanie, że Niemców nie należy sobie zrażać i należy ich brać takimi jacy są. Niemcy rozgrywają sytuację bardzo sprytnie — starając się torpedować ,,odprężenie'' — zdają sobie bowiem sprawę, że ,,détente'' między Moskwą a Waszyngtonem spowodować musi obniżkę kursu niemieckiej karty. I przeciwnie, każde zaostrzenie kryzysu między Rosją a Stanami Zjednoczonymi zwiększa szansę zaakceptowania przez Waszyngton żądań niemieckich. A gdyby kiedyś dojść miało do wycofania się Rosji z Europy wschodniej — to na miejscu będą Niemcy i niemieckie siły zbrojne NATO a nie Amerykanie. Wówczas powie się Polakom to, co im już po-

wiedziano przy innej okazji, że... muszą się ułożyć ze swoim potężnym sąsiadem, bo tego wymagają racje geopolityczne.

Tego rodzaju perspektywy mogą dziś wydawać się nierealne. Rosja i Ameryka — z różnych przyczyn nie dążą do zaostrzenia konfliktu w Europie czy gdziekolwiek indziej. Ale któż zaręczy czy za kilka lat nie pojawi się w Niemczech przywódca, który postawi na jedną kartę jeżeli nie wszystko to bardzo wiele. Kto mu się przeciwstawi w Republice Federalnej? Intelektualiści — liberałowie — socjaliści?

Lecz nie wybiegając zbyt daleko w przyszłość — trudniejszą dziś do przewidzenia niż kiedykolwiek przedtem — stwierdzić należy, że sytuacja obecna wymaga obiektywnego wyjaśnienia. Albowiem problem stosunków niemiecko-amerykańskich dotyczy nas jak najbardziej bezpośrednio.

Jako emigracja polityczna uważamy się za sojusznika Stanów Zjednoczonych. Po dwudziestu latach pobytu na obczyźnie emigracja reprezentuje dwojakie interesy. Reprezentujemy — gorzej lub lepiej — interesy Kraju i reprezentujmy nasze własne interesy. W tym nie ma nic złego. Emigracja, by spełnić swoje zadanie musi istnieć — musi mieć środki i możliwości działania. Wszyscy sojusznicy Ameryki korzystają z jej materialnej pomocy. Nie widzę powodu, dla którego emigracja polska miałaby tej pomocy odmawiać. Oczywiście pod warunkiem, że za ową pomoc nikt nie wymaga od nas przymykania oczu na istotne interesy Polski.

Sojusznicy naszych sojuszników są i naszymi sojusznikami ale i tu muszą być zachowane pewne warunki. Nie wyobrażam sobie, by Francja mogła być sojusznikiem pro-amerykańskich Niemiec, gdyby rząd w Bonn zgłaszał terytorialne pretensje pod adresem Paryża.

Przywódcy emigracyjni rozgrzeszają się w tej delikatnej materii — antykomunizmem. Stojąc na tej platformie można łatwo godzić interesy narodowe z interesami tak emigracyjnymi jak i osobistymi.

Niestety tylko Amerykanie mogą sobie pozwolić na takie uproszczenie i przyjąć antykomunizm za jedyną normę oceny. My nie jesteśmy w takiej sytuacji. Jesteśmy antykomunistami, ale nie wszyscy antykomuniści są naszymi sojusznikami. Pozycja emigracji politycznej jest niezmiernie trudna. Ale choćby nasza sytuacja na Zachodzie okazać się miała beznadziejna — w żadnym wypadku nie powinna być fałszywa.

Uważamy Amerykę za sojusznika. Ameryka jednak nie uznaje naszej zachodniej granicy a Niemcy, jej czołowy sojusznik na kontynencie europejskim — zgłaszają pretensje terytorialne obejmujące jedną czwartą obszaru Polski. To jest sytuacja, której nie możemy biernie akceptować jeżeli pragniemy zachować tytuł do reprezentowania interesów narodowych. Jako obywatele państw obcych czy jako DP możemy przebywać na Zachodzie bez względu na sytuację — ale reprezentować

naród polski możemy tylko przestrzegając pewnych ściśle określonych warunków.

Osobiście nie jestem germanofobem i nigdy nim nie byłem. Uważam, że los Polski jest ściśle związany z kwestią niemiecką. Bez zjednoczenia Niemiec nie można liczyć na istotną poprawę sytuacji Polski. Niemcy zachodnie winny uznać granice na Odrze i Nysie i tym aktem otworzyć nowy rozdział w historii stosunków polsko-niemieckich. Ale żaden rząd niemiecki nie uzna tej granicy dopóki sojusznicza Ameryka wzbrania się jej uznać. Waszyngton umożliwił Niemcom sparodiowanie dullesowskiej ,,polityki wyzwolenia'', która w niemieckim wydaniu cementuje tylko zależność Polski od gwarancji sowieckiej.

Amerykanie twierdzą, że sprawa granic niemieckich może być ustalona tylko w traktacie pokojowym ze zjednoczonymi Niemcami. W gruncie rzeczy to jest tylko pretekst nie wytrzymujący krytyki bo do traktatu pokojowego ze zjednoczonymi Niemcami może w ogóle nie dojść.

Natomiast jest daleko prawdopodobniejsze, że po pewnej serii kryzysów i konferencji ,,na szczycie'' mocarstwa zachodnie — wzamian za ustabilizowanie sytuacji w Berlinie — uznają *de facto* NRD włącznie z granicą na Odrze i Nysie. Wówczas Niemcy zachodnie będą uważały, że zostały ,,sold over the river'' — a Polacy będą przekonani, że międzynarodowe uznanie granicy zachodniej zawdzięczają wyłącznie naciskowi Rosji. Ameryka zostanie wówczas w całości obrabowana z wszelkich korzyści związanych z inicjatywą w sprawie granicy na Odrze i Nysie.

Nie należy nawet pośrednio podsycać nacjonalizmów, zwłaszcza gdy się nie wie co robić w razie wybuchu. Nie należy Węgrów zachęcać do powstań i nie należy Niemcom pozostawić choćby cienia złudzeń w sprawie ich rewizjonistycznych roszczeń.

Gdyby Ameryka dziś — nie w wyniku przetargów z Sowietami, ale po przeprowadzeniu rozmów z rządem w Bonn — oświadczyła, że linię Odry-Nysy uważa za ostateczną granicę Polski — byłoby to dla opinii niemieckiej łatwiejsze do strawienia. Tym bardziej gdyby Amerykanie równocześnie zaznaczyli, że stać będą twardo w sprawie Berlina i nie przestaną domagać się zjednoczenia Niemiec.

Amerykanie przed konferencją ,,na szczycie'' powinni oczyścić swą politykę w stosunku do Niemiec z dwuznaczności i niejasności. Gdy się narodowi narzuca siłą bezwarunkową kapitulację — to w pewnym sensie bierze się za ten naród odpowiedzialność. Tak pojmował swą rolę w Japonii gen. MacArthur.

Sytuacja wewnętrzna w Niemczech ukształtowałaby się inaczej gdyby Amerykanie od samego początku postawili jasno sprawę granic. Drugi punkt dotyczy eks-hitlerowców. Amerykanie mają prawo i możliwości domagania się od rządu w Bonn usunięcia eks-hilerowców z administracji państwowej z armii i ze szkolnictwa. Eks-hitlerowiec na stanowisku państwowym

jest daleko większą obrazą dla uczuć demokratycznych niż niewinna opowiastka skreślona na rozkaz MacArthura z japońskich podręczników szkolnych, że Mikado pochodzi w prostej linii od bogini słońca.

Mamy nie tylko prawo ale i obowiązek domagania się od Amerykanów jasnej wypowiedzi w sprawie Odry i Nysy, gdyż możemy uważać się za sojuszników Ameryki tylko w przeświadczeniu, że Stany Zjednoczone uznają tę granicę. W przede dniu konferencji ,,na szczycie'' powinniśmy naszym amerykańskim przyjaciołom wyjaśnić bez niedomówień nasz punkt widzenia w kwestii Niemiec. Przede wszystkim należy powiedzieć Amerykanom spokojnie i otwarcie, że w sprawie granicy na Odrze i Nysie nie możemy ustąpić. Gdybyśmy ustąpili — stracilibyśmy automatycznie tytuł do reprezentowania interesów polskich w wolnym świecie i przestalibyśmy być emigracją polityczną.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LEKCJA Z PROCESU

Proces gen. Andersa powinni przestudiować dokładnie adepci sztuki dziennikarskiej. O co chodziło p. Gasiowi, londyńskiemu korespondentowi ,,Narodowca''? P. Gaś dowiedział się, że Koło Generałów ,,naciska na obwołanie gen. Andersa prezydentem lub ,,leaderem'' Polski Walczącej''. P. Gaś — w zgodzie z kierunkiem pisma, które reprezentuje uważał, że należy się przeciwstawić tego rodzaju koncepcji. Każdemu wolno myśleć a nawet pisać, że gen. Anders nie nadaje się na prezydenta. Nie każdy generał musi się nadawać na prezydenta. W wielu wypadkach zawodowi wojskowi nie są najlepszym materiałem na mężów stanu. Marszałek Montgomery jest wodzem o legendarnej sławie — niemniej jego polityczne wystąpienia budzą wiele zastrzeżeń.

P. Gaś przystąpił do swego dziennikarskiego zadania tradycyjnie po polsku. Jeżeli p. Iksowi nie spodoba się luźna uwaga Londyńczyka o teatrze emigracyjnym — to zamiast napisać, w zgodzie z prawdą, że felietonista ,,Kultury'' nie ma pojęcia o teatrze — pan Iks napisze, że Londyńczyk kolaboruje z reżymem, sprzedaje Lwów i Wilno i stacza się ponuro z platformy niepodległości. Oczywiście, że taki człowiek nie może zabierać głosu w sprawach emigracyjnego teatru.

My zawsze staramy się zdyskwalifikować naszego przeciwnika. Jeżeli kogoś napiętnuje się jako złego Polaka — nie ma powodu z nim dyskutować — i wystarczy po prostu zamknąć przed nim drzwi. Ta metoda nie stanowi bynajmniej wyłącznej specjalności ,,Narodowca''.

Metoda dyskwalifikowania przeciwnika wyklucza stosowanie logicznego rozumowania, które stanowić winno kościec każdego publicystycznego wystąpienia.

Charakterystyczny jest również zestaw dyskwalifikujących zarzutów. P. Gaś jednym tchem zarzuca gen. Andersowi, że w czasie pierwszej wojny światowej nie czuł się Polakiem a w czasie drugiej wojny światowej był wrogiem gen. Sikorskiego. Wnioskować należy, że w opinii p. Gasia oba zarzuty są równie dyskwalifikujące i równie hańbiące.

Tego rodzaju zestawienie jest absurdalne. Gdyby zarzut pierwszy nie był wyssany z palca — byłby zarzutem niezmiernie poważnym. Zarzut drugi — nawet gdyby był udowodniony — w ogóle nie jest zarzutem. Każdemu wolno być przeciwnikiem gen. Sikorskiego — tak jak każdemu wolno być przeciwnikiem gen. Andersa.

,,Daily Mail'' cytuje wypowiedź gen. Andersa, z której wynika, że p. Gaś miał możliwość wycofania się z całej sprawy. Gen. Anders domagał się by ,,Narodowiec'' wydrukował przeproszenie — oferując wzamian rezygnację z drogi sądowej. Korona nie spadłaby z głów pp. Gasia i Kwiatkowskiego — gdyby na łamach ,,Narodowca'' zamieścili przeproszenie. Dlaczego tego nie zrobili — mimo, że mieli tyle czasu?

Wydaje się że p. Kwiatkowski oraz główni jego świadkowie prof. Kot i p. Mikołajczyk — sądzili, że rozprawa przemieni się w historyczny proces pomiędzy dwiema polskimi orientacjami politycznymi i zakończy się wyrokiem potępiającym poltykę gen. Andersa.

Jeżeli takie były ich zamiary to trzeba stwierdzić, że przekreślili wszystkie swoje szanse kardynalnymi błędami taktycznymi. Trudno pojąć, że prof. Kot — któremu nie brak sprytu i doświadczenia politycznego — nie zdołał przekonać p. Kwiatkowskiego, że przed rozprawą należy wycofać zarzuty szkalujące gen. Andersa a z jego polityką nie mające nic wspólnego. Lecz nienawiść osobista i pieniactwo wzięły górę nad logiką i rozsądkiem. Wycofanie tych zarzutów nie leżało w interesie gen. Andersa. Gen. Anders był bowiem pewien, że będzie mógł udowodnić ich całkowitą bezpodstawność i złą wolę (*malice*) pozwanych. Gdy ława przysięgłych w trakcie rozprawy nabrała przekonania, że pierwsze dwa zarzuty są bezpodstawne i dyktowane złą wolą — jakie miała przesłanki do wnioskowania, że trzeci zarzut wysunięty jest w dobrej wierze? Dzięki nie wycofaniu oszczerczych i nieprawdziwych zarzutów — pozwani przedstawili się ławie przysięgłych i sądowi w możliwie najgorszym świetle, co nie ułatwiło im przeprowadzenia dyskusji zasadniczej dotyczącej ,,rosyjskiej'' polityki gen. Andersa. Gdyby natomiast pozwani wycofali oszczercze zarzuty — stanęliby przed ławą przysięgłych w sprawie imponderabiliów a nie w sprawie personalii. Ale oczywiście naszym politykom chodzi zawsze o personalia i tylko o personalia.

Jeżeli proces traktować jako konfrontację dwóch orientacji to trzeba stwierdzić, że pozwani i ich świadkowie wykazali całkowity brak zmysłu politycznego i taktycznego. Mieli doskonałych obrońców ale przy takim

„planie bitwy" klęska była z góry przesądzona. Ci panowie — mimo wieloletniego pobytu na Zachodzie — absolutnie niczego się nie nauczyli. W Polsce przed wojną można było wykończyć przeciwnika insynuacjami i oszczerstwami. Ale w Anglii jeżeli komuś stawia się zarzuty to trzeba umieć je udowodnić.

Z historycznego punktu widzenia rozprawa przyczyniła się do uwypuklenia roli gen. Andersa jako dowódcy Armii Polskiej w Rosji. Sąd brytyjski uznał za odpowiadające prawdzie, że gen. Anders był „determined opponent" — zdecydowanym przeciwnikiem rządu Sikorskiego. Uchwała Rady Ministrów tegoż rządu z dnia 13 czerwca 1942 r. postanawiała, że wojsko polskie w Rosji winno tam pozostać i bić się przy boku Armii Sowieckiej.

Wyższy dowódca w momencie kryzysu może podjąć decyzję sprzeczną z instrukcjami swoich przełożonych. Oczywiście całą odpowiedzialność bierze wówczas na siebie. Gen. Anders podjął decyzję samotnie i dziś w świetle dokumentacji — trudno byłoby zasługę tej decyzji czy to umniejszyć czy to przypisać szerszemu gronu osób.

Chciałbym w tym miejscu przytoczyć charakterystyczną wypowiedź byłego Berlingowca, który odwiedził mnie w zimie 1957 r. Otóż mój rozmówca opowiadał mi, że przebywał w jednym z najdalej na północ położonych łagrów i nie zdążył już do armii gen. Andersa. Po różnych przejściach wylądował w oddziałach Berlinga. W jego opinii, gdyby gen. Anders nie wyewakuował swojej armii poza granice Rosji — Berlingowcy nie mieliby żadnej szansy dotarcia do Kraju. Stalin chciał mieć małą satelicką jednostkę, politycznie pewną, obsadzoną na wszystkich stanowiskach swoimi ludźmi. Tylko taka jednostka miała przed sobą szansę przeżycia i powrotu. Nie było rzeczą możliwą przerobienie armii gen. Andersa na jednostkę satelicką. Stalin musiał się tej armii pozbyć. Pozbyć się jej mógł dwojako: albo godząc się na ewakuację — albo likwidując ją „innymi metodami". Nie ulega wątpliwości, że gdyby ewakuacja z takich czy innych przyczyn nie doszła do skutku — Stalin musiałby zrezygnować z utworzenia odrębnej polskiej jednostki satelickiej. Natomiast nie zrezygnowałby z całą pewnością z planu zdziesiątkowania całej polskiej armii. Wojna dawała po temu wiele okazji a pomysłowości i zimnego planowania Stalinowi by nie zabrakło. Z uwagi na sprzymierzeńców zachodnich Stalinowi było poręczniej pozbyć się armii gen. Andersa wyrażając zgodę na ewakuację.

Poglądy „Kultury" na Rosję i na ewolucję w całym bloku wschodnim — różnią się poważnie od poglądów „Orła Białego" i osób stojących blisko gen. Andersa. Ale oceniając wydarzenia historyczne trzeba stosować kryteria historyczne a nie polityczne. Tylko komunistyczna historiografia ocenia wydarzenia nawet sprzed kilkuset lat kryteriami aktualnej przydatności. Decyzja gen. Andersa nie w każdej sytuacji byłaby decyzją słuszną i celową. Gdyby ówczesna Rosja była Rosją Chruszczowa — być może — należałoby zostać. Ale Rosja, która była sceną omawianych wydarzeń była Rosją Stalina i Berii, Rosją łagrów, Katynia, NKWD i terroru. Decyzja, którą podjął wówczas gen. Anders była jedynym celowym rozwiązaniem, które należało realizować z rządem lub wbrew rządowi.

DLA DOROSŁYCH

James Morris zamieścił na łamach „The Guardian" cykl artykułów o Polsce. Morris jest oczarowany Polakami i Polską i nie tai tego przed czytelnikiem brytyjskim. Dowcip warszawski — teatry i teatrzyki — swoboda z jaką dyskutuje się najdrażliwsze sprawy — wszystko to składa się na urzekającą i jedyną w swoim rodzaju atmosferę. Morris wielokrotnie podkreśla w swych reportażach triumfującą polskość Polski współczesnej.

Ale wszystko to się kończy — gdy autor zaczyna mówić o gospodarce. Korupcja, absenteizm, alkoholizm, brak dyscypliny społecznej, niska wydajność, bezplanowość, przerażająca obojętność. Morris wspomina o „idealistach", którzy starali mu się wytłumaczyć, że im gorzej tym lepiej. To znaczy im gorsza gospodarka, im większy chaos — tym słabsze podstawy panowania komunizmu. Autorowi brytyjskiemu argumenty te nie trafiły do przekonania i nam również wydają się samobójcze.

Osobiście sądzę, że „idealistów", którzy głoszą, że im gorzej tym lepiej jest niewielu. Jest natomiast w Polsce wielu ludzi, którzy bolejąc nad fatalnym stanem gospodarki całą winę bez reszty przypisują systemowi.

Gdyby przepowiednia Oskara Miłosza nagle się sprawdziła i spory kawał księżyca spadł na Rosję likwidując komunizm i sputnikową potęgę — nie jestem pewien czy wyzwolona Polska przemieniłaby się tego samego dnia w zdyscyplinowaną, pracowitą, wyregulowaną Szwajcarię. Raczej wydaje mi się, że dalej panowałby arcybałagan a zmieniłby się tylko zestaw przyczyn. Wówczas przez następne 50 lat odwiedzającym Warszawę cudzoziemcom mówiono by: „to są — panie ładny — skutki komunistycznej okupacji". Dziś są przyczyny — wtedy byłyby skutki.

Nie ulega wątpliwości, że znakomita większość Polaków w Kraju i poza jego granicami jest przeciwna komnizmowi. My również należymy do tej większości. Ale niemniej uważamy, że uprzemysłowienie kraju i wydatne zwiększenie zamożności społeczeństwa musi być dokonane w ramach tego systemu jaki nam narzucono. Gospodarka komunistyczna jest dziś wielomodelowa. Ten sam komunizm wygląda inaczej w Rosji — inaczej w Chinach — inaczej w Jugosławii. Należy przypuszczać, że w miarę rozwoju systemu odrębności będzie przybywać a nie ubywać. Ten problem mieliśmy na myśli rozpisując w poprzednim numerze „Kultury" ankietę w sprawie polskiego modelu gospodarczego.

Na emigracji przyzwyczailiśmy się każde niepowodzenie gospodarki komunistycznej oceniać jako sukces antykomunizmu. Prasa emigracyjna dosłownie pławi się w katalogowaniu i komentowaniu wszystkich rzeczywistych i urojonych klęsk gospodarki komunistycznej. Wniosek jaki przeciętny Polak z tego wysuwa jest następujący: „system komunistyczny nie funkcjonuje bo funkcjonować nie może. Za to wszystko nie ponosimy odpowiedzialności my, tylko „oni" i ich mocodawca Rosja".

To wszystko w teorii jest prawdziwe ale praktyczne rezultaty tej filozofii są katastrofalne. I te katastrofalne rezultaty nie biją ani w „nich" ani w Sowiety, tylko wyłącznie i w całości w nas — to znaczy w najszersze masy polskiego społeczeństwa.

Ale to jeszcze nie jest wszystko. W tej płaszczyźnie rozegra się los nie tylko dobrobytu polskiego społeczeństwa ale i los czegoś znacznie donioślejszego. Jesteśmy średnim liczebnie narodem w najfatalniejszej pozycji geopolitycznej jaką sobie można wyobrazić. Od wielu lat obserwuję Niemcy tak zachodnie jak i wschodnie. W Niemczech wschodnich — o czym na Zachodzie pisze się skąpo — dokonano ogromnego postępu. Niemcy są Niemcy — czy wschodnie czy zachodnie — kapitalistyczne czy komunistyczne.

Niepodległość — jeżeli w ogóle jeszcze dziś coś oznacza, to oznacza uprzemysłowienie, dynamiczną gospodarkę, wysoką stopę życiową i powszechną oświatę.

W moim przekonaniu po prostu nie mamy wyboru i dlatego musimy w ramach narzuconego nam systemu wypracować najlepszy z możliwych model gospodarczy i realizować go z maksymalnym ogólno-narodowym wysiłkiem. Jeżeli Polacy tego nie zrozumieją przegrają wysoką stawkę — być może stawkę niepodległości.

Jeżeli za 10 lat sytuacja gospodarcza Polski wyglądałaby tak jak obecnie — to nawet najkorzystniejsza zmiana koniunktury międzynarodowej nie wiele nam pomoże. Za 10 lat Niemcy tak zachodnie jak i wschodnie będą kwitnącą potęgą ekonomiczną, której Polska chaosu gospodarczego — nie zdoła się przeciwstawić. W polityce nie ma cudowności. Niepodległe kawiarnie literackie nie stanowią ani synonimu ani gwarancji niepodległości. Wiersze „Dla Dorosłych" — nic nam nie pomogą jeżeli sami nie będziemy dorośli.

I jeszcze słówko o tzw. liberalizacji. W ustroju komunistycznym obserwujemy dwa typy liberalizacji. Istnieją koniunkturalne „odwilże", wywołane zmianą układu sił w czołówce sprawującej władzę. Istnieje jednak również proces liberalizacji powolniejszy i mniej efektowny, który jest wynikiem obiektywnych przemian gospodarczo-społecznych, a przede wszystkim wzrostu stopy życiowej i ogólnej oświaty. Ten proces w Sowietach zaczął się powoli manifestować. Dla proletariatu rosyjskiego czy polskiego na dłuższą metę nie ma innej drogi do wolności jak poprzez oświatę i podniesienie stopy życiowej. Z chwilą gdy rosyjski czarnoroboczy proletariat zniknie ze sceny, a miejsce jego zajmie wykwalifikowany, dobrze płatny, nowoczesny pracownik technologiczny — to i tradycyjna treść słowa „Rosja" ulegnie przemianie.

To samo prawo dotyczy Polski i wszystkich krajów o zapóźnionym rozwoju gospodarczym. Ale choćby w Rosji dokonały się korzystne przemiany — choćby koniunktura międzynarodowa sprzyjała naszym celom i pragnieniom — stopień naszej niepodległości między potęgami przemysłowymi Rosji i Niemiec będzie proporcjonalnie zależny od naszego własnego potencjału gospodarczego. Niepodległość w drugiej połowie dwudziestego wieku to nie są ani hasła, ani teorie, ani deklaracje, ani gwarancje — tylko fakty. Będziemy niepodlegli o ile naszym eksportem potrafimy za naszą niepodległość zapłacić. W przeciwnym razie zmiana koniunktury międzynarodowej oznaczać dla nas będzie tylko zmianę protektoratu rosyjskiego na protektorat niemiecki.

„Wyzwolenie" to nie jest coś z poety — coś z ułana — coś z mesjarza. Najwspanialsza jutrzenka wolności nic nam nie pomoże, jeżeli nie

będziemy zdolni do samodzielnego bytu a dziś wymagania w tym względzie są olbrzymie. Innymi słowy, musimy w ramach obecnego ustroju budować przemysł i oświatę jeżeli kiedyś chcemy żyć według naszych własnych poglądów i przekonań. Nie będąc komunistami z najlepszą wolą i społeczną dyscypliną musimy w ramach systemu komunistycznego budować polski potencjał gospodarczy — bo być może ta gorzka szansa uprzemysłowienia jest ostatnią jaką oferuje nam Historia. „Wolni z wolnymi" w naszej epoce odczytywać należy „uprzemysłowieni z uprzemysłowionymi". Dawniej wolność można było wywalczyć — dziś trzeba jeszcze ponadto umieć wyprodukować ją w fabrykach.

NIEPOROZUMIENIA CMENTARNE I INNE

Dr M. Grydzewski jest znakomitym erudytą, purystą i pedantem. Wszystko sprawdza u źródeł — studiuje, wertuje, notuje i nie wychodzi z British Museum. A mimo to w „Wiadomościach" dzieją się rzeczy jakie filozofom się nie śniły. Ostatnio dostojne grono „Akademików" pod przewodnictwem Dra Grydzewskiego — spożywszy zupę żółwiową — nagrodziło książkę emigracyjną, która w ogóle nie istnieje. „Za najwybitniejszą książkę Polaka wydaną na emigracji w roku 1958 — uznano „Cmentarze" Marka Hłaski". W komunikacie o nagrodzie podano poprzednio: „Cmentarze. *Ostatni* do raju".

„Sorry jestem, ale książka pod powyższym tytułem nie ukazała się ani w roku 1958 ani w żadnym innym roku naszego czarującego stulecia. Nie ukazała się ani w Kraju ani na emigracji ani zgoła nigdzie.

Ukazała się natomiast w „Bibliotece Kultury" książka w języku czeskim pt. „Hrbitowy" co istotnie oznacza „cmentarze". „Hrbitowy" są napisane przez Polaka i wydano je na emigracji, ale to jest książka w przekładzie czeskim. Sądzić więc należy, że dostojne gremium przyznając nagrodę nie miało na myśli „Hrbitowy" tylko książkę w języku polskim.

Nie ma książki polskiej pt. „Cmentarze" — istnieje natomiast książka Marka Hłaski pt. „Cmentarze. Następny do Raju", wydana w „Bibliotece Kultury" jako tom 28. Nasi „Akademicy" po skonsumowaniu „soufflé volcano" prawdopodobnie tę książkę zdecydowali się nagrodzić. Choć tytułu nie zapamiętali — ufajmy, że ją przeczytali.

Gdyby statut nagrody mówił o utworze literackim, wówczas można by nagrodzić „Cmentarze". Jeżeli jednak nagroda miała być przyznana książce — to członkowie jury przekroczyli swe uprawnienia zmieniając oryginalny tytuł wyróżnionej książki. Jak już pedanteria to pedanteria.

Nasze książki nie mają szczęścia do akademików. Biorę z szacunkiem do ręki piękne naukowe wydawnictwo pt. „Teki Historyczne", tom 10. Patrzę w spis treści i stwierdzam z radością, że w dziale recenzji omówiono wydaną w „Bibliotece Kultury" „Historię Stanów Zjednoczonych" Pawła Zaremby. Recenzja Z.J. Gąsiorowskiego — pochlebna, ale zatytułowana raczej dość dziwnie: „Paweł Zaremba — Historia Stanów Zjednoczonych (Paryż 1957)".

Sądzę, że zarówno p. Gąsiorowski jak i redaktorzy „Tek" są świadomi faktu, że w Paryżu jest kilku wydawców. Byłoby więc celowe i w zgodzie z ogólnie przyjętym zwyczajem — wymienić firmę wydawniczą. Jeżeli ktoś nie lubi „Kultury" — a są i takie dziwadła — to zawsze można napisać „Instytut Literacki, Paryż". To brzmi dystyngowanie — „Kultury" się nie reklamuje — a wymogom formalnym czyni się zadość.

LONDYŃCZYK

Sens reorganizacji Polskiej Akademii Nauk

W połowie lutego Sejm zebrał się na dwudniową sesję, wysłuchał przemówienia i przeprowadził debatę nad sytuacją międzynarodową, oraz uchwalił czternaście nowych ustaw, mniej więcej połowę całego plonu działalności ustawodawczej Sejmu w ubiegłym roku. Takie tempo pracy sprowadza różnicę między dekretem a sejmową ustawą do formalnych i mylących pozorów.

Wśród czternastu aktów prawnych uchwalonych przez Sejm znalazła się również nowa ustawa o Polskiej Akademii Nauk. Wprowadza ona daleko idące zmiany w organizacji tej instytucji. Trudno było się tego domyśleć z przemówień posłów, którzy witali ją z entuzjazmem jako dalszy krok wiodący do rozkwitu nauki w Polsce. Palmę pierwszeństwa w retorycznych popisach oddać trzeba Ostapowi Dłuskiemu. „Marksiści", oświadczył on, „zawsze walczyli o wolność nauki i chlubili się tą wolnością". Pamiętamy te walki, są w naszej świeżej pamięci. Jedynie Stefan Kisielewski pokrzyżował plany sejmowego reżysera i wspomniał o niepomyślnych następstwach jakimi ustawa zagraża. Lecz z prasy nie można było się dowiedzieć, co rzeczywiście powiedział.

Ustawa o Polskiej Akademii Nauk sankcjonuje praktykę ustaloną w okresie stalinowskim, w której wyniku kierowniczą rolę w Akademii spełniał tak zwany Sekretariat Naukowy, złożony z członków PZPR oraz wyjątkowo z innych osób, jeżeli były gotowe podporządkować się dyrektywom Partii. W czerwcu 1956 roku Zgromadzenie Ogólne członków Akademii położyło kres temu nienormalnemu stanowi rzeczy. Obecnie Sekretariat Naukowy ma wrócić do swych dawnych uprawnień na mocy ustawy. Prof. Jabłoński w następujących słowach określił rolę Sekretariatu Naukowego:

„Będzie to organ kolegialny, złożony z Sekretarza Naukowego, jego zastępców i sekretarzy wydziałów. Sekretarz Naukowy będzie

mianowany przez Radę Państwa, pozostali członkowie Sekretariatu (także spośród członków PAN) powoływani będą przez Prezesa Rady Ministrów. Sekretariat Naukowy w myśl ustawy sprawować będzie ogólne kierownictwo działalności jednostek organizacyjnych Akademii: naukowych, gospodarczych i administracyjnych, będzie opracowywał projekt budżetu PAN oraz przygotowywał perspektywiczne i okresowe plany rozwoju nauki. To rozszerzenie uprawnień wynika z dotychczasowej praktyki, która wskazuje, że nie jest możliwe i nie sprzyja wcale umocnieniu roli PAN sprawowanie kierownictwa bieżącego przez zbyt duże ciało, jakim jest Prezydium" (*Trybuna Ludu*, 7.2.1960).

W ten sposób Sekretariat Naukowy pochodzący nie z wyboru, a z nominacji instancji politycznych, skupia w swym ręku całokształt uprawnień uprzednio przysługujących Akademii kolektywnie. Zdanie jakim prof. Jabłoński zakończył wyjaśnienie roli Sekretariatu budzi przeto zdumienie swą logiczną konstrukcją:

„Zasada autonomii PAN jest więc w pełni uwzględniona".

Opinię tę ma zapewne uzasadniać fakt, iż istnieć będzie nadal Zgromadzenie Ogólne członków — „naczelny organ Akademii", według brzmienia ustawy powołującej Akademię do życia — oraz Prezydium wybierane przez Zgromadzenie Ogólne. Skoro jednak cała rzeczywista władza skupiona jest w ręku Sekretariatu Naukowego, którego skład osobowy jest narzucony Akademii przez władze partyjne, Zgromadzenie Ogólne spełniać będzie rolę podobną do tej jaką w Anglii ma Izba Lordów, grono szanowne lecz pozbawione prawa podejmowania jakichkolwiek obowiązujących decyzji. Podobnie Prezydium, wybierane przez Zgromadzenie, posiadać będzie wyłącznie funkcje honorowe i reprezentacyjne. W stosunku do Sekretariatu, sprawującego władzę delegowaną mu przez Partię, Prezydium pochodzące z wyboru członków Akademii pozostać musi bezsilne.

Nowa ustawa wprowadza do Akademii zasady struktury kastowej, dzieli jej członków na ludzi godnych zaufania i zdolnych kierować rozwojem nauki, oraz na niezasługujących na zaufanie, których pozbawia prawa decyzji, odsuwa od udziału w kierownictwie i od odpowiedzialności za losy instytucji, którą tworzą. Akademia przestała być autonomiczną organizacją uczonych, a autonomia nauki, w sensie prawnym, przestała istnieć. Ogół uczonych podporządkowany został Sekretariatowi Naukowemu, Sekretariat Naukowy podlega Partii. Albowiem Rada Państwa i Rada Ministrów, które wyznaczają skład osobowy, a przeto również kontrolują działalność Sekretariatu Naukowego, są komórkami do szczególnych zadań władz partyjnych. W tym stanie rzeczy słowa wypowiedziane w Sejmie przez referenta projektu ustawy brzmią jak bolesna lub cyniczna ironia. Miał on powiedzieć, iż projekt ustawy nie tylko uznaje

w pełni, lecz jeszcze podnosi rangę uczonych polskich, uczonych związanych z budującym socjalizm narodem, przez powierzenie im jakże wielkich, zaszczytnych i odpowiedzialnych zadań i obowiązków.

Nowa ustawa o Polskiej Akademii Nauk stwarza formy organizacyjne i środki prawne, jakie służyć mogą tylko jednemu celowi — odbudowie totalitarnego państwa. W jakiej mierze ta jednoznacznie stwierdzona intencja zamieni się w rzeczywistość, zależeć będzie częściowo od sposobu wykonania ustawy. Byłoby jednak rzeczą nierozsądną pocieszać się tą myślą i zakładać, iż ustawa nie przesądza niczego, gdyż zadecydują ludzie. W życiu zbiorowym bieg wydarzeń toczy się innym torem aniżeli kazałaby przypuszczać wspomniana optymistyczna postawa. Nie ludzie kształtują instytucje, lecz instytucje kształtują ludzi.

Nowa ustawa opiera się na założeniu, iż nauką można kierować z zewnątrz i że czynić to mogą osoby pozbawione kompetencji i fachowej znajomości rzeczy. Dzisiaj, po doświadczeniach niedawnej przeszłości, nie potrzeba uciekać się do abstrakcyjnych argumentów dla uzasadnienia błędności tego założenia. Akademia przez pierwszych pięć lat swego istnienia była kierowana z zewnątrz, rękoma ,,politycznych uczonych'' i uczonych z politycznego awansu, dla których dyscyplina partyjna była najwyższą wartością. Ich działalność stworzyła na drodze reakcji łańcuszkowej cały mechanizm społeczny. Niszczył on rzetelne kryteria pracy naukowej, deprecjonował naukowe kompetencje, nakładał kary za niezależność myśli i nagrody za ideologiczny konformizm, szerzył dyletantyzm i oportunizm. Był to system demoralizujący umysły i charaktery. Podporządkowując dobro nauki kaprysom władz partyjnych, a prawdę przesądom nieokrzesanych umysłów, zadał poważne szkody rozwojowi nauki i obniżył jej autorytet w społeczeństwie.

Reżym ,,politycznych uczonych'' działał w ramach zorganizowanego terroru i bezprawia. Uczeni nie przebywają w społecznej pustce. Są członkami społeczeństwa, żyją w jego klimacie psychicznym i społecznym, podlegają presji istniejących stosunków. Społeczeństwo było zaś rządzone terrorem, metodą ,,kija i marchewki'', stosowaną w sposób brutalny i cyniczny. Terror dosięgnął również bezpośrednio społeczności uczonych. Usuwano ich z katedr, osadzano w więzieniach, izolowano od otoczenia kręgiem podejrzeń i pogłosek o toczących się przeciw nich dochodzeniach. W tak zwanych naukowych czasopismach rzucano oskarżenia, iż pewne poglądy w ,,sensie obiektywnym'' wyrażają poparcie dla kapitalizmu, kosmopolityzmu lub prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia. W tym stanie rzeczy w samej społeczności uczonych pojawiły się znaki rozpadu więzi grupowej tego szczególnego typu, jaki Durkheim w ,,Le Suicide'' nazwał ,,anomią''. Anomia szerzyła się na podłożu lęku i niepewności. To podstawowe zjawisko tłumaczy zanik specy-

ficznych norm postępowania obowiązujących w grupie, jak i inne charakterystyczne cechy zachowania występujące w tym okresie. Albowiem lęk i niepewność znajdują kompensatę w agresywności, w gwałtownych i irracjonalnych stanach nienawiści lub uwielbienia ogniskujących się na określonych osobach. Anomia ułatwiła zadanie „politycznym uczonym". Ponieważ zaś byli oni również objęci anomią, anomia nadała reżymowi „politycznych uczonych" karykaturalne kształty. „Polityczny uczony" gotów był dokonać każdej chwili najbardziej karkołomnych wyczynów intelektualnej akrobatyki. Pisał o tym prof. Schaff z godnym podkreślenia obiektywizmem. Popełnialiśmy, czytamy w jednej z jego publikacji,

> „najrozmaitsze dogmatyczne głupstwa, do których potem przyznawaliśmy się, które nawet potępialiśmy. Przypomnijmy kolejne losy dyskusji ligwistycznej, biologicznej, fizjologicznej, dyskusji w sprawie teorii względności w fizyce, w sprawie teorii rezonansu w chemii, w sprawie oceny Hegla w filozofii, w sprawie bazy i nadbudowy w materializmie historycznym itd. itp. Najgorsze, że wszystkim zwrotom w jedną, a następnie w drugą stronę, towarzyszyło gromkie powoływanie się na świadectwo marksizmu, przyprawiające zwolenników marksizmu o zawrót głowy, a ludzi nie związanych z ruchem robotniczym po prostu odtrącających od naszej ideologii" (1).

Trudno jest powiedzieć w jakiej mierze terror, a w jakiej reżym „politycznych uczonych" przyczynił się do stworzenia tego stanu rzeczy. Należy jednak stwierdzić, iż byłoby rzeczą nieuzasadnioną składać podobne wyczyny wyłącznie na karb terroru i „kultu jednostki". Przeczą temu fakty. Przecież wielu „politycznych uczonych" jest nadal czynnych i od 1956 roku dokonało z własnej i nieprzymuszonej woli sztuk ekwilibrystycznych na miarę dawnych czasów. Prowadzi to do wniosku, że opisany mechanizm reżymu „politycznych uczonych" działa również bez terroru. Tak zwane metody administracyjne, których stosowanie wielu „politycznych uczonych" ostatnio zaleca, są w praktyce i na długą metę niemniej skuteczne niż jawne bezprawie. Oto co na przykład prof. Jabłoński miał na ten temat do powiedzenia:

> „Ale trzeba sobie otwarcie powiedzieć... że nie wyrzekamy się środków administracyjnych wtedy, gdy jest to niezbędne dla przeciwdziałania ofensywie poglądów burżuazyjnych. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie zachęcam do powrotu do metod administracyjnych zakazów, gdyż jesteśmy wszyscy świadomi, że tą drogą nie rozwiązuje się problemów zasadniczych, a sukcesy na tej drodze nie mają charakteru trwałego i pogłębionego. Ale zrezygnowanie z administracyjnych metod w każdych warunkach byłoby jakimś swoistego rodzaju 'dogmatyzmem', wyrosłym tym razem już na pewno nie z naszej, ale socjaldemokratycznej gleby" (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, str. 297).

---

(1) A. Schaff, *Aktualne zagadnienia polityki kulturalnej w dziedzinie filozofii i socjologii*. Warszawa, PWN, 1956, str. 92.

Jedyną obroną uczonego jest siła przekonywująca, jaką może zmobilizować na poparcie swego stanowiska przez odwołanie się do faktów i rygorów poprawnego myślenia. Jeżeli szacunek dla faktów i zasad logiki nie są powszechnie uznane, uczony nie ma innych argumentów, jakie może przeciwstawić nakazom władz, dysponujących przemożną siłą. Może więc on działać skutecznie jedynie w pewnych okolicznościach, w warunkach określonych umownie i przestrzeganych przez wszystkich. Chociaż warunki niezbędne do racjonalnej wymiany myśli są umowne, ich pogwałcenie administracyjnymi lub innymi metodami nie uchodzi bezkarnie i ostatecznie zwraca się przeciw zwolennikom poglądu, iż przemoc jest także skutecznym i właściwym argumentem. Nie jest to bowiem byle jaka umowa, lecz wynik długiego doświadczenia, nie można jej dowolnie zmieniać, ponieważ tak się komuś podoba dla powalenia tego lub innego przeciwnika. Jedynie ludzie zapóźnieni w umysłowym rozwoju o kilka wieków cywilizacji są skłonni nie dostrzegać tego faktu lub lekceważyć jego następstwa.

Nowa ustawa o Polskiej Akademii Nauk narzuca Akademii dyktaturę Sekretariatu Naukowego, który jednocześnie wyposaża w uprawnienia, jakich władze Akademii pochodzące z wyboru nigdy nie posiadały. Wyjaśnienie tej sprawy wymaga przypomnienia kilku faktów.

W Polsce istnieją trzy różne organizacyjne sieci nauki. Najstarszą z nich są wyższe uczelnie, które podlegają kilku ministerstwom. Wyższe uczelnie prowadzą głównie działalność dydaktyczną, lecz są również ośrodkami pracy naukowej. Wreszcie świadczą one różnorodne usługi na rzecz przemysłu oraz instytucji społecznych. Od 1947 roku obok szkół wyższych tworzono sieć odrębną, tak zwanych resortowych instytutów badawczo-naukowych, podlegających obecnie kilkudziesięciu ministerstwom i centralnym zarządom. Ile jest tych instytutów, nikt dokładnie nie wie. Podawane ostatnio cyfry wahają się od 70 do 100. Ich nazwa tylko w niektórych wypadkach odpowiada rzeczywistości, ponieważ przeważnie są to laboratoria typu techniczno-usługowego. Laboratoria przyfabryczne opracowujące nowe procesy technologiczne, projektujące udoskonalenia lub nowe typy produktów przemysłowych, istnieją na całym świecie, noszą jednak zazwyczaj mniej pretensjonalną nazwę. Wreszcie trzecią sieć organizacyjną nauki stanowią instytuty i ośrodki badawcze Akademii Nauk.

Ta trójdzielna sieć organizacyjna stanowiła niepokonalną przeszkodę w stworzeniu jednolitego planu badań naukowych w skali całego kraju. Działały liczne i sprzeczne partykularne interesy, ścierały się ambicje biurokratyczne urzędów i ministerstw, opinie fachowców popadały w konflikt z nakazami władz politycznych. W szczególności cierpiały na tym interesy nauki. Albowiem Partia decydująca o rozdziale funduszy na

badania naukowe hołdowała sposobowi myślenia, który prof. Jabłoński kiedyś tak charakteryzował:

„ 'Uproszczone' rozumowanie wyglądało mniej więcej w ten sposób: jeżeli nauka służyć ma narodowi i postępowi — to ważne s tego rodzaju prace, które służą bezpośrednio jakimś użytkowym ce lom. Wobec tego najważniejsze jest popieranie resortowych instytu tów naukowo-badawczych, bo te nie zajmują się jakimiś wymyślo nymi przez starą profesurę cudacznymi, odległymi od życia sprawami ale służą bezpośrednio narodowi, gdyż pomagają w produkcji takic czy innych maszyn, takich czy innych środków chemicznych itd Potrzeby zaś życia bieżącego zmuszały popierać w tych instytutac prace dające możliwie najszybsze efekty, a więc w szczególnośc prace odtwórcze" (PAN — *Sprawozdania z czynności i pra* 4, 1956 (3), str. 21).

Według oficjalnych danych w 1956 roku przeznaczono 43 milionów złotych na badania naukowe. Z tej sumy 30 milio nów otrzymały uniwersytety, 100 milionów Akademia Nauk a 300 milionów instytuty resortowe. Łatwo jest obliczyć, i każdy instytut resortowy dysponował co najmniej sumą trzec milionów złotych na badania naukowe, których w rzeczywistośc nie prowadził, a katedra uniwersytecka — było ich w 195 roku około 1600 — otrzymała przeciętnie 20,000 złotych. W tym samym czasie instytuty Wydziału Nauk Technicznych Aka demii Nauk pracowały na przestarzałej aparaturze. Prace teo retyczne o wielkim znaczeniu dla gospodarki narodowej nie mo gły być doświadczalnie sprawdzane. Brak sprzętu kierował wy siłki pracowników w kierunku czysto teoretycznym. Rozdawni ctwo funduszy na badania naukowe, o którym decydowała Par tia, marnowało talenty i umiejętności polskich techników.

Od 1956 roku fakty te były powszechnie znane, a Zgroma dzenie Ogólne członków Akademii domagało się wielokrotni rewizji całego systemu rozdziału funduszów na badania naukowe W publicznych oświadczeniach polityka wąsko pojętego utylita ryzmu została potępiona, lecz w praktyce była nadal konty nuowana. Dzisiaj nie potrzeba uzasadniać poglądu, iż rozkwi nauki i jej praktycznych zastosowań wyrasta z postępu bada w zakresie problematyki na pierwszy rzut oka oderwanej o zastosowań utylitarnych. Jest rzeczą oczywistą, iż tylko uczon może w oparciu o swe fachowe kompetencje rozstrzygnąć pro blem, jak najwłaściwiej ustawić badania o praktycznej donio słości oraz badania ważne z punktu widzenia poznawcze funkcji nauki.

Pomyślność i dobrobyt społeczny nie zależy wyłącznie o uprawiania kultu nowego bożka, któremu na imię postęp tech niczny. Trzeba składać ofiary, jakich bożek ten od nas żąda nie zapominając o innych potrzebach człowieka, niezaspaka janych przez inżynierów i techników. Utrzymanie właściwe proporcji w zużytkowaniu zasobów ludzkich i finansowych n

rozwój nauk humanistycznych, przyrodniczych i technicznych jest również rzeczą, jaką organizacja uczonych różnych specjalności może najlepiej pokierować.

Wnioski wynikające z dotychczasowej niewłaściwej praktyki w rozdawnictwie funduszów na badania naukowe, braku racjonalnej myśli i właściwych proporcji w dotacjach na różne cele, sformułował prof. K. Ajdukiewicz. O ile wiadomo, opinia prof. Ajdukiewicza wiernie odzwierciadla poglądy olbrzymiej większości uczonych. Podkreślając, iż poważny udział ludzi nauki w rozdawnictwie środków materialnych na badania naukowe skutecznie zapobiegnie dotychczasowym błędom, prof. Ajdukiewicz tak ten wniosek uzasadniał:

> ,,Uczeni, którzy sami są członkami społeczeństwa, będą rozumieli jego potrzeby i dbać będą o należyte uwzględnienie takiej problematyki naukowej, która dla aktualnych potrzeb społeczeństwa jest potrzebna, z drugiej strony jednak jako członkowie społeczności naukowej będą posiadali należyte zrozumienie dla autonomicznych zadań nauki i nie dopuszczą do ich upośledzenia. Potrafią też, jako członkowie społeczeństwa, w okresach szczególnej potrzeby, w myśl hasła 'nie czas żałować róż, gdy płoną lasy', zdobyć się na chwilowe ograniczenie poparcia dla autonomicznych zadań nauki. Ograniczenie to nie powinno jednak nigdy doprowadzić do dewastacji potencjału naukowego, nie służącego bezpośrednio aktualnym potrzebom, społeczeństwa, albowiem nigdy troska o chwilę obecną nie powinna doprowadzić do zaniedbania dbałości o przyszłość nauki'' (*Nauka Polska* 5, 1957 (3), str. 19).

Stało się jednak inaczej. Nowa ustawa o Akademii Nauk stanowi votum nieufności w stosunku do ogółu uczonych. Sekretariat Naukowy uzyskuje szerokie uprawnienia w zakresie koordynacji badań naukowych we wszystkich trzech ,,pionach organizacyjnych nauki'' oraz rozdawnictwie funduszy. Lecz Sekretariat Naukowy został oderwany od Akademii. Za swoje poczynania jest on odpowiedzialny przed tymi, którym nominację zawdzięcza, to znaczy, przed Partią, staje się jej biurem dla spraw organizacji, planowania i finansowania badań naukowych. Nie wiadomo w jakiej mierze czynnik fachowej znajomości rzeczy będzie uwzględniony przy wyznaczaniu składu personalnego Sekretariatu Naukowego. Jedna rzecz jest natomiast pewna. Grono ,,politycznych uczonych'' jest w Polsce nieliczne. Niezależnie od szczególnych właściwości, o których była mowa, ich kompetencje fachowe — w porównaniu z rezerwuarem talentu, doświadczenia i umiejętności całej społeczności uczonych — są bardzo mizerne. Patrząc na nową ustawę z wąskiego punktu widzenia, rozpatrując ją jako środek mający zapewnić racjonalną gospodarkę zasobami ludzkimi i finansowymi w rozwoju badań naukowych, ocena ustawy wypada niemniej ujemnie niż przy uwzględnieniu jej szerszego i istotniejszego aspektu.

Stosunek Partii do nauki w okresie 1949-1956 był poddany surowej krytyce, a brali w niej udział również członkowie Partii. Wyrok był jednomyślny i druzgocący. Należy przypomnieć, iż w tym okresie niszczono naukę przy akompaniamencie oficjalnej propagandy o wielkiej roli nauki w społeczeństwie budującym socjalizm. Dzieło niszczenia było następstwem zniesienia autonomii nauki oraz unicestwienia swobód myśli i pracy naukowej. Nowa ustawa o Polskiej Akademii Nauk poważnie narusza zasadę autonomii i stanowi częściowy nawrót do praktyk potępionej przeszłości.

W okresie Października, którego wspomnienie niszczono jest przez cenzurę w kraju z systematycznością „Ministerstwa Prawdy" w powieści Orwella, prof. Schaff apelował do Partii „Pozwólcie ludziom myśleć samodzielnie i tworzyć naukę na własną odpowiedzialność. Dla dobra nauki należy sprawić, by organizmy kontrolujące jakość produkcji naukowej zaczęły pracować 'gorzej' " (2). Chcielibyśmy usłyszeć ten sam głos dzisiaj zanim będą wprawione w ruch mechanizmy, organizacyjne i społeczne, o nieobliczalnych i nieodwracalnych następstwach.

Zbigniew JORDAN

---

(2) A. Schaff, *Aktualne zagadnienia polityki kulturalnej w dziedzinie filozofii i socjologii,* str. 90.

Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei

Każdemu, usiłującemu wyjaśnić sprawę zamordowania lwowskich profesorów, trudno nie wpaść na ślad ,,Einsatzkommando Galizien'', która to jednostka ponosi niewątpliwą odpowiedzialność za dokonany mord. W międzyczasie zdobyłem szereg informacji, głównie ze strony niemieckiej, wyjaśniających organizację i metodę działania jednostek ,,Einsatzkommando''. Literatura na temat hitleryzmu mało mówi o tych organizacjach chciałbym więc podać czytelnikowi najistotniejsze dane.

Na krótko przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej Hitler i Himmler powołali do życia tak zwane ,,Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei und des SD''. Zażądano wówczas od najbardziej zaufanych ludzi z SD i Gestapo podania odpowiednich kandydatów, i wreszcie, tuż przed wybuchem wojny zestawiono w Pretsch nad Łabą, na tajnym posiedzeniu, imienne listy poszczególnych jednostek ,,Einsatzkommando''.

Struktura organizacyjna wyglądała następująco:

Einsatzgruppe A — dla państw bałtyckich i północnej Rosji, Einsatzgruppe B — dla Białorusi ze specjalną jednostką ,,Sonderkommando Moskau'', Einsatzgruppe C — dla Ukrainy i Kaukazu.

,,Einsatzgruppen'' dzieliły się na ,,Einsatzkommandos'', których zadaniem było przygotować się wcześniej do przeprowadzenia odpowiednich akcji, by przeprowadzić je skutecznie i szybko, nim administrację na zdobytych terytoriach przejmie władza cywilna. ,,Einsatzkommando Galizien'' była jednostką specjalną, mającą przeprowadzać swoje akcje na terytoriach, zajętych wprawdzie w 1941 przez Sowiety, ale mających stanowić później część ,,Generalgouvernement Polen''. Dlatego składało się ,,Einsatzkommando Galizien'' z przedstawicieli czterech komend SD: krakowskiej, radomskiej, lubelskiej i warszawskiej. Wiadomo również, że ,,Einsatzkommando

Galizien'' powstało nieco później, niż ,,Einsatzgruppen'' A, B, i C. Między innymi — zadaniem tej jednostki było również przygotowanie późniejszych organów bezpieczeństwa dla piątego dystryktu ,,Generalgouvernement Galizien''. Tworzenie jednostki ,,Einsatzkommando Galizien'' odbywało się najbardziej tajnie; przywódca i jego podwładni dowiadywali się o swoich zadaniach w ostatniej chwili.

Zgodnie z informacjami i opinią ówczesnych świadków, mieszkańców Lwowa, ,,Einsatzkommando Galizien'' przybyło do miasta tuż za jednostkami frontowymi. Sztab usadowił się w budynku administracyjnym lwowskich tramwajów. Personel zakwaterował się w domach przy ulicy Herbutowskiej i częściowo przy Kadeckiej i Wuleckiej, skąd wyrzucono mieszkańców. Wkrótce potem powstały filie ,,Einsatzkommando Galizien'' w Stanisławowie, Drohobyczu, Tarnopolu, Czortkowie i Kołomyi. Na czołowych dwóch stanowiskach byli: Kommandeur des Einsatzkommandos — SS-Brigadenführer Dr Eberhard Schöngart, Stellvertreter — SS-Standartenführer Franz Heim.

W sierpniu 1941 ,,Einsatzkommando Galizien'' skończyło swoją działalność, przywódców odwołano do Krakowa i w ciągu października nastąpiło przekształcenie tej jednostki na regularne urzędy komendanta Sicherheitspolizei dystryktu Galizien. Filie przekształcono na powiatowe urzędy tej samej instytucji. W połowie października lwowski urząd Sicherheitspolizei objął ówczesny SS-Obersturmbannführer Dr Tanzmann. W drugiej połowie października był mianowany tzw. SD-Führer.

Należałoby teraz odpowiedzieć na drażliwe pytanie, w jakiej mierze uczestniczyli w tego rodzaju imprezach — nie Niemcy. Jest sprawą oczywistą, że Rosjanie czy Ukraińcy współpracownicy hitlerowców, nie mieli najmniejszej możliwości bezpośredniego wpływu na określanie zadań ,,Einsatzkommando''. Wiadomo natomiast skądinąd, że organy powołane do ustalania tych zadań posługiwały się nieraz w swojej pracy materiałami dostarczonymi przez osoby, do których władze hitlerowskie miały zaufanie. Że wśród tego rodzaju zaufanych nie brakło również ludzi narodowości nie-niemieckiej, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Wiadomo też, że tłumacze i różni pracownicy techniczni poszczególnych ,,Einsatzkommando'' rekrutowali się spośród nie-niemieckich współpracowników SD, Gestapo i innych organów. W każdym razie byli to ludzie, którzy bądź już dawniej współpracowali z hitlerowcami, lub osoby z tych nie-niemieckich sfer politycznych, które plany ,,wyzwolenia'' własnego narodu łączyły z ,,Nową Europą'' Hitlera.

Interesującym byłoby także stwierdzić, czy było rzeczą możliwą, aby którykolwiek z odpowiedzialnych hitlerowskich komendantów, przebywający we Lwowie w tym samym czasie, kiedy ,,Einsatzkommando Galizien'' ,,rządziło'' w tym mieście

mógł nie wiedzieć, nie mieć pojęcia, o działalności i zbrodniach tej jednostki. Indagowani przeze mnie, odpowiedzialni ludzie, co do jednego byli zgodni, że ściśle tajny charakter przygotowań do poszczególnych akcji, uniemożliwiał bliższy wgląd w plany „Einsatzkommando". Ale same akcje musiały być jednak uzgadniane w szczegółach z innymi działającymi w mieście hitlerowskimi komendantami.

Dodatkowe światło na tę ciemną jeszcze sferę działalności poszczególnych jednostek „Einsatzkommando" winno wkrótce paść z sali Sądu Najwyższego w Karlsruhe, gdzie toczy się w tej chwili śledztwo mające ustalić rozmiar przestępstw i zbrodni dokonanych przez kilku aresztowanych obecnie członków dawnych „Einsatzkommando" A i B.

I by już nie wracać do tych spraw, chciałem dodać, że w żadnym razie nie zamierzałem „bronić Oberlaendera"; natomiast mocno obciążają swoje sumienia ci wszyscy, którzy, zamiast domagać się oficjalnego śledztwa w sprawie lwowskiego mordu, wolą fałszować prawdę podstawiając zamiast „Einsatzkommando Galizien" „Batalion Nachtigal", byle by tylko przeprowadzić swoje grubo szyte kombinacje przeciwko zachodnim Niemcom.

Borys LEWICKYJ

P.S.: — Ponieważ poczta przynosi mi wciąż nowe „wycinki" i materiały w sprawie Oberlaendera", będę je w przyszłości — by już nie polemizować — odsyłał bezpośrednio do redakcji „Kultury". Zanotuję tylko jeszcze niektóre wyskoki. Bogdan Czeszko w „Przeglądzie Kulturalnym" z 4 lutego z uporem twierdzi że bronię Oberlaendera. Fakty go nie obchodzą a za to gorliwie utożsamia mnie z grupą „Kultury", „Kulturę" z Niemiecką Republiką Federalną i wreszcie NRF z hitleryzmem. Inny autor umieszczając paszkwil na mnie („banderowiec", „faszysta", „członek rządu Stecki" itd) nawet nie czytał artykułu: dla niego m.in. „Kultura" to „dwutygodnik" wychodzący w Paryżu...

Red. Stachiw w „Suczasnej Ukrainie" z dn. 21 lutego br. oburza się, że podałem jako *prawdopodobną* tezę, iż *pewne* ukraińskie elementy *mogły* pomagać hitlerowcom w układaniu likwidacyjnych list.

Czy założenie przez *pewne* elementy ukraińskich nacjonalistów gestapowskiej szkoły w Zakopanem dla niszczenia polskiego ruchu oporu, czy inne kryminalne fakty z akcją „depolonizacji" Wołynia na czele poprzez mordowanie tysięcy kobiet, dzieci i starców (widziałem osobiście te zbrodnie!) nie robi takiego przypuszczenia *prawdopodobnym?* Są to rzeczy których żaden uczciwy Ukrainiec nie powinien bronić.

Ukraiński nacjonalistyczny ruch nigdy nie był ideologicznie jednolity. W r. 1940-41 po rozłamie, w obu OUN istniał *silny*

antyhitlerowski nurt. Na jego czele stali tak wybitni działacze jak np. Iwan Mitrynga, który zresztą życiem przypłacił swoje stanowisko. Gwoli prawdy trzeba przypomnieć że do tego odłamu należał również obecny działacz banderowski, Stepan Lenkawski. Red. Stachiw wie dobrze jakie w tym czasie zajmowałem stanowisko. Nie potrzebuję chyba dodawać, że p. Stachiw był wówczas po drugiej stronie. Z tego właśnie względu jest on na pewno bardziej ode mnie kompetentny by zabrać głos w tej ciężkiej i bolesnej sprawie przyczyniając się do jej wyjaśnienia.

Wreszcie nie mogę pominąć milczeniem licznych krytycznych uwag, które dostałem od różnych ludzi często nawet mi bliskich. Zastrzeżenia te można streścić następująco. Moja krytyka błędów czy nawet zbrodni ukraińskich jest całkowicie jednostronna, gdyż polska karta w stosunkach polsko-ukraińsich też nie jest czysta. Taka jednostronność może tylko szkodzić sprawie ukraińskiej. Jest to jednak prawda tylko pozorna. Niewątpliwie w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie byli nie tylko ukraińscy policjanci którzy śpiewali codziennie ,,Smertj, smertj lacham, smertj moskowsko-żidiwskij komuni'' ale była niemniej ,,słynna'' ,,Bahnschutzpolizei'', składająca się wyłącznie z Polaków. Tak samo ukraińskie kobiety, dzieci i starcy padali od kul i noży polskich, szowinistycznych ,,bojowników''. To wszystko prawda. Ale uważam że my mamy *tylko jedną* możliwą drogę, która może doprowadzić do zbliżenia naszych narodów: obowiązkiem każdego uczciwego, postępowego Ukraińca jest — bez względu na wszystko — odważnie i krytycznie spojrzeć na własną przeszłość. To samo powinni zrobić Polacy. To jest metoda uniwersalna. Nie wyobrażam sobie np. by można było inaczej doprowadzić do ukraińsko-żydowskiego zbliżenia. I jeśli np. ze strony ukraińskiej zgłoszą się odważne głosy do uczciwego omówienia kompleksu spraw ukraińsko-żydowskich, a na odcinku żydowskim będzie pustka, to będzie to tylko na niekorzyść Żydów. I tak będzie ze wszystkimi.

Atmosferę niezbędną do zbliżenia naszych narodów i do uratowania wschodniej Europy — w której zacietrzewione antagonizmy dają się bezmyślnie szczuć jedne na drugie ,,pour le roi de Prusse'' czy ,,Kremlin'' — zatruwają nie tylko ślepi szowiniści zgodnie z zasadą ,,Z Lachamy i Żydamy ne howoryty'' (i vice versa u nacjonalistów polskich i żydowskich), ale przede wszystkim ci emigracyjni macchiavele, którzy ze względów taktycznych pragnęliby porozumienia, ale którzy sami ,,nigdzie nie byli'' i dla których przeszłość jest nienaruszalnym ,,tabu''. Każdy kto to ,,tabu'' naruszy to — jak napisał redaktor Stachiw — ,,świadomie lub nieświadomie włącza się w dyskryminacyjną kampanię, którą na rozkaz Kremla prowadzi tzw. blok wschodni''.

Sprawy i Troski

Zbędne analizy

Będąc w jedenastej klasie, na jednej z lekcji polskiego, nie mogłem się powstrzymać, by nie zaprotestować przeciw stwierdzeniu polonistki, że Zygmunt Freud działał w interesie burżuazji. Moja interwencja Freudowi nie pomogła, mnie natomiast zaszkodziła poważnie. Parę lat później doszedłem jednak do wniosku, że coś było jednak w twierdzeniu szanownej profesorki. Z człowiekiem coś jest nie w porządku, gdy zaczyna przeprowadzać psychoanalizę. Osłabia to ducha rewolucyjnego.

Więc jeśli pęd do psychoanalizy jest dowodem, że w organizmie coś się psuje, to samo można powiedzieć o emigracji. Tymczasem wszelkie rodzaje analizy są niesłychanie modne w tym środowisku.

My jesteśmy tacy bo to, wy jesteście tacy bo tamto. Nas tak wychowywano, was inaczej. I tak dookoła Wojtek. W samej „Kulturze" ta analizomania przejawiła się kopą artykułów (a może obrażam kogoś, może to nie analizomania a dostarczanie materiałów dla przyszłych badaczy Emigracji?), z których chyba najcharakterystyczniejsze były szkice p. Chciuka. Sprowokowany tymi artykułami nie mogę się oprzeć chęci przeprowadzenia podobnej analizy. *Mea culpa!* Już od dawna nosiłem się ze zdrożną chęcią napisania artykułu pt. Jaka się wydaje i jaka jest emigracja w oczach przybyszów z kraju.

Sam co prawda przyjechałem na emigrację stosunkowo niedawno, lecz jestem już dostatecznie długo, by poznać problemy zawodowych emigrantów, a zarazem jeszcze na świeżo odczuwać różnicę między starymi i nowymi. Więc moralne prawo do zabierania głosu mam, co wszem i wobec oznajmiam, by uniknąć zarzutu, że jajko chce kurę uczyć. Zarzut niesłychanie popularny na emigracji.

Pamiętam mój pierwszy dzień w Sydney. Za oknem Domu Polskiego pokapuje deszczyk. Z wnętrza dolatują rdzennie polskie, pijackie wrzaski, a człowiek czuje się jak w cudem zachowanym świecie przedwojenno-wojennym. No bo, akcesoria jak z filmu „Kariera Nikodema Dyzmy". Orzeł z obowiązkową koroną, zakurzone portrety panów marszałków, wodzów naczelnych prezydentów i premierów. Patefon zagrywa przedwojenne

szlagiery a pan mecenas z panem hrabią kiwają się nad partią szachów. Prawdziwa satysfakcja. Istny kawałek przedwojennego świata.

Po pewnym czasie ostrość tego obrazu zaciera się. Przywyka się do akcesoriów. Trudniej jest jednak przywyknąć do odmiennego typu psychiki, jaki wytworzył się na emigracji. Przecież ci ludzie zupełnie inaczej rozumują.

Pierwsze zatargi i tarcia wynikłe między świeżo przybyłymi a zasiedziałymi emigrantami są sygnałem konfliktu, jaki by zaistniał między Polakami z kraju a emigrantami, gdyby ci ostatni wrócili do Polski.

Mam wrażenie, że bez względu na to jaki by ustrój panował, patrzano by na nich, łagodnie mówiąc, jak na dziwaków.

Nieznośne poczucie wyższości i snobizm to cechy nie znikające od razu. A przytłaczająca większość emigracji jest tymi wadami przesiąknięta od dołu do góry. Oczywiście mówię przeważnie na podstawie obserwacji emigracji australijskiej, lecz podobno emigracja ta nie różni się zasadniczo od jakiejkolwiek innej.

Jako przykład tego nieznośnego snobizmu podam następujące wydarzenie. Parę dni po przyjeździe do Australii, zapytano mnie na jednym z zebrań: Czy zauważył pan u nas naleciałości obcego języka, cudzoziemski akcent...?.

— Nie! — odpowiedziałem — mówicie państwo równie dobrze po polsku, jak przeciętny krajowy inteligent, o ile nie lepiej.

Moi rozmówcy byli wyraźnie rozczarowani. Tego samego dnia jechałem kolejką z robociarzem. — „Bo jo jus tylo lot w Ostrali, że po polsku mówić zapomnioł", — stwierdził z wyraźną dumą i by mi zaimponować zwrócił się okropną angielszczyzną do sąsiada. Podobne stanowisko przejawia większość emigracji w subtelniejszej nieco formie: „My już jesteśmy bardziej anglosascy w naszym codziennym życiu i odruchach niż rodacy z kraju", itp. Szkoda, że tubylcy tego nie dostrzegają.

Z drugiej strony oszałamia przerażająca wprost u tych ludzi niemożność zrozumienia tego się dzieje w kraju. Kompletne wyobcowanie. Ustawiczne popadanie w przesadę. Od potępiania i pustych protestów do peanów i entuzjazmu na temat, co oni tam osiągnęli.

W ogóle wyobrażenia o Polsce nie z tej ziemi.

Zasłużony i ogólnie szanowany senior polskiej emigracji w Australii pyta mnie czy nie doświadczyłem uczucia wolności nie potrzebując się bać policjanta w Australii.

Moja odpowiedź, że i w Polsce nie bałem się milicjantów wyraźnie zepsuła mu humor. Ten sam (z całym naciskiem podkreślam zasłużony i inteligentny pan) stwierdził, że w Polsce nie jest tak źle, bo tak jak przed wojną prawie każdy ma służbę domową...

Inna dama ma nam za złe, że w Polsce niewypały rozrywają dzieci, a jej syn (uważa się za 100% Australijczyka), że Polacy za głośno rozmawiają w autobusach.

Z drugiej strony ci sami ludzie, aż pieją z zachwytu na temat osiągnięć Polski Ludowej. Analfabetyzm zlikwidowany, a jakie książki wydają! itp.

Gdy nieśmiało stwierdziłem, że na uniwersytet jest trudno się dostać, zakrzyczano zgodnym chórem, że przed wojną też nie było łatwo, żebym nie wydziwiał.

I tu leży pies pogrzebany. Większość młodzieży krajowej dziwnie mało to wzrusza jak było „przed wojną". Słuchamy tego przez grzeczność, trochę jak bajeczki o Żelaznym Wilku.

Podchodzimy do zagadnień bez obciążenia balastem przeszłości. To, że przed wojną działo się źle, lub gorzej nie jest usprawiedliwieniem dla tolerancji obecnego zła. Zostaliśmy wychowani w konkretnym ustroju i jego akceptacja, negacja lub próba reformy obywa się bez oglądania na przeszłość.

Startujemy z tego co mamy. Długie i mętne historyczne analizy, rozwiązywanie zagadnień w oparciu o doświadczenie przeszłości i tym podobne frazesy podstarzałych panów z brzuszkiem i „businessem", nie mają wielkiego sensu. Nowe warunki społeczne i polityczne wymagają odmiennego typu postępowania, ba wytwarzają go! I tego większość ludzi na emigracji nie chce zrozumieć. Tylko ich doświadczenie się liczy, tylko ich mądrość. Co ci smarkacze wiedzą! W takiej sytuacji cały kraj staje się w ich rozważaniach kłopotliwym elementem i nie umiejąc przewidzieć pewnych reakcji, nie rozumiejąc ludzi stamtąd przybyłych, zaczynają odczuwać pewną wyższość. Wszystkie te czynniki zebrane razem stwarzają niesłychanie dziwny typ umysłowości, pełen, sprzeczności i obdarzony przeważnie tubalnym organem głosowym.

Trudno jest tu człowiekowi przybyłemu z kraju w czymkolwiek się zorientować. Wszyscy tu psioczą na Australię (ale tylko im wolno). Informują nowoprzybyłych jak to jest naprawdę w P.R.L. i że Gomułka nie może poradzić, ale robi co może! Usprawiedliwiają posunięcia Partii i Rządu, itd., lecz nie zaciągniesz ich do Polski i dziesięcioma wołami.

Będąc w Kalkucie spotkałem młodego Polaka. Wyglądał jak Anglik, piegowaty, blondyn i z nieodłączną fajką. Poza tym złoty chłopiec. Po paru minutach rozmowy okazało się, że jest na emigracji dopiero dwa lata.

Niech się pan nie zadaje ze starymi emigrantami, to paskudne typy — powiada.

— Dlaczego — pytam.

Młody człowiek zakręcił się niespokojnie. Pyknął parę razy z fajki i zza zasłony dymnej odpowiedział.

— Każdy z nich uważa się za coś wyższego. Nigdy człowiekowi nie pomogą, choćby z głodu zdychał!

Był popołudniowy upał. Nie przeciągaliśmy dyskusji. Poszliśmy napić się szklankę „duth". Wydawało mi się wtedy, że mój sympatyczny rozmówca grubo przesadził.

Okazało się, że miał rację. Tu tkwi nowe zagadnienie. Stara, zasiedziała emigracja ma wyraźną pretensję, że nowoprzybyli liczą na jakąś pomoc. „My byliśmy zdani na własne siły!" Wszystko sami żeśmy sobie wywalczyli. Tylko jeden gatunek sera tu znano! A ci na gotowe przyjeżdżają i chcą, żeby im tylko pod nos podtykać".

Jest w tym dużo racji. Rzeczywiście prawie każdy świeżoprzybyły wyobraża sobie swój przyszły kraj osiedlenia, a ściślej mówiąc emigrację, jako coś w rodzaju małej Polski. Spodziewa się zainteresowania i opieki. A tu tymczasem mili rodacy mówią. „Jesteś bracie w kapitalistycznym kraju martw sam się o siebie. Nam nikt nie pomagał". Nic dziwnego, że przeważnie następuje szok, rozczarowanie i chęć powrotu do domu. Nie

jest to rozczarowanie nowym krajem, lecz najczęściej miejscowym polskim społeczeństwem, jego egoizmem i dorobkiewiczowstwem.

Oczywiście od każdej reguły są wyjątki i nierzadko zdarzają się ludzie poświęcający swój czas i pieniądze by pomóc nowoprzybyłym w aklimatyzacji. Są to jednak jednostki. Ogólne nastawienie jest zupełnie różne.

Polskie firmy, względnie polscy pracodawcy wyjątkowo niechętnie przyjmują do pracy nowoprzybyłych. Nierzadko również eksploatują zatrudnionych do granic prawnych możliwości. Większość Polaków zdecydowanie woli pracować u australijskich pracodawców niż u rodaków.

Do wzmocnienia szoku jaki przeżywa przybysz z Polski przyczynia się dosyć idealistyczny obraz polskiej emigracji, jaki pielęgnuje w sercach większość krajowych Polaków. „Oni tam na Zachodzie przynajmniej są wolni, mogą mówić jak u nas jest naprawdę, mogą być naszym głosem, poruszać opinię światową itp.".

Taka rola wymaga odpowiednich walorów moralnych. A tu rzeczywistość jest zupełnie inna. Nie wnikając w kwestie polityczne, w Polsce mało kto sobie zdaje sprawę, że większość polskiej emigracji to ludzie na pograniczu analfabetyzmu.

Są to przeważnie chłopi lub robotnicy o słabym wykształceniu. Przeszczepienie na obcy grunt, do dużego dobrobytu, zahamowało dokładnie ich rozwój intelektualny. Początkowo przeżywali ostry kompleks niższości „Co powie Australijec to święte, oni wszystko wiedzą". Później, jak to zwykle, bywa kompleks niższości przerodził się w kompleks wyższości. „Co te kangury wiedzą", oraz spoglądanie z wyższością na przybyszów.

Niesłychanie charakterystyczny wypadek zdarzył się pewnemu magistrowi prawa, któremu rodak, robotnik z cegielni, odmówił pokoju, bo przyszły lokator wyciągał tylko „basic wages" 14 funtów na tydzień, a gospodarz jak mu „overtajmy strzeliły" to i do 30 wyciągał.

Wraz z domkiem, „karem" i „telewiżen" napłynęła duma. Chęć zaimponowania dorobkiem, zamiast umysłem. Stąd te imponowanie nowoprzybyłym, autami, łazienkami z plastyku i telewizją. Jaskrawym dowodem braku jakichkolwiek ambicji narodowo-kulturalnych jest kwestia wynaradawiania się dzieci. Winni tu są rodzice. Sam nieraz słyszałem, jak matki przemawiały do dwu trzyletnich brzdąców łamaną angielszczyzną.

Nowoprzybyłych rażą te rzeczy. Rzucają się jaskrawo w oczy. Nowe warunki, nowy styl życia w połączeniu z zasklepiałością polskiego środowiska, stwarzają szczególnie podatny grunt do wszelkich rozczarowań.

Gdy nie można znaleźć pracy, gdy nie ma się ubezpieczalni, gdy do pracy trzeba dojeżdżać dwie, trzy godziny, gdy problem komunikacji zabija, praktycznie biorąc, zbiorowe życie kulturalne (bo każdy Australijczyk woli mieszkać w domu z lilipucim ogrodkiem, i dojeżdżać doń godzinami, niż mieszkać w bloku a zbiorowisko chałupek zwane Sydney ciągnie się dziesiątkami kilometrów we wszystkie strony), gdy ludzie są obojętni, wtedy wybacza się dużo P.R.L. i zaczyna się wytwarzać niezdrowy antagonizm między przybyszami a zasiedziałymi emigrantami.

W takich warunkach emigracja polska będzie się dusić we własnym sosie, pielęgnować kłótnie i popijawy i powolutku a skutecznie wymierać.

Wszelkie pociechy na temat: waga moralna, oddziaływanie na przyszłe pokolenia, znaczenie protestu itp., nie mają wielkiego sensu. Zbyt

duża tu przepaść między teorią a praktyką. Wszelkie odezwy i nawoływania uderzają w pustkę, lub dostarczają tematu do kobylastych artykułów w emigracyjnych pismach.

Emigracja polska nie odgrywa żadnej roli politycznej. Wymiera bez bólu, lecz definitywnie. Naturalny dopływ jest zbyt mały, by zmienić sytuację, a prawdopodobnie niedługo ustanie zupełnie.

Lecz nie warto załamywać rąk. W tym zjawisku nie ma nic niezwykłego ani ponurego. Przypadkowy fakt, że p. X czy Y urodził się w Białej Podlaskiej, lub w Wołominie nie powinien u nas wywoływać automatycznej antypatii, czy sympatii. Ostatecznie człowiek jest ważny a nie jego narodowość.

Nie trzeba żałować, że olbrzymia masa ludzi mówiących kiepską polszczyzną, o nikłym wykształceniu wtapia się w inny naród. Przynajmniej jest jakiś z nich pożytek. I tak by w Polsce dla nich miejsca nie było. Nie zapominajmy, że Polska jest krajem przeludnionym.

Moim zdaniem jest droga wyjścia z tej sytuacji. Prawdziwe i odpowiedzialne zadanie powinno spocząć na barkach polskiej elity umysłowej na emigracji. Ci tylko są w stanie i mogą reprezentować Polskę i jej problemy.

Polscy intelektualiści powinni przyswoić sobie obcą kulturę, w której żyją. Znaczyć coś w niej. Odgrywać rolę w miejscowym ruchu intelektualnym i politycznym. Stać się częścią międzynarodowego ruchu polityczno-intelektualnego. Brać aktywny udział w walce z wszelkim totalitaryzmem.

Pamiętając, że Polska jest tylko częścią ogólnego zagadnienia, znacznie szerszego niż losy tego jednego kraju, i tylko wtedy, polska intelektualna emigracja będzie w stanie rzeczywiście pomóc swemu krajowi.

Ostatecznie w świecie Conrad znaczy więcej niż Mickiewicz. To też nie jest do pogardzenia.

Leszek SZYMAŃSKI

Emigracja czechosłowacka w Polsce

Przeszło rok temu ukazała się nieduża praca, pióra czechosłowackiego dziennikarza, red. Rudolfa Kopecky'ego, dotycząca czechosłowackiej akcji niepodległościowej na terenie Polski w 1939 roku (1). Autor jej należał przed wojną do czeskiej partii narodowo-demokratycznej i związany był w swoim czasie z grupą *Volna Myslenka* (wolnomyśliciele). Po zajęciu Pragi przez Niemców w marcu 1939 roku, Kopecky znalazł się na terytorium Polski, gdzie pracował z wielką ofiarnością i energią jako kierownik propagandy, samorzutnie powstałej czechosłowackiej organizacji wojskowej, a następnie jako kierownik propagandy w legionie pod dowództwem generała Lva Prchali. Redagował on między innymi pismo *Prehlad* (Przegląd). W wyniku katastrofy wrześniowej Kopecky przeszedł granicę rumuńską, następnie przebywał we Francji i Anglii. Po zakończeniu wojny, autor należał do tych nielicznych Czechów, którzy nie powrócili do kraju, nie wierząc w trwałość niepodległości Czechosłowacji w ramach sowieckiego bloku. Mieszka on obecnie w Londynie.

Praca Kopecky'ego jest niezwykle ważnym dokumentem ze względu na sposób w jaki powstała. Autor jej starannie zbierał materiały i dokumenty dotyczące akcji czechosłowackiej w Polsce, licząc się z wydaniem ich w formie książki po powrocie do ojczyzny. Ponieważ w roku 1940, czechosłowackie czynniki kierownicze patrzyły z pewną niechęcią na inicjatorów organizacji wojskowej w Polsce przedwrześniowej — autorowi ukradziono nawet cześć dokumentów, aby ukuć z nich broń przeciw Prchali — Kopecky nie był wzywany do zrefero

(1) *Ceskoslovensky odboj v Polsku v r.* 1939. (Rotterdam, 1958).

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

wania prac w Polsce. Zwrot w opinii czechosłowackich kół rządowych nastąpił dopiero po upadku Francji i w związku z pertrakcjami pomiędzy rządami czechosłowackim i polskim w Londynie, czeskie ministerstwo spraw zagranicznych zwróciło się w styczniu 1942 r. do Kopecky'ego z prośbą o przedłożenie dłuższego raportu. Raport ten, ukończony w marcu 1942 roku i złożony w ministerstwie, stanowi treść obecnie wydanej książki i autor stwierdza na wstępie, że poza koniecznymi poprawkami stylistycznymi i dodatkowymi wyjaśnieniami, raport został utrzymany w niezmienionej formie.

Kopecky słusznie zrobił nie przerabiając swego raportu. Jak sam zresztą pisze, praca przygotowana z perspektywy 1958 r. różniłaby się znacznie od referatu pisanego dla rządu w czasie wojny i choć stanowiłaby z pewnością pożyteczny i cenny przyczynek do dziejów czechosłowacko-polskich, nie miałaby już charakteru autentycznego dokumentu historycznego jakim jest ta książka.

Dla czytelnika polskiego książka Kopecky'ego stanowi fascynującą lekturę i to dla kilku powodów. Znajdujemy w niej wnikliwą ocenę stosunków polskich w przeddzień wojny, pisaną przez dziennikarza życzliwego Polsce, ale bynajmniej nie bezkrytycznego. Jako emigranci polityczni mamy dziś pełne zrozumienie dla problemów emigranta politycznego na terenie Polski, a opis stosunku rządu i społeczeństwa polskiego do emigrantów jest niewątpliwym *novum*. Książka Kopecky'ego wreszcie podkreśla głębokie polityczne znaczenie akcji wojskowej czeskiej na terenie Polski. Dla przeciętnego Polaka historia tej akcji łączy się z nazwiskiem generała Prchali i stanowi drobny, na wpół zapomniany epizod — czytając prace Kopecky'ego jednak mamy inne reakcje i nasuwa się nam wciąż myśl jak inaczej ułożyłyby się stosunki polsko-czechosłowackie, gdyby kampania wrześniowa nie zakończyła się katastrofą.

Zanim książka Kopecky'ego nie zostanie przetłumaczona na język polski, na co zasługuje, wydaje się pożądane streścić jej główne punkty, które powinny zainteresować czytelnika polskiego na emigracji i w Kraju.

Autor rozpoczyna swą pracę od analizy ogólnych ram w jakich rozwijała się akcja czechosłowacka na terenie Polski i podkreśla, że ramy te różniły się znacznie od tych, w jakich działali podówczas czechosłowaccy politycy na zachodzie. Przede wszystkim Polska nie była Czechosłowacji życzliwa; udział Polski w akcji anty-czeskiej w okresie Monachium położył się cieniem na wzajemnych stosunkach a lata współpracy z Niemcami i uznanie niepodległego państwa słowackiego nie mogły być łatwo zapomniane. Kampania prasy polskiej przeciw Czechom zaczęła już w tym czasie ustawać, ale w nastawieniu opinii publicznej przeważała teza, że jakkolwiek Czesi zasługują na współczucie, to jednak zasadniczo byli oni sami sobie

winni. Kopecky pisze, że jakkolwiek w ośrodkach opozycji i w lepiej zorientowanych kołach wojskowych liczono się już, z wiosną 1939 roku, z wojną — wybuch przewidywano na rok 1940 — to na ogół panował optymizm, wiara w zachód i tendencja niedoceniania potęgi niemieckiej.

W stosunku do Czechów panował pogląd, że upadek Czechosłowacji nie był zbyt ważnym wydarzeniem z polskiego punktu widzenia. Sugestie o stworzeniu, na wypadek wojny, wojska czechosłowackiego w Polsce traktowano pobłażliwie; najżyczliwści widzieli w tym jedynie pewien symboliczny gest nie mający większego praktycznego znaczenia. W miarę pogarszania się sytuacji postawa to poczęła się powoli zmieniać, ze względów jednak zasadniczych, pomoc udzielana czechosłowackim planom musiała być oficjalnie dementowana lub przemilczana.

Kopecky pisze dalej, że Czechosłowacy, myślący o akcji polityczno-wojskowej w Polsce, musieli brać pod uwagę fakt, że Polska była krajem rządzonym autorytatywnie. Dlatego też nie można było rozpoczynać żadnego działania bez cichej zgody i aprobaty czynników rządowych. W tych warunkach życzliwi Czechom leaderzy opozycji doradzali im nawiązywanie kontaktów z władzami a sami usuwali się w cień, aby nie utrudniać im tego zadania. Kopecky podkreśla jako pewien paradoks, fakt że akcja czechosłowacka w Polsce musiała szukać oparcia w ludziach, którzy uważani byli za tradycyjnych wrogów Pragi. Dużym też zaskoczeniem dla Czechów była możność znalezienia takiego oparcia u wojewody Grażyńskiego, u redaktora IKC, Rohatinera, oraz w kołach prasy katolickiej.

Masowa akcja polityczna czechosłowacka napotykała na poważne trudności ze względu na specyficzny charakter mniejszości czeskiej w Polsce. Czesi mieszkający na Wołyniu odznaczali się dużą lojalnością wobec Rzeczpospolitej (tak jak niegdyś wobec carskiej Rosji) i pewne sentymenty czeskie istniejące u nich, okazały się pomocne dopiero z chwilą wybuchu wojny. Nieliczne grupki Czechów, rozsianych po większych miastach, na pół spolonizowane, nie stanowiły też oparcia dla masowej działalności politycznej. Jedyna zwarta grupa, myśląca kategoriami ściśle czeskimi, na Śląsku cieszyńskim, nie mogła być użyta do żadnej akcji, tak ze względu na stronę polską jak i czeską. Jakiekolwiek przejawy akcji narodowej u Czechów cieszyńskich musiałyby wzbudzać podejrzenia władz polskich; Czesi zaś sami, nastawieni wrogo do Polski, nie byli gotowi do uczestniczenia w akcji opartej na bliskiej współpracy obu narodów.

W tych warunkach czechosłowacka akcja niepodległościowa w Polsce mogła się zrodzić i przybrać poważniejsze rozmiary dopiero z chwilą napływu większej ilości emigrantów politycznych z Czech lub Słowacji. Gdy to jednak nastąpiło pojawiły się nowe komplikacje. Charakter pierwszych fal emigrantów

brak koordynacji pomiędzy poszczególnymi ośrodkami, brak przywódców o nazwiskach znanych i cieszących się ogólnym autorytetem, wszystko to stanowiło poważne przeszkody, które dopiero z czasem można było przezwyciężyć.

Wśród pierwszych grup uchodźców przeważającą większość stanowili Żydzi niemieccy, komuniści i socjaliści z Sudetów, oraz ludzie, którzy uciekając przed hitlerowcami nie pragnęli brać udziału w żadnej akcji politycznej, ale szukali jedynie schronienia przed prześladowaniami i możliwości spokojnej pracy. Dlatego też ludzie ci mieli mało wspólnego z następnymi falami uchodźców czechosłowackich, którzy szli na emigrację świadomie, pragnąc walczyć politycznie lub zbrojnie z Niemcami. Wyraźne rozróżnienia pomiędzy grupami zarysowały się szybko, początkowo jednak wszyscy uchodźcy byli traktowani podobnie, żyli z pomocy udzielanej im przez gminy wyznaniowe żydowskie a później przez *Czechoslovak Trust Fund,* który na terenie Polski reprezentował Herman Field.

Status uchodźcy w Polsce nie był wyraźnie określony i emigranci nie mieli na ogół prawa stałego pobytu w kraju. Rejestracja w konsulacie brytyjskim w Katowicach i podanie o wizę do Anglii uprawniały ich do krótkotrwałego pobytu, ale możność swobodnego poruszania się po Polsce teoretycznie nie istniała. Kopecky określa ten stan rzeczy jako tolerowanie uchodźców, ale nie dawanie im prawa azylu w ogólnie zrozumianym sensie tego słowa. Sprawa nielegalnego przekraczania granicy nie była też wyraźnie uregulowana i zdarzały się wypadki — na ogół nieliczne — odsyłania uchodźców z powrotem. Z drugiej strony niektóre władze lokalne szły Czechom bardzo na rękę i na przykład starostwo w Nowym Targu wystawiało przepustki z prawem rocznego pobytu. W tych warunkach emigranci mieli uczucie, że los ich jest zupełnie nieustabilizowany i że zależy on wyłącznie od dobrej woli władz polskich.

Strona czechosłowacka nie miała początkowo żadnego zorganizowanego ośrodka, ani też ludzi, którzy potrafiliby lub chcieli objąć kierownictwo. Jednostki o tak wybitnych nazwiskach politycznych jak minister Bechyne, prałat Szramek, gen. Ingr, senator Vojta Benesz, poseł Uhlirz i inni, przebywali w Polsce krótko, traktując ją jedynie jako jeden z etapów w drodze na zachód. Poselstwo w Warszawie, pozbawione swego szefa, posła Juraja Slavika; konsulat w Krakowie z mało energicznym konsulem i zbyt aktywnym samozwańczym wicekonsulem, nie mogły stać się ośrodkami kierowniczymi. Pozycja obu tych instytucji zresztą, funkcjonujących przy cichym *placet* Warszawy była dość delikatna i trudna, a urzędnicy dyplomatyczni i konsularni, często typowi biurokraci, oceniający pesymistycznie wszelkie próby współpracy z Polską, nie potrafili przestawić się nagle na działalność na wskroś polityczną w dość specyficznych warunkach emigracyjnych.

Kopecky opisuje szczegółowo powolną ewolucję w łonie

emigracji czechosłowackiej, spory komitetów emigracyjnych i waśnie, a wreszcie wyodrębnianie się grupy ludzi zdecydowanych wziąć udział z bronią w ręku w zbliżającej się wojnie. Z grupy tej wyłoniła się na terenie Krakowa, czechosłowacka organizacja wojskowa (*vojenska skupina*), w której Rudolf Kopecky odegrał jedną z głównych ról. Uzyskując poparcie konsulatu i łączące się z tym korzyści techniczne i lokalowe, organizacja wojskowa powstała oficjalnie 30-go kwietnia 1939 roku. Na czele jej stanął z początku porucznik Kaleta, stronę propagandowo-polityczną zajmował się Kopecky. Działalność jego polegała na wydawaniu pisma *Prehlad,* nawiązywaniu kontaktów z prasą, radiem a też D.O.K. Kraków i wybitniejszymi osobistościami, wśród których Kopecky wymienia przede wszystkim generała Kukiela.

Organizacja opierała się na zasadach programowych, opracowanych głównie przez Kopecky'ego, które głosiły między innymi: powrót do granic czechosłowackich sprzed Monachium (łącznie z Zaolziem, o którym jednak ze względów politycznych wówczas nie mówiono), uznanie jedności narodowej czechosłowackiej, odrzucenie legalizmu drugiej Republiki (pomonachijskiej) i uznanie Benesza jako naturalnego przywódcy w walce o odzyskanie niepodległości. Organizacja kładła główny nacisk na akcję zbrojną, z tym, że uznawała znaczenie równorzędnej działalności na polu dyplomatycznym i propagandowym. Członkami organizacji mogli być tylko Czesi, Słowacy, lub Przykarpaccy Ukraińcy. Udział przedstawicieli mniejszości, które odegrały jakąkolwiek rolę w kryzysie monachijskim był odrzucony.

Działalność czechosłowacka na płaszczyźnie wojskowej koncentrowała się podówczas w Krakowie a później w obozie harcerskim w Bronowicach, oddanym przez władze polskie do dyspozycji Czechów. Organizacja wojskowa stała na wysokim poziomie ideowym a liczba jej członków zwiększała się przez stały dopływ przez zieloną granicę. Ten bliski kontakt z krajem i duża ideowość i gotowość poświęcenia wywarły silne piętno na charakterze organizacji, która wyraźnie podkreślała swą odrębność od innych uchodźców. Organizacja przestrzegała czechosłowackiego regulaminu wojskowego i uważała siebie za część armii narodowej, będącej w stanie wojny z Niemcami. Kontakty z polskimi czynnikami politycznymi i wojskowymi, stale poufne i dyskretne, zaczęły się wyraźnie zacieśniać. Po przejściu organizacji do Bronowic policja polska nie dostrzegała Czechów, nawet tych, którzy występowali w mundurach, oficerowie polscy odpowiadali na salutowanie ich przez czechosłowackich ochotników. Władze tolerowały również wyjazd transportów czeskich do legii cudzoziemskiej do Francji, choć po pewnym czasie poczęły wychodzić ze strony polskiej propozycje, aby Czesi pozostawali w kraju i wstępowali do wojska polskiego. Dotyczyło to szczególnie lotników.

Tak więc w miarę zbliżania się konfliktu współpraca polsko-czechosłowacka wzrastała i pogłębiała się.

Współpraca ta dawała się szczególnie zauważyć na odcinku propagandowym, chociaż akcja czeska cierpiała na tym, że zajmowały się nią trzy nieskoordynowane ośrodki: poselstwo w Warszawie, konsulat i organizacja wojskowa w Krakowie, a wreszcie mała grupa, działająca na własną rękę, pod kierownictwem dziennikarza z ludowego *Venkova,* red. Ferdynanda Kahanka. Kopecky ocenia bardzo ujemnie działalność poselstwa i tłumaczy je nieumiejętnością dostowanie się jego personelu do istniejącej sytuacji.

W tych warunkach główny ciężar pracy spoczywał z jednej strony na Kahanku, mającym doskonałe dojścia do prasy, radia a nawet MSZ, a z drugiej na organizacji wojskowej i konsulacie. Wśród akcji wymienianych przez Kopecky'ego, organizacja wojskowa, a raczej jej dział propagandy, zainicjował zbiórkę wśród Czechosłowaków na FON, uroczystości związane z wyjazdami ochotników do Francji, ostentacyjne złożenie wieńca u stop pomnika grunwaldzkiego, oraz tworzenie komitetów polsko-czechosłowackich. W ramach tych ostatnich działali między innymi, gen. Kukiel, wojewoda Grażyński, profesorowie Kutrzeba i Lehr-Spławiński, teściowa posła Pappego, p. Dobrzańska i mjr. Mazurkiewicz.

Akcja dyplomatyczna przedstawiała się zdaniem Kopecky'ego najsłabiej. Poselstwo w Warszawie, pozostające bez kierownictwa, nie potrafiło się zdobyć na bliższą współpracę z Polską, do której żywiło dawne uprzedzenia i niechęci. Konsulat w Krakowie, związany zasadniczo z organizacją wojskową, rościł sobie prawa kierownictwa politycznego, do którego nie miał żadnych danych i spory wewnętrzne utrudniały pracę na odcinku zewnętrznym. Dochodziły tu zresztą inne głębsze powody, w które autor nie wchodzi w swoim raporcie. Emigracja czechosłowacka na zachodzie nie była w tym momencie zjednoczona; poważne różnice dzieliły Benesza od Osusky'ego i Benesza od Hodzy — istniały grupy i grupki. To wszystko miało swoje znaczenie i swój wpływ na poselstwo i konsulat w Polsce i krępowało ich możność działania.

Punktem zwrotnym w czechosłowackiej akcji niepodległościowej w Polsce stał się przyjazd do Warszawy w końcu maja generała Lva Prchali, który wkrótce po przyjeździe rozpoczął pertraktacje z polskim sztabem i naczelnym dowództwem. W związku z jego przyjazdem ciężar akcji czechosłowackiej począł się powoli przesuwać z Krakowa do Warszawy. Tam też znaleźli się wkrótce, jako doradcy polityczni i propagandowi Prchali, red. Kopecky i dr Palkovsky. W czerwcu negocjacje rozpoczęły się na serio i w sierpniu strona polska przydzieliła Prchali stałego łącznika w osobie ppłk. Dostala. Wojskowa organizacja w Bronowicach przechyliła się wówczas na stronę Prchali, rozluźniając swe więzy z konsulatem.

Wobec istniejącej obawy, że czynniki czechosłowackie w Londynie, będące pod kierownictwem Benesza, mogłyby ocenić akcję Prchali jako samowolną działalność, niepowiązaną z ogólnym kierunkiem i linią akcji niepodległościowej, Prchala wystosował w sierpniu list do gen. Ingra w Londynie, z prośbą o przekazanie go Beneszowi. List ten Kopecky przytacza w całości i niektóre jego ustępy zasługują na zacytowanie tutaj. Generał Prchala wyjaśnia w nim, że niemożność odbycia przez niego rozmów w Londynie wypływa jedynie z faktu, że nie może on obecnie opuścić Polski. Odżegnując się od ambicji wodzowskich i podkreślając konieczność akcji na zachodzie, generał stwierdzał równocześnie, że działalność w Polsce jest szczególnie ważna a to z szeregu powodów.

,,Wydarzenia marcowe'', pisał Prchala, ,,zmieniły zasadniczo nastawienie szerokich mas ludowych w Czechach do Polski. Od razu poszły w zapomnienie stare spory i wszyscy poczuli, że Polska jest dziś główną, jeżeli nie jedyną, nadzieją naszego narodu''. Stwierdzając, że nastroje w Polsce uległy również poważnym zmianom generał pisał że: ,,My wszyscy rozumiemy, że silna, niepodległa i przyjazna nam Polska jest zasadniczym warunkiem odzyskania i utrzymania naszej niepodległości państwowej''. Pisząc jako żołnierz, Prchala zaznaczał, że nie jest obojętne czy wojsko czechosłowackie będzie walczyć blisko czy też daleko od swej ojczyzny. Ale, nie tylko ten czynnik przemawiał za akcją zbrojną na terenie Polski, ale także i fakt, że polsko-czechosłowacka ,,przyjaźń może wyrosnąć tylko na polach bitew''. Armia czechosłowacka w Polsce spełniać zatem będzie ważną rolę ,,przygotowania lepszej przyszłości obu narodów''. Nie wchodząc w to kto w przeszłości bardziej zawinił, Prchala nawoływał do zapomnienia przeszłości a choć wielu Czechów żywi nadal niechęć i nieufność do Polski: ,,interes narodu wymaga, aby to się zmieniło''.

Silne podkreślenie bliskiej i trwałej współpracy z Polską, pisze Kopecky, było nowym elementem wniesionym do poprzednio obowiązujących zasad czechosłowackiej organizacji wojskowej i Czechosłowacy w Polsce założenie to przyjęli. Benes zaaprobował również stanowisko Prchali i przez Slavika który w tym momencie wrócił do Polski, ośrodek londyński i warszawski doszły do porozumienia. Prchala uznał jedność akcji czechosłowackiej i przyjął z rąk Benesza dowództwo nad armią czechosłowacką w Polsce. W przeddzień więc wybuchu wojny akcja w Polsce była w pełni skoordynowana z Londynem a poselstwo ze Slavikiem na czele współpracowało z Prchalą.

W obliczu nadchodzącego konfliktu, ustalono warunki na jakich miał organizować się legion czechosłowacki w Polsce i w połowie sierpnia organizacja wojskowa w Bronowicach stanowiąca trzon legionu, otrzymała rozkaz przeniesienia się do obozu wojskowego w Lesznie pod Baranowiczami. Opieszałość konsulatu w Krakowie opóźniła wyjazd, tak że część legionu

została na miejscu aż do wybuchu wojny i ewakuowała się pieszo 1-go września. Według uzgodnionego planu legion miał stać się tysięczną kadrą, która przez werbunek ochotników (między innymi Czechów i Słowaków obywateli polskich) miała przekształcić się w małą armię. Lotnicy zostali z niej wydzieleni i włączeni bezpośrednio do lotnictwa polskiego.

Trzeciego września 1939 r. ogłoszone zostały dekrety Prezydenta R.P. i Naczelnego Wodza powołujące do życie ,,Legion Czechów i Słowaków''. Nazwa ta różniąca się od proponowanego przez Prchale terminu: Legion Czechosłowacki, przyjęta została ze względu na poselstwo słowackie w Warszawie, które było pierwszym przedstawicielstwem zagranicznym jakie ogłosiło deklarację popierająca Polskę (podpisana przez posła Szatmary'ego) i przyłączyło się od akcji wojskowej. Poselstwo czechosłowackie nie poszło zaraz w jego ślady i aby zatrzeć ewentualne złe wrażenie, Kopecky i Kahanek wydali pro-polskie oświadczenie imieniem czechosłowackich dziennikarzy. Trzeciego września, tłumy Warszawy manifestujące przed ambasadami brytyjską i francuską, zgromadziły się również przed poselstwem czechosłowackim, z balkonu którego przemówili do warszawiaków Slavik i Prchala.

Legion Czechów i Słowaków miał tworzyć autonomiczną jednostkę w ramach armii gen. Kleeberga. Miał otrzymać polskie umundurowanie z czechosłowacką odznaką na czapce i polski żołd. Regulamin czechosłowacki obowiązywał wewnątrz jednostki a regulamin polski na szczeblu współpracy z oddziałami polskimi. Generał Kleeberg zaproponował aby legion był traktowany z punktu widzenia zaopatrzenia i wyżywienia na prawach szkoły podchorążych, ale dowództwo legionu z propozycji tej nie skorzystało.

Dnia 6-go września sztab legionu wraz z poselstwem i bardziej narażonymi osobami cywilnymi został ewakuowany pociągiem do Baranowicz gdzie połączył się z samym legionem. Wobec braku umundurowania i uzbrojenia oddział nie mógł wziąć udziału w akcji i pozostawał pod Baranowiczami niepewny swych dalszych losów. Plotki jakoby generał Prchala miał udać się z misją do Moskwy celem uzyskania uzbrojenia, należały do rzędu fantastycznych wieści, które krążyły nagminnie w okresie kampanii wrześniowej.

Legion otrzymał rozkaz ewakuacyjny 11 września i przetransportowany został pociągiem pod Tarnopol, gdzie wyładował się trzy dni później. Pomiędzy 14-tym a 18-tym legion znajdował się w małej wiosce pod Tarnopolem, odcięty od wiadomości z frontu, bombardowany z powietrza i otoczony wrogą atmosferą miejscowej ludności ukraińskiej. Wysiłki otrzymania rozkazów, które pozwoliłyby na przesunięcie legionu w bardziej bezpieczne miejsce nie dawały rezultatu i 17-go września generał Prchala udał się do Zaleszczyk na rozmowę ze Slavikiem i naczelnym wodzem. Komendę przejął ppłk. Svoboda. Dzień

później do legionu doszła wiadomość o wkroczeniu do Polski wojsk sowieckich, idących rzekomo z pomocą Rzeczpospolitej. Tegoż dnia ppłk Svoboda zarządził marsz ku granicy południowej, wysyłając przodem grupę oficerów i red. Kopecky'ego, którzy wkrótce potem, odcięci od legionu, przeszli granice Rumunii. Prchala wracający na północ został wzięty do niewoli rosyjskiej — legion wraz z ppłk. Svobodą został otoczony przez wojska sowieckie i internowany. Tak brzmi sucha relacja Kopecky'ego i czytając ją nie trudno nam jest odtworzyć sobie nastroje czechosłowackich legionistów w owe pamiętne wrześniowe dni.

Autor piszący swe sprawozdanie w 1942 r. stawia sobie pytanie czy krótki epizod legionu w Polsce ma jakiekolwiek znaczenie i dochodzi do wniosku, że znaczenie to posiada. Upadek Francji w 1940 r. pokazał wyraźnie, że inicjatorzy legionu stawiając na Polskę nie byli jedynymi, którzy nie docenili potęgi militarnej Niemiec. Komentując kampanię wrześniową Kopecky pisze: „Tylko ten kto był w Polsce wie, że Polska padła w bohaterskim boju i że jeżeli słowo, honor żołnierski, cokolwiek znaczy, to Polska swój żołnierski honor ocaliła z najwyższym bohaterstwem i poświęceniem w sposób jaki radzibyśmy widzieć zawsze u siebie". Legion, choć nie mógł uczestniczyć zbrojnie w kampanii, dzielił losy polskiego narodu "a tragedia jego była tylko cząstką tragedii Polski". Polacy, pisze Kopecky, ocenili to i wiele przesadnych i niezasłużonych pochwał padło wówczas pod adresem tej garstki Czechów i Słowaków, którzy pragnęli walczyć na polskiej ziemi z Niemcami. Ocenił to w styczniu 1940 r. generał Kukiel, gdy mówił do Kopecky'ego: „Pan i pańscy przyjaciele przełamali lody" pomiędzy naszymi narodami. „Polska nigdy nie zapomni braterskiej ręki, którą żeście jej wtedy podali".

Minęło przeszło dwadzieścia lat od chwili gdy naród polski i legion czechosłowacki stali ramię przy ramieniu przeciw wspólnemu wrogowi. Wiele stało się od tego czasu, ale dobrze zrobił redaktor Kopecky, że przypomniał nam dziś o tym. Raport jego, pisany spokojnie i rzeczowo, jest świadectwem historycznym i z kart jego bije prawda. Oby wysiłek jego i jego towarzyszy przyczynił się kiedyś do bliskiej współpracy wolnych narodów Polski i Czechosłowacji.

Piotr WANDYCZ

Kronika kulturalna

Śmierć na równej drodze

Zastanawiam się dlaczego śmierć Camusa jest wydarzeniem tak dotkliwym dla tylu ludzi. Nie myślę tu o Mauriacach i Sartrach, ale o ludziach bez żadnego nazwiska w sztuce czy polityce. O tych, którzy go znali chociażby najbardziej przelotnie, gdy ich przyjmował przy swoim biurku wśród książek, u Gallimarda.

Chodzi tu więcej, chyba o wiele więcej, o *człowieka* niż o pisarza. Dla tych, którzy go znali tylko z jego książek, był on również w pierwszym rzędzie nie mistrzem słowa (a był nim przecie rzeczywiście), ale człowiekiem bliskim. Choć było niełatwo myśl jego w pełni uchwycić, myśl człowieka afirmującego absurd życia i grozę życia, który wiedział że „nie ma cichej wyspy w morzu dżumy", a jednocześnie sławił to życie, radość życia i żądał, by człowiek walczył o swoje szczęście, bo nie wierzył by ktokolwiek nieszczęśliwy, pozbawiony radości, mógł być komu pomocny.

„Nie wykazujemy naszej wielkości będąc na jednym krańcu, ale właśnie dotykając obu jednocześnie", te słowa Pascala są epigrafem do jego „Listów do przyjaciela Niemca", w których jest już cały Camus, ten z „Noces" i ten z „Dżumy".

Nagroda Nobla. Kiedy powiedziałem bliskiemu przyjacielowi Camusa że żałuję, że dostał tę nagrodę, obruszył się. Myślę dziś o tym tak samo. Nagroda Nobla wobec świata jakby go polakierowała sukcesem; stał się pastwą dziennikarzy i (choć umiał się bronić przed nimi) wszystkich przyjeżdżających do Paryża, z całego świata, literatów i półliteratów: dla nich literatura francuska to był Camus, sumienie francuskie to był Camus, cnoty francuskie także Camus. Dziś wiem jak sam nad tym cierpiał, jak mu ta fasada niezłomna, bohaterska i kryształowo czysta była boleśnie przykra. Wcale takim się nie czuł. Ile jest w „Chute" celnej surowości wobec ludzi „wzo-

rowych'', którzy gotowi z miłosiernym uśmiechem przeprowadzić nieznaną staruszkę przez ulicę, a spiesząc się do swojego domu nie zatrzymują się na głos tonącego.

Zaraz po stworzeniu ,,Combat'', o którym mówił, że celem tego pisma, jest budzić w ludziach złe sumienie w znaczeniu *mauvaise conscience,* uznano go za pierwszego dziennikarza Francji. Był równie świetnym dziennikarzem jak pisarzem, jak kiedyś footbolistą. Dlaczego ostatnio przestał się mieszać do jakichkolwiek polemik i nie odpowiadał na ataki skierowane przeciw niemu? Obojętność — przeciwnie. To był człowiek na wszystko boleśnie reagujący. Po ukazaniu się ,,Mandarynów'' Simone de Beauvoir, gdzie jego życie polityczne i intymne było przetransponowane, brutalnie podobne, i brutalnie zafałszowane, spytałem czy będzie na to reagował. Aż mu się twarz skurczyła: — *C'est trop bas.*

Algier. Ileż żalów nie jeden miał do Camusa, że milczał w sprawie Algieru. A przecie to Camus pierwszy pisał jeszcze przed wojną o nędzy Algieru, o krzywdach i konfliktach, o konieczności natychmiastowego zaradzenia, natychmiastowej zmiany warunków. To był jego kraj, jego matka żyła w Algierze. Tortury, ale i terror uliczny, były dla niego nie do zniesienia. Nie chciał robić bezpłodnych gestów, podpisywać bezpłodnych deklaracji. Czekał na chwilę, gdy będzie mógł przyczynić się do zerwania tego łańcucha ślepej nienawiści i wiedział, że zabijać można nie tylko kulą, że i słowo zabija. ,,Dlaczego zamilkłem — nie chciałem rozpalać nienawiści'' — mówi w Stokholmie. Dla człowieka który wie, że krzywda rodzi krzywdę, nienawiść rodzi nienawiść, że sprzeciwianie się złemu złem, stwarza łańcuch nowego zła, który trzeba przerwać inaczej, dla takiego człowieka, w miarę czasu, świadomość kompromisu widać na każdym kroku, każdy czyn, każda polemika stają się moralnie podejrzane.

Jakże tu nie myśleć o Tołstoju, chociaż stosunek Camusa do religii, do ciała, do sztuki, do szczęścia, był tak inny, czy nawet diametralnie przeciwny. Ale problem sumienia Camusa był tołstojowski i jego poczucie winy również. Jak można być stronnikiem niesprzeciwiania się złemu złem i żyć bezpiecznie pod ochroną wojska i policji i mieć konto w banku? Jakże mógł żyć Tołstoj, nawet gdy sam orał i ubierał się jak chłop? W rodzinnym majątku, w Jasnej Polanie, z żoną drapieżnie broniącą rodzinnych pieniędzy. Pamiętam opowiadania gości z Jasnej Polany: lato, obiad przed domem, Tołstoj — dobry starzec — jedzący kaszkę przy długim stole pełnym rodziny i gości. Na stole pyskiem do niego zwrócone wielkie nadziewane prosię. O parę kroków kort, gdzie synowie jego będą grać po obiedzie w tenisa.

,,Stara Matriona nie ma kożucha, mróz'' — notuje Tołstoj w dzienniku — a my *rozbirajem* Bethovena''. Przecie, jeżeli się

nie mylę, już w 1898 r., Tołstoj pisał do żony, że dom opuszcza. Domu nie opuścił bo żona biegła już do przerębla, żeby się utopić. Uciekł z domu po 12 latach, u progu śmierci. Umarł na małej stacji — Król Lear. „Dlaczego tylu was koło mnie się zebrało, jest tylu ludzi biedniejszych ode mnie" (1).

Zinaida Gippius, poetka rosyjska, żona Mereżkowskiego, opowiada jak razem z Mereżkowskim odwiedziła Tołstoja. Na pożegnanie Tołstoj powiedział jej *„prastitie"* zamiast *„praszczajtie"* — wybaczcie, zamiast żegnajcie. To był prawdopodobnie zwyczajny lapsus, ale wiemy, że i lapsusy coś znaczą. „Za co mam wam wybaczyć, Lwie Nikołajewiczu" — spytała Zinaida Gippius. Tołstoj zawahał się i odpowiedział: „że istnieję".

Czy ten Camus, którego zachowałem w mojej wdzięcznej pamięci, jest wymyślony przeze mnie? Nie znałem Camusa pełnego wesołości i radości o którym mówią i piszą jego przyjaciele. Choć nie spotkałem pisarza francuskiego bardziej gotowego pomóc, natychmiast, bez śladu gestu — miało się wrażenie że nie zapominał nigdy, że wszystko co robił dla drugich jest nikłe i nigdy nie może być wystarczające, że nędza ludzka, krzywda ludzka, potrzeby ludzkie właściwie nie pozwalają człowiekowi *odetchnąć*. A on chciał oddychać i być szczęśliwy.

Camus pierwszy zareagował na wypadki Poznańskie, potem na Budapeszt. On wystąpił z Unesco, by nie siedzieć z frankistami przy jednym stole, on się nie poddał presji Sartre'a i jego przyjaciół, by milczeć o obozach sowieckich, o terrorze sowieckim. Ilu przy tym ludziom pomógł, niezależnie od tego skąd do niego przychodzili. Ale szczęśliwy był w teatrze — w świecie fikcji. „Tylko w teatrze czuję się niewinny" — miał komuś powiedzieć.

Jeżeli chodzi o Algier, wiemy dzisiaj ile zrobił i ile robił nieustannie, by ratować Arabów skazanych na śmierć, by wszędzie gdzie to było możliwe przeważać swym wielkim nazwiskiem szalę, *umniejszać ból*. Walka z karą śmierci była jedną z jego obsesji. Jego przyjaciel, Jean Daniel, pisze w „Expressie" jak wychodząc od jakiegoś dostojnika, którego znów prosił o łaskę dla kogoś w Algierze — zemdlał. „To mi się zdarza" — powiedział. Najprościej był u granicy sił i zawsze, zawsze prosił o zupełną tajność, gdy tylko próbował komuś przyjść z pomocą.

Śmierć spotkała autora „Mitu Syzyfa" na równej drodze, w aucie, do którego jeszcze parę godzin przedtem nie zamierzał wsiadać bo miał bilet kolejowy w kieszeni. Spotkała go

(1) Te dwa cytaty Tołstoja z dalekiej pamięci, więc może nie całkiem ścisłe.

w chwili gdy wszystko co już napisał zdawało mu się nieistotne w porównaniu z tym co napisać zamierzał.

Myślę o słowach Ojca Paneloux z „Dżumy": „Tu — Bóg stawia nas u stóp muru".

Józef CZAPSKI

Nasz przyjaciel William J. Rose

W sierpniu br. minie 75 lat od dnia, kiedy na małej farmie w odległej i zimnej Manitobie przyszedł na świat człowiek, którego losy miały na zawsze związać z Polską, i który z czasem stał się najwybitniejszym znawcą spraw polskich w świecie anglosaskim. Były profesor języka i literatury polskiej na uniwersytecie londyńskim, autor kilkuset prac poświęconych problemom polskim, prof. Rose spędza obecnie lata swej emerytury w uroczym zakątku górskim Kolumbii Brytyjskiej, ciągle czynny, i stale niezachwianie wierny swoim długoletnim propolskim sympatiom. Ciesząc się powszechnym uznaniem w rodzinnej Kanadzie, czczony przez miejscową Polonię, wspominany nadal żywo na Śląsku zaolziańskim (1), William John Rose wydaje się dzisiaj niemal zapomnianą postacią w oczach młodej, a nawet średniej generacji Polaków, tak w kraju jak i na obczyźnie. Niniejszy szkic ma na celu przypomnieć szerszym kołom czytelników polskich, rozsianych po wszystkich kontynentach świata do których dochodzi *Kultura*, sympatyczną postać naszego kanadyjskiego przyjaciela z okazji jego tegorocznego jubileuszu. Nie odznaczony żadnym polskim medalem czy orderem, skromny i unikający rozgłosu, autor *The Rise of Polish Democracy* jest bez wątpienia najwytrwalszym ze współczesnych nam eksponentów sprawy polskiej na Zachodzie i najbardziej urzeczonym polskością Anglosasem. Nie trzeba być wielkim specjalistą w dziedzinie studiów nad literaturą w języku angielskim dotyczącą Polski, aby stwierdzić jak doniosły wpływ miały pisma uczonego kanadyjskiego na zasięg i treść tego co o nas wiedzą w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

---

(1) Nie tak dawno organ ewangelików polskich (*Strażnica Ewangeliczna* z 16-30 czerwca 1959) przyniósł artykuł o „przyjacielu z drugiej półkuli" wspominający z wdzięcznością jego pracę na Śląsku.

Ogólne studia przygotowawcze odbył W.J. Rose w *Wesley College* (dzisiaj *United College*) w Winnipegu, w latach 1902-1905. Celujący student, zdobył po raz pierwszy w dziejach swojej uczelni stypendium na wyjazd zagranicę i jako *Rhodes Scholar* trzy następne lata spędził w Oksfordzie, specjalizując się w językach klasycznych i historii starożytnej. Po powrocie do Kanady objął stanowisko wykładowcy w tym samym *Wesley College*, aby w 1912 r. wyjechać ponownie do Europy na dalsze uzupełniające studia. Pierwszy rok spędza w Lipsku, a na następny rok nauki zapisuję się na uniwersytet berliński. Tutaj w połowie roku zmienia nagle plany. Rezygnuje z dalszych studiów, zrzeka się profesury w *Wesley College* i przyjmuje stanowisko sekretarza centrali środkowo-europejskiej Światowej Federacji Studentów Chrześcijańskich z siedzibą w Pradze, dokąd przenosi się, wraz z małżonką na stałe z początkiem 1914 r.

Młody działacz społeczny międzynarodowej organizacji studentów protestanckich znał Śląsk Cieszyński i tamtejszych ewangelików polskich z krótkiej wizyty w Ligotce Kameralnej odbytej w r. 1913. Ówczesny Cieszyn, miasto wokół którego skupiała się niemal 100-tysięczna grupa Polaków wyznawców Kościoła ewangelicko-augsburskiego, stał się, dzięki kwalifikacjom światłych swych przewodników, aby wymienić tylko Michejdę i Kulisza, bardzo znany w zagranicznych ośrodkach protestanckich. Tu przebywał Edmund Chambers, późniejszy superintendent Kościoła metodystycznego w Polsce, wysłany z Winnipegu dla nauki języka polskiego (1909 r.); tutaj też przebywał przez rok brat naszego przyjaciela, późniejszy dr Arthur O. Rose, skierowany przez metodystów kanadyjskich w tym samym celu. W Ligotce Kameralnej w 1913 r. wspomniana Federacja Młodzieży Chrześcijańskiej nabyła willę, w której organizowała zjazdy młodzieży akademickiej z krajów Europy centralnej, konferencje działaczy oraz kursy wakacyjne. Z okazji takiego kursu odbywanego w lipcu 1914 r. małżeństwo Rose'ów znalazło się na Śląsku i tam zaskoczyła je wojna.

Lata spędzone w Ligotce Kameralnej wyzyskał Rose w pierwszym rzędzie dla nauki języka polskiego. Pracując wśród dobrego ludu śląskiego, Kanadyjczyk zżył się jak najściślej z polskim włościaństwem, poznał jego zwyczaje, tradycje, nabył dokładną znajomość warunków miejscowych i rozpoczął pilną lekturę książek poświęconych polskiej historii i literaturze. Już wtedy zaczął tłumaczyć z języka polskiego i pisywać po polsku. Późniejsze studia na uniwersytecie krakowskim i praca wśród ludności miejskiej dały mu okazję poznać także inne klasy polskiego społeczeństwa i wzbogaciły język lekturą pisarzy polskich XVIII w. Wszystko razem złożyło się na to, że William Rose, w odróżnieniu od innych cudzoziemców odwiedzających Polskę, nawet takich którzy kształcili się na polskich

uniwersytetach, miał możność zetknąć się z kulturą polską na wyjątkowo szerokiej płaszczyźnie. Znał polskich chłopów i ich zabobony tak dobrze jak nawyki najbłyskotliwszej inteligencji i przesądy naszej arystokracji. Swoje polskie słownictwo ukształtował on zarówno na lekturze Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza i Kasprowicza, jak i na gwarze podbeskidskiej, przysłowiach chłopskich i zbiorach kazań luterańskich. Ukochał szczerze swoich braci z Zaolzia, uległ atrakcji polskiego folkloru, przejął się polskimi dążeniami narodowymi, tak że kiedy w listopadzie 1918 r. Polska Rada Narodowa w Cieszynie zwróciła się do niego, aby korzystając z rozkładu upadającej Austrii wyjechał do Francji jako delegat polskiej ludności Śląska wyłożyć jej postulaty wobec zwycięskich Aliantów, nie zawahał się ani chwili i tej samej nocy (z 5-go na 6-go listopada), bez pożegnania się z żoną, wyruszył przez Austrię i Włochy do Paryża.

Polityczna, jeżeli nie dyplomatyczna, misja obywatela brytyjskiego działającego imieniem odradzającej się Polski, względnie jej mieszkańców, stanowi przedmiot pamiętników Williama Rose, które tylko w nielicznych fragmentach zostały opublikowane. W Paryżu, a potem w Londynie, delegat Polaków śląskich interweniował u Brytyjczyków i Amerykanów nie tylko w interesie swoich mocodawców, którzy domagali się, aby Zaolzie, z większością ludności polskiej, przyznane zostało Polsce, ale także o załatwienie innych palących potrzeb organizującego się gorączkowo państwa. Rozwinął przy tym szeroką akcję informacyjną, przedkładając delegatom zachodnim memoriały, dokumenty, mapy i statystyki dotyczące terytorium jakie winno przypaść Polsce, ludności polskiej i potrzeb materialnych kraju wyniszczonego czteroletnią wojną. Misja śląska Rose'a skończyła się niepowodzeniem, a on sam zakosztował pierwszych rozczarowań. Rozczarował go rozmiar ignorancji Brytyjczyków i Amerykanów w zakresie zagadnień Europy środkowej i wschodniej i brak u nich jakiejkolwiek wizji zdrowej rekonstrukcji tej części świata po upadku mocarstw rządzących się tutaj dotychczas wbrew życzeniom autochtonów. Boleśnie odczuł rozdźwięki panujące wśród samych Polaków, które spowodowały, że w pierwszym okresie negocjacyj paryskich ich kraj nie posiadał pełnego przedstawicielstwa do rozmów ze zwycięskimi aliantami. Wreszcie zachowanie się Czechów, którzy z pogwałceniem układu z 5-go listopada opanowali rejony Śląska posiadające przewagę ludności polskiej, do głębi oburzyło Kanadyjczyka, który dotychczas miał z Czechami jak najlepsze stosunki i cieszył się przyjaźnią ich przywódców, m.in. Masaryka i Benesza. Czesi obserwując pro-polską agitację Rose'a, który formalnie rzecz biorąc był tylko skromnym funkcjonariuszem międzynarodowej Y.M.C.A., zaprotestowali u władz tej organizacji przeciw politycznemu angażowaniu się Rose'a. W rezultacie Rose zobowiązał się wobec tych władz do niepodno-

szenia więcej w publicznych wystąpieniach sprawy Śląska zaolziańskiego i krzywdy wyrządzonej tamtejszym Polakom. Milczał na ten temat przez lat dwadzieścia, będąc głęboko przekonany, że ta krzywda zemści się kiedyś na młodej Czechosłowacji. Kiedy w 1938 r. doszło do odebrania Zaolzia przez Polskę, prof. Rose miał odwagę ogłosić w Londynie artykuł uznający w tym zdarzeniu, akt sprawiedliwości dziejowej, jakkolwiek przyznający, że okoliczności w jakich do tego doszło i moment jaki Polska wybrała dla swego rozrachunku z sąsiadem były najbardziej niefortunne i szkodliwe do dobrego imienia Polski.

Z Paryża powrócił W.J. Rose do Polski w lutym 1919 r., aby zdać sprawę ze swojej misji i połączyć się z żoną. Krótki pobyt w Warszawie, gdzie został przyjęty m.in. przez Naczelnika Państwa Piłsudskiego, poświęcił Kanadyjczyk na zapoznanie się z potrzebami stołecznych urządzeń opieki społecznej, szpitali, szkół, przytułków dla sierót i domów akademickich. Kiedy w marcu 1919 r. opuszczał Warszawę w drodze do Kanady, plan jego powrotu do Polski był już powzięty; miał tu szerokie pole do pracy jako przedstawiciel amerykańskich i angielskich organizacyj charytatywnych, których pomoc wydawała się niezbędnie potrzebna, jeżeli kraj miał co rychlej wydobyć się z powojennej nędzy, zniszczeń, chłodu i głodu.

Lata 1919-1926 spędzają oboje pp. Rose w Polsce, gdzie Kanadyjczyk zostaje delegatem międzynarodowej Y.M.C.A. i kierownikiem jej polskich oddziałów. Zabiega o pomoc zagraniczną, zwłaszcza amerykańską, współpracuje z misją Hoovera i międzynarodowym Czerwonym Krzyżem, zajmuje się transportem i rozdziałem tej pomocy, rozbudowuje sieć placówek Y.M.C.A. i kieruje pracami tej instytucji, zwracając szczególną uwagę na potrzeby młodzieży akademickiej. Nie zaniedbuje spraw kulturalnych, studiuje na uniwersytecie jagiellońskim, poznaje wybitnych polskich uczonych, którym ułatwia nawiązywanie kontaktów z angielskimi i amerykańskimi uniwersytatami i towarzystwami naukowymi.

Ewangelizujące założenia pracy społecznej Rose'a skierowane początkowo głównie na polski ośrodek protestancki na Śląsku Cieszyńskim, a potem poszerzone na wszystkie grupy wyznaniowe reprezentowane przez klientów polskiej Y.M.C.A., nigdy nie przeszkodziły naszemu przyjacielowi kanadyjskiemu podchodzić do polskich zagadnień wyznaniowych z pełną tolerancją i szacunkiem dla przekonań religijnych nie-protestantów. Bardzo szybko zrozumiał, jaką potęgą w stosunkach polskich są tradycje katolickie narodu, i wielokrotnie przestrzegał swych kolegów z różnych misyj protestanckich kierowanych do Polski ze Stanów Zjednoczonych, Anglii i Kanady, aby w swej pracy wśród Polaków unikali prób nawracania. Nie przestając nigdy brać udziału w życiu własnej grupy wyznaniowej (metodyści, dzisiaj *United Church of Canada*), William Rose potrafił po-

stępować w Polsce z takim taktem i liberalizmem, że zdobył sobie przyjaźń wybitnych katolików, a kierowanej przez siebie organizacji Y.M.C.A. dał podstawy nieskrępowanej podejrzliwością duchowieństwa katolickiego pracy dla dobra wszystkich potrzebujących, których ogromna większość rekrutowała się z ludności katolickiej. Z drugiej strony — doświadczenia ruchów protestanckich w pracy społecznej, ich praktyczność podchodzenia do potrzeb ludzkich, obchodząca się bez formalistyki i biurokracji, pomogły Rose'owi w organizacji polskiej obsługi Y.M.C.A. i nadaniu jej administracji prostoty i sprężystości dotychczas w Polsce nieznanych.

Tolerancja i bezstronność cechowały również pracę naukową Rose'a i jego akcję publicystyczną komentującą wydarzenia polskie na forum świata protestanckiego.

W r. 1926 doktoryzuje się u prof. Kota na podstawie pracy o reformach edukacyjnych Konarskiego. Jego dyssertacja, wydana w 1929 r. w Londynie (*Stanislas Konarski*) jest pierwszą większą pracą naukową Rose'a poświęconą Polsce. Dalsze ogłosił już po rezygnacji ze stanowiska w polskiej Y.M.C.A. i po wyjeździe z Polski, w ramach regularnej pracy uniwersyteckiej do której Rose powraca teraz na stałe, po trzynastoletniej przerwie. W r. 1927 obejmuje na kilka lat stanowisko profesora na wydziale socjologii w *Darmouth College* (Hanover, N.H.) w Stanach Zjednoczonych. Pobyt w Ameryce daje Rose'owi okazję do nawiązania ścisłych kontaktów z miejscową Polonią, z którą współpracuje zwłaszcza w jej poczynaniach oświatowych i w jej kontaktach z krajem. Przez rok (1929-1930) jest naczelnym redaktorem miesięcznika *Poland* wydawanego w Nowym Jorku. Pisuje wiele do amerykańskich, kanadyjskich i angielskich czasopism naukowych i gazet codziennych i koncentruje uwagę na odcinku stosunków polsko-niemieckich. W związku z tą pracą uzyskuje stypendium na 2-letni pobyt na Górnym Śląsku po obu stronach granicy (1932-1934) i w roku 1935 ogłasza kapitalne studium będące owocem tej podróży pt. *The Drama of Upper Silesia.*

W pięćdziesiątym roku swego życia profesor Rose ma już wyrobione w nauce nazwisko jako specjalista od zagadnień polskich. Otrzymuje zaproszenie uniwersytetu londyńskiego do objęcia wykładów języka i literatury polskiej w Szkole Nauk Slawistycznych tego uniwersytetu. Okres 15-tu lat, od 1935 do 1950, w którym William Rose jest profesorem, a potem dyrektorem londyńskiej Szkoły Slawistycznej i redaktorem wydawanej przez tę szkołę *Slavonic Review,* stanowi szczytowy okres naukowej kariery naszego przyjaciela. W latach tych publikuje swoją książkę o Polsce (*Poland*, Londyn, 1939) która wydana w popularnej serii „Penguin Books", staje się w Anglii najbardziej poczytnym kompendium wiedzy o naszym kraju. W r. 1944 ukazuje się jego *The Rise of Polish Democracy*

uważana często za najlepszy dokument wnikliwości autora w studiach nad polskim życiem politycznym i społecznym i za najlepszą interpretację ewolucji polskiej myśli politycznej dostępną w języku angielskim. Rose nie ogranicza się w Londynie do pracy wyłącznie naukowej i pedagogicznej. W licznych artykułach, listach do redakcyj gazet, recenzjach, i wywiadach prasowych stara się bronić sprawy polskiej i dobrego imienia polskiej państwowości na forum opinii zachodniej. Zadanie to staje się coraz trudniejsze w miarę jak wiadomości napływające z Warszawy przynoszą dane o zaostrzaniu się kursu politycznego polskiej pół-dyktatury, o nadużyciach administracji, ograniczaniu praw wolnościowych obywateli, o rosnącym antysemityzmie, niezadowoleniu mas i krętych drogach polskiej polityki zagranicznej. Nie robiąc nigdy kompromisu z własnym sumieniem, które chciałoby widzieć w Polsce kraj praworządności i dobrobytu, profesor Rose stara się tłumaczyć polskie niedociągnięcia naszym położeniem geo-politycznym, zaniedbaniami przeszłości oraz nieprzemyślanymi pociągnięciami mocarstw zachodnich. Podkreśla przy tym, że polska tysiącletnia kultura może szczycić się osiągnięciami, o których Zachód wie nie wiele, i że ten sam Zachód, potępiając wybryki polskiej niedojrzałości politycznej, toleruje niejednokrotnie znacznie gorsze i niebezpieczniejsze grzechy potężnych sąsiadów Polski. W oczach londyńskich liberałów, teoretyzujących pięknoduchów z *London School of Economics*, fabianistów i bardziej konserwatywnych komentatorów wydarzeń międzynarodowych nasz przyjaciel kanadyjski uzyskał opinię ,,niepoprawnego polonofila''. Być może, że ta opinia, sprowadzająca się do konkluzji, że wszystko co Rose pisze o Polsce jest bezkrytycznie pro-polskie, zaszkodziła skuteczności jego pracy informacyjnej; trudno jednak Polakowi, znającemu szlachetne pobudki działalności tego uczonego, oprzeć się wrażeniu podziwu i uznania za to niewdzięczne zadanie jakiego ten człowiek się podjął i jakie wykonywał zdawałoby się na przekór samym Polakom.

Klęska wrześniowa wstrząsnęła do głębi uczuciami oddanego sprawie polskiej Kanadyjczyka. Kiedy w jej wyniku na wyspach brytyjskich znalazł się rząd, wojsko i rzesze uchodźców, profesor Rose podjął się w Londynie roli ich gospodarza i opiekuna. Robił wszystko co było w jego mocy, aby pomóc Polakom, zwłaszcza pracownikom naukowym i młodzieży studiującej. Wprowadzał ich do brytyjskich ośrodków akademickich, patronował akcjom polsko-brytyjskiej współpracy, starał się uzyskiwać dla studentów stypendia, robiąc to wszystko w głębokiej wierze, że wrzesień 1939 r. był tylko przejściową porażką, i że zwycięstwo anty-niemieckiej koalicji przywróci Polsce nie tylko wolność, ale da zdrowsze warunki samodzielnego bytu. Kiedy po zakończeniu wojny, wczesną wiosną 1947 r. William Rose po raz ostatni odwiedził Polskę, przekonał się naocznie, że wojna przyniosła krajowi nie tylko materialną

ruinę, ale że politycznie i społecznie kraj znalazł się w kleszczach narzuconego mu systemu sowieckiego, uniemożliwiającego narodowi wyrażenie swobodnej opinii. Rezultatem tej krótkiej podróży była ostatnia książka Rose'a poświęcona Polsce, wydana w Londynie w 1948 r. pod tytułem *Poland — Old and New.*

W roku 1950, z osiągnięciem wieku emerytury na uniwersytecie londyńskim, prof. Rose opuszcza Europę i wraca do rodzinnej Kanady. Nie jest to jednak okres zasłużonego wypoczynku dla 65-cioletniego uczonego. Natychmiast po powrocie zostaje on zaangażowany przez prowincjonalny uniwersytet Kolumbii Brytyjskiej do kierowania jego działem slawistycznym. Kanada ma teraz możność okazania uznania dla wieloletniej pracy uczonego prowadzonej przeważnie poza granicami kraju. Profesor Rose zostaje honorowym prezesem Stowarzyszenia Slawistów Kanadyjskich, uniwersytet w Vancouver nadaje mu dyplom doktora *honoris causa,* a *Royal Society of Canada,* będąca odpowiednikiem akademii umiejętności, powołuje go na swego członka. Nasz przyjaciel wykłada teraz nie tylko na uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej, ale także, jako zapraszany wykładowca, wraca okresowo do swojej Alma Mater w Winnipegu, gdzie ma możność odnowienia starych znajomości w gronie miejscowej Polonii. Służy tej Polonii odczytami, wygłaszanymi przy różnych okazjach. Sprawy polskie ciągle leżą na sercu kanadyjskiego profesora, i wraca do nich w swych pismach, chociaż już nie tak często jak dawniej. Wiek robi swoje, i produkcja naukowa Williama Rose'a ulega w Kanadzie osłabieniu.

Wycofując się z dojściem do 70-go roku życia w zacisze naramackiego zakątka, William Rose nie utracił kontaktu z uniwersytetem, który co pewien czas korzysta z jego usług, ani nie przestał uważnie śledzić losów sprawy polskiej. W Naramacie obejmuje kierownictwo kursów dla społecznych i oświatowych pracowników kościoła *United Church of Canada.* Prowadzi ożywioną korespondencję ze swoimi polskimi przyjaciółmi i z licznymi uczniami, z których niektórzy zajmują dziś wybitne stanowiska w szkołach slawistycznych różnych krajów. Szczególną uwagę poświęca studiom slawistycznym w Kanadzie, ciesząc się każdym sukcesem polskich naukowców. Na przełomie 1958 i 1959 r. odwiedza jeszcze raz Anglię z cyklem kilkudziesięciu odczytów poświęconych tym razem już nie Polsce tylko Kanadzie. Przy tej okazji Rose spotkał kilku polskich uczonych przebywających na emigracji. Los ich, zwłaszcza tych w podeszłym wieku, leży mu szczególnie na sercu.

Bibliografia prac Williama Rose'a liczy 320 pozycyj, z których ogromna większość poświęcona jest Polsce, albo omawia zagadnienia z Polską związane. Nie jest to jeszcze pełne wyliczenie dorobku naukowego i publicystycznego uczonego

kanadyjskiego (2), który obok z górą setki recenzyj książek o Polsce, licznych artykułów, kilku tłumaczeń z języka polskiego, kilkunastu rozpraw o Polsce, obejmuje przede wszystkim wspomniane wyżej książki, będące trwałym dorobkiem w dziale wiedzy o naszym kraju. Nie mamy oczywiście możliwości zanalizowania na tym miejscu wartości badawczej tych prac, ani omówienia wkładu do wiedzy o Polsce reprezentowanego przez inne pisma Williama Rose'a. Oceniając bardzo ogólnie całość tego co ten uczony ogłosił w zakresie problemów polskich, wydaje się nam, że głównym walorem jego pism jest ich rola interpretatywna w stosunku do rzeczywistości polskiej przedstawionej i skomentowanej dla użytku świata mówiącego językiem angielskim. William Rose lepiej niż kto inny pośród cudzoziemców wżył się w dzieje naszego kraju, w jego kulturę i społeczno-polityczne problemy, i lepiej niż kto inny potrafił rzeczywistość polską czytelnikom obcym wytłumaczyć. Podchodził on do tej pracy wyjątkowo dobrze przygotowany, starając się właściwości naszej kultury zawsze umiejscawiać historycznie, i stale podkreślając specyficzność rozwoju tej kultury, uwarunkowanego dziejami Europy wschodniej i przeszłością naszej państwowości. Nic takim założeniom pracy nie było bardziej obce i nie na miejscu jak wysuwanie w stosunku do przedmiotu badań wzorów przeniesionych z innych warunków, uformowanych w innych klimatach i odpowiadających teoriom, które mogły być najpiękniejsze i najidealniejsze, ale na gruncie polskim zawodziły, bo z gruntu tego nie wyrosły, albo nie miały warunków zżyć się z nim przez czas dłuższy. W takiej interpretacji braki polskie znajdywały wytłumaczenie, a z drugiej strony nasze osiągnięcia stawały się wyraźniejsze, odbijając od ogólnego tła warunków mniej korzystnych niż te jakimi los obdarzył inne zachodnie narody.

Uczciwy wysiłek ponad czterdziestu lat pracy Williama Johna Rose'a dla Polski i jego wierne oddanie sprawom naszego narodu uprawnia dzisiaj uczonego kanadyjskiego do czci i wdzięczności ze strony wszystkich Polaków.

Wiktor TUREK

(2) Bibliografia nie obejmuje artykułów ogłoszonych w prasie codziennej. Pełne wyliczenie innych artykułów, ogłaszanych w czterech krajach i w dwu językach, było też niemożliwe z uwagi na brak jakiegokolwiek rejestru prac ogłoszonych, którego W. Rose nigdy nie prowadził.

Pośmiertna nagroda

„Na posiedzeniu w dniu 21 lutego br., jury w składzie — dr J. Dąbrowski, dr H. Grosman, dr L. Koczy, inż. Wł. Kot i prof. Stan. Seliga postanowiła przyznać pośmiertnie nagrodę w wys. £ 50, ufundowaną przez Towarzystwo Społeczno-Oświatowe im. gen. Wł. Sikorskiego w Glasgowie, śp. Stanisławowi Westfalowi za „Rzecz o polszczyźnie", oraz całokształt działalności literackiej i popularyzacyjnej. Nagroda będzie przekazana wdowie po śp. Zmarłym.

Nagrody literackie

Jury Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w składzie: Wiesław Wohnout — przewodniczący oraz Jan Bielatowicz, Ferdynand Goetel, Juliusz Sakowski, Tymon Terlecki, Ignacy Wieniewski i Stefania Zahorska — członkowie, odbyło w dniu 11 marca 1960 r. posiedzenie i przyznało następujące nagrody literackie za rok ubiegły:

1 *Nagrodę Związku Pisarzy* w wysokości £. 50, ufundowaną przez „Ognisko Polskie" w Londynie, za całokształt pracy pisarskiej *Marianowi Kukielowi.*

Z ramienia fundatora nagrody uczestniczył w jury p. Krystyn Ostrowski.

2. *Nagrodę im. Herminii Naglerowej* w wysokości £ 50, za twórczość pisarską na emigracji *Marii Danilewiczowej.*

3. *Nagrodę za twórczość eseistyczną i krytyczną* w wysokości £ 30, ufundowaną przez p. Tadeusza Zabłockiego, *Stanisławowi Vincenzowi.*

4. *Nagrodę za twórczość w dziedzinie felietonu literackiego* w wysokości £ 30, ufundowaną również przez p. Tadeusza Zabłockiego, *Karolowi Zbyszewskiemu.*

W jury nagród wymienionych w punkcie 3 i 4 uczestniczył p. T. Zabłocki.

5. *Nagrodę AK* w wysokości 100 dol., ufundowaną przez Koło AK w Detroit, za prace których tematem jest walka podziemna w Kraju w latach wojny — *Kazimierzowi Irankowi-Osmeckiemu.*

6. *Nagrodę młodych im. Stanisława Strońskiego,* ufundowaną przez Stowarzyszenie Lotników Polskich w Wielkiej Brytanii w wysokości £ 25 — *Bogdanowi Czaykowskiemu.*

W jury nagrody młodych uczestniczył z ramienia fundatora kpt. Stopa.

Ostatnie dni Wielkiego Księstwa

Książkę Michała K. Pawlikowskiego pt. ,,Dzieciństwo i Młodość Tadeusza Irteńskiego'' (*) (pierwotny tytuł: ,,Bajka''), uważam za najlepszą książkę napisaną i wydaną na emigracji. Mówię to bez obawy posądzenia o przesadę; z głębokiego przeświadczenia. Książka dotyczy końcowej fazy pewnej epoki dziejowej. Zarazem ostatnich lat mojej ojczyzny, która przestała istnieć w wyniku pierwszej wojny światowej.

Wielkie Księstwo Litewskie, formalnie zlikwidowane uchwałą Konstytucji 3-go maja 1791, w całości włączone do imperium rosyjskiego w r. 1795 pod nazwą ,,Siewiero-Zapadnowo Kraja'', faktycznie zakończyło swą egzystencję geograficzną dopiero w roku 1914. (Ściślej, z chwilą przecięcia go okopami ,,linii Hindenburga'', jesienią r. 1915). Od tego czasu nie wróciło do dawnej całości, na którą składały się w podziale administracyjnym, gubernie: wileńska, kowieńska, grodzieńska, mińska, witebska i mohylowska (1). Zostało rozdarte na litewską, polską

(*) Str. 552. T. VI Londyńskiej Biblioteki Literackiej. Wyd.. B. Świderski, Londyn, 1959, cena 35 sh. lub $ 5,—.

(1) Nie wiem, czy jest dziś dużo osób, które znały, lub pamiętają ten historyczny szczegół, że wschodnia granica gubernii Mohylowskiej i Witebskiej przed rokiem 1914, wytknięta była po linii rozejmu Andruszowskiego z r. 1667, oraz poprawki na korzyść Litwy z r. 1678. (A więc wzdłuż granicy Rzeczypospolitej sprzed pierwszego rozbioru 1772); granica oddzielająca gubernię kowieńską od Kurlandii i Prus Wschodnich, przebiegała dokładnie po linii traktatu pokojowego, zawartego nad jeziorem Melneńskim pomiędzy Litwą i Zakonem w r. 1422; południowa granica gubernii Grodzieńskiej i Mińskiej, oddzielająca je od Wołyńskiej i Kijowskiej, przebiegała po starej linii granicznej, która wytyczona została podczas Unii Lubelskiej w 1569, jako granica dzieląca W. Księstwo Litewskie od Korony Polskiej. Jedynie zachodnia granica gubernii grodzieńskiej była wynikiem późniejszych modyfikacji; tzn. rozszerzała granice na linię sprzed Unii Lubelskiej w tym miejscu, przyjętą później na Kongresie Wiedeńskim 1815. — Zresztą granica z 1772, zachowana została również w profilu wschodnich i południowych granic gubernii Kijowskiej i Podolskiej.

i białoruską części, później bolszewicką. To wielonarodowe Księstwo nie pozostawiło też historiografii *własnej*. Powstały po nim, i o nim, historie: narodowo-polska, narodowo-litewska, narodowo-białoruska, narodowo-rosyjska. Albowiem W. Ks. Litewskie nie pozostawiło sukcesorów, a wyłącznie skłóconych ze sobą pretendentów do sukcesji. I to przeważnie nie do całości, a poszczególnych jego części.

Autor książki, Michał K. Pawlikowski, należał do jednej z grup pretendujących, formalnie posiadającej autentyczny tytuł do całości, faktycznie legitymującej się tylko patentem polskim. Nie ze względu na język i kulturę, które szlachta litewska przejęła, co w danym wypadku nie jest rozstrzygające, lecz wskutek: nie dośrodkowego, a odśrodkowego nastawienia emocjonalnego. Nastawienia, które wykluczało całość samoistną, a widziało ją tylko jako część całości — Polski. Myli się więc autor sądząc, że zabarwiwszy swą opowieść posmakiem regionalnym, wyzwala się przez to z grupy historycznej narodowo-polskiej. Jest z nią całkowicie związany, stanowiąc jedynie pewne, drobne odchylenie w jej granicach. Słusznie Janusz Kowalewski, oczarowany książką Pawlikowskiego, wskazuje w recenzji zamieszczonej w ,,Ostatnich Wiadomościach'' na jej powiązania tradycyjne. Słusznie dostrzega w niej jakby dalszy ciąg (raczej zakończenie) ,,Pana Tadeusza''. Nie uwzględnia jednak, że Mickiewicz pisząc swego ,,Tadeusza'', był w zgodzie z ówczesnym poglądem całego kraju; natomiast Pawlikowski pisząc ,,Tadeusza Irteńskiego'' jest w zgodzie już zaledwie z nikłym odsetkiem ludności własnego kraju. Ten stan faktyczny wypada stwierdzić obiektywnie, mimo szczerej abominacji jaką można odczuwać do rozdrapujących kraj — nacjonalizmów.

Tyle, jeżeli chodzi o kąt ściśle narodowy, który reprezentuje książka Pawlikowskiego. Stanowi on jednak zarazem odbicie historycznej prawdy, gdyż pod tym kątem właśnie, a nie innym, patrzyła na rzecz szlachta litewska w końcu XIX wieku. Naginanie tej prawdy do późniejszych koncepcji politycznych, odebrałoby książce wartość autentycznego dokumentu, jaki obok innych wartości posiada.

,,Dzieciństwo i Młodość Tadeusza Irteńskiego'', która ma być powieścią nie jest nią, a będąc wspomnieniem jest czymś o wiele więcej, zakwalifikować trudno. Prototypy w rodzaju Tołstoja: ,,Dietstwo, otroczestwo i junost'', czy, powiedzmy: ,,Wieś'' — ,,Miasto mojej matki'' Bandrowskiego, czy ,,Pamiętniki'' Stempowskiego, czy Fedora Stepuna: ,,Bywszeje i niesbywszejesia'', czy Pasternaka: ,,Awtobiograficzeskij oczerk'', czy inne tytuły niezliczonej literatury pamiętnikarskiej, mogą niewątpliwie nasuwać pewne analogie. Obawiam się, że w dzisiejszej tendencji do ścisłej klasyfikacji, część czytelników zechce książkę Pawlikowskiego do tej kategorii zaliczyć. Moim zdaniem niesłusznie. Gdyż przedmiotem jej nie

jest historia, stanowiąca zaledwie tło; nie są przeżycia jednej osoby, a dzieje wielu osób; nie chodzi w niej też o przyczynkowe poznanie pewnych znakomitości. Chodzi raczej o przyczynek do odtworzenia pewnej prawdy zarówno w geografii, psychologii i czasie, czyli o to, czego w gruncie rzeczy szukamy w każdej dobrej książce. Jest to swojego rodzaju epos. Zresztą, czy to nie wszystko jedno! Niechby nawet książka ta nie podpadała pod żadną ze znanych klasyfikacji, czy przez to umniejsza swą wartość? Kto wie, czy jej raczej nie zwiększa, w ten sposób.



Akcja książki Pawlikowskiego zaczyna się u schyłku ubiegłego stulecia, odbywa głównie w Mińszczyźnie i samym Mińsku, z odskokami do Warszawy, Petersburga; zahacza o Wilno. Kończy się wraz z istotnym końcem XIX wieku, to znaczy z rokiem 1914.

Nie istnieje zawód literata. Nikt nie może być lekarzem, mechanikiem, lotnikiem bez uprzedniego opanowania fachu. Literatem może być każdy. Istnieje natomiast pewna kasta uprawiająca literaturę, która jest innego zdania. Ażeby uchodzić w jej oczach za literata ,,poważnego'', trzeba posiąść ,,Sztukę''. Polega ona na swoistej mieszance stylu z erudycją. Taka przeplatanka nie jest w gruncie trudna do opanowania, ale wymaga pewnej wprawy stylistycznej. Pod szlifem stylu ukryć można następnie najbardziej banalne myśli; ale za to nie wypadną one ani banalnie ani naiwnie. Natomiast to co Pawlikowski pisze np. o futuryzmie, wypada ,,naiwnie''. Nie będę się chwalił, ale za odpowiednim wynagrodzeniem za czas stracony podjąłbym się, nie zmieniając ani na jotę jednej myśli Pawlikowskiego, spreparować odnośny ustęp na patentowy ,,poziom''. Dlaczego panuje taka moda, diabli wiedzą. Ale panuje. Nie wymieniając niektórych naszych pisarzy po nazwisku, często zadaję sobie pytanie: Czemu człowiek nie pisze jak człowiek, tylko jak Gombrowicz!''.

Pawlikowski do tej klasy nie należy. On pisze zupełnie prosto. Np. o wieczorze zapadającym na wsi:

,,...podziwiano zachód słońca. Gdy zachód był szczególnie purpurowy, zawsze znalazł się ktoś, kto zauważył: ,,Jakie cudne kolory! A gdyby ktoś namalował, to by powiedziano, że kolory są nienaturalne''. Uwaga spotykała się z ogólną aprobatą, po czym towarzystwo wracało do domu na kolację, która w niektórych dworach nazywała się jeszcze wieczerzą''.

Albo o powrocie końmi do domu:

,,...Nie ceniono uroków ani rytmicznego truchtu koni po aksamitnej nawierzchni, ani popasów z twardą kanapą i kurczętami na zimno rozwijanymi z zatłuszczonego papieru, ani zapachu potu końskiego na krótkich

postojach w lesie, ani powiewu z obnażonych ugorów niosącego woń nawozu. I nie ceniono — ze zbrodniczą pogardą dla ostatnich darów odchodzącej epoki — błogosławieństwa podróży nieśpiesznej...

Znów lasy, trakt wysadzany brzozami, nieliczne wioski pachnące chlebem razowym i błotem. Ale przede wszystkim lasy, lasy, lasy... Słońce chyli się ku zachodowi... Dyskretny turkot bryczki usypia...".

◆

Minęło. Osobiście, zahaczyłem życiem tylko o drobny ułamek minionej epoki. Ale jeszcze zdążyłem ssać mamkę noszącą kokosznik na głowie w Petersburgu, i otrzymać metrykę ,,syna potomstwiennych dworjan wilenskoj gubernii"... Ba, nawet dotrzeć do trzeciej gimnazjalnej. Prawda! — jeszcze obtłukiwać się na siodle w konnicy, złożonej do połowy z kubańskich kozaków, w walce z bolszewikami. Chcieliśmy, mówiąc stylem ,,krótkiego kursu KP": cofnąć koło historii wstecz. Mimo tak młodego wieku, Bóg mi świadkiem, chciałem szczerze. Znałem też wiele osób, które Pawlikowski cytuje z imienia i nazwiska. Albowiem promienie zachodzącej epoki, choć już z ukosa i kładąc długie cienie, przecież padały jeszcze, ostatnie, to na rżysko jakieś przywioskowe, to wzdłuż kolein nieszosowanej drogi; na zatłuszczony frak starego kelnera; barwiły jeszcze wrzosowiska po horyzont, i korę niezrąbanych sosen, gdy już umiałem dobrze trzymać lejce, a kabłąk duhy kołysał się na tle wieczornego pożaru, zwiastującego koniec tamtej ziemi.

Minęło. Gdyby mnie dziś zapytano, czy pragnąłbym wrócić do owej epoki? — odpowiedziałbym bez zająknienia: z całego serca i duszy! — Oczywiście, nie trzeba być psychologiem, żeby się znać na źródłach nostalgii do terenu dzieciństwa, albo do ,,starych, dobrych czasów", u wszystkich ludzi wszystkich epok. Normalnie rzecz biorąc, nie można żadnej z nich idealizować, bo wiadomo, że idealnej nie było i nie będzie. Nigdy. Można tylko zestawiać post factum. Najbardziej trafnym zestawieniem tego rodzaju wydaje mi się przytoczone przez Fedora Stepuna: ,,wiek XIX był wiekiem nieudanego dobra, a XX-ty: wyjątkowo udanego zła".

Pawlikowski w swej książce wyraźnie usiłuje otrząsnąć się z idealizacji. Posuwa obiektywizm do granic możliwie dostępnych z dzisiejszej perspektywy. Ponieważ w gruncie rzeczy, na świecie tylko prawda jest ciekawa, więc tworzy ze swej książki rzecz poza wszystkim, niezmiernie ciekawą. Nawet tam gdzie sądy autora budzą niejakie zastrzeżenia, prawdę ich ratuje najczęściej ,,Tadeusz Irteński", boć jego to dzieciństwo i młodość opowiada książka. A jako recenzent, mogę być zarazem świadkiem koronnym, że właśnie takie były sądy Tadeuszów Irteńskich tamtych czasów.

Prawda życia, zaklęta w książce Pawlikowskiego należy z gatunku do najwyższej klasy, tzn. takiej, która pozwala czytelnikowi na wysnuwanie własnych wniosków, niezależnie od

wniosków i nawet wbrew intencji autora. Chciałbym właśnie z tego pozwolenia skorzystać.

*

Psychologicznie, książka Pawlikowskiego jest głęboko ludzka. Postacie są prawdziwe, nie tylko jak się rzekło, z imienia-nazwiska, ale z działania. Autor słusznie na ten autentyzm zdaje się kłaść nacisk, i na przestrzeni 550 stronnic nie przedstawia, dosłownie, ani jednej osoby wyciętej z papieru. A osób jest masa. Czym się one odznaczają *en bloc?* Pawlikowski, cytując zabawne, a niekiedy anegdotyczne odchylenia, twierdzi że indywidualizmem, a nawet oryginalnością. Mnie natomiast, rzuca się w oczy wielka ich jednakowość. Naturalnie abstrahując od wyjątków.

Wyłazi na wierzch odwieczna konstatacja, że ludzie w gruncie zmieniają się minimalnie. Prawdopodobnie — w skali biologicznej — tacy sami byli w Egipcie Faraonów, a cóż dopiero przed i po roku 14-tym. Zmieniają się tylko tworzone przez nich samych umowne ,,czasy'', tzn. obyczaje, ustanowione pod mniej lub więcej przypadkowym wpływem, poglądy; przeistaczają w usankcjonowane systemy i epoki. Większość ludzi zapomina o innej i żyje w — danej. Jest ona jak moda, kiedy to niepodobieństwem wydaje się nie włożyć raz żabotu i krynoliny, a kiedy indziej długich spodni i obcisłej spódnicy. Do głowy nie przyjdzie. Tak jak w głowie większości nie mieściły się wtedy niektóre prawa życia, które zaczęły obowiązywać po pierwszej wojnie światowej.

Ale ludzie?!... Byli ci sami co dziś. Czyż w końcu nie oni zrobili bolszewizm, faszyzm, hitleryzm?

Jeżeli zaś chodzi o szlachtę polską, czy w danym wypadku litewską, spolonizowaną, wyrosłą z tradycyjnej oligarchii (nie z żadnej tam ,,demokracji'', jak to staramy się wmówić Europie!), to trafnie zauważa w swej ,,Polnische Tragödie'' Harald Laeuen, że wpłynęła na wytworzenie nie typu indywidualnego, a typu masowego. Bardziej niż w absolutystycznej Europie. Do skolektywizowanego XX wieku weszliśmy krzepciej skolektywizowani niż inne narody. A nasze narzekania na ,,indywidualność'', ,,niezgodę'' i ,,warcholstwo'', uważam za czysty bluff! Pretekst do ukrycia pod nim innych niedomagań i innych wad, z którymi mniej jest do twarzy.

I oto, czytając Pawlikowskiego i zestawiając z własną pamięcią, trudno się powstrzymać od wykrzykniku: Boże, jakże byliśmy wszyscy podobni! — Od Dniepru po Połągę padały te same słowa, używano tych samych sloganów, wisiały w stołowym te same reprodukcje, ustawiano tak samo meble w salonie, wkuwano te same prawdy i nieprawdy, reagowano identycznie na wypadki dziejowe; nad Berezyną i nad Nieważą przezywano psa: ,,Dunaj'', albo ,,Zagraj'', i nawet na Rivierę

jeżdżono utartym „polskim szlakiem" z obowiązkowym, dlaczegoś koniecznie w powrotnej tylko drodze, zatrzymaniem w Mediolanie, Padwie, Wenecji.

Ludzie byli ci sami. Moja ciotka przyjeżdża (bywało) na święta z Petersburga i pyta: „Ach, czytałeś już, kochanieńki, „Ogniem i Mieczem"? No i co, nie płakałeś nad biednym Podbipiętą, jak zginął pod Zbarażem? Bo ja płakałem całą noc". Dziś myślę, że gdyby wtedy zażartować (było): a czy nie żal cioci tych dziesiątków Tatarów, których Longinus usiekł swym Zerwikapturem przed śmiercią? Nie bierze ciocia pod uwagę, że Podbipięta był bądź co bądź kawalerem i mało tam komu, po wojnie, było za nim płakać; a wieleż dzieci osierocili Tatarzy i wiele żon ich opłakiwało, tym bardziej, że mieli ich zapewne po kilka! — to ani jako żart, ani refleksja, ani inny rodzaj zastanowienia do serca ciotki by nie trafiły. Po prostu nie zrozumiałaby z tego ani jednego słowa. I mogli sobie Turcy wyrzynać Ormian, zawsze bywali wonczas „dobrzy", jako polityczny adwersarz Rosji; tak samo jak dziś każdy Niemiec jest „zły", bo nie protestował przeciw wyżynaniu przez Hitlera Polaków. I: „Cieszyli się Polacy, gdy zamordowano Stołypina, bo był polakożercą", jak zgodnie z prawdą notuje Pawlikowski, chociaż Stołypin swą mądrą reformą rolną, gdyby dane mu było doprowadzić ją do końca, kto wie, zbawiłby może i Rosję i świat cały przed widmem bolszewizmu... Ten wypięty patriotyzm, w swoistej symbiozie z tzw. wówczas „pozytywizmem", ulepiał tych samych ludzi, choć z jakże odmiennej gliny czasu!

Czyż nie ten sam Wańkowicz, o którego rodzinnym klanie tak dużo jest w książce Pawlikowskiego, zbija dziś pieniądze po komunistycznych redakcjach? Czyż nie z tych samych synów szlacheckich, rekrutuje się dziś co najmniej połowa komunistycznej agentury PAXu? Z tych samych. Ale gdyby wonczas przewidzieć można było oskarżenie równe z ciężaru gatunkowego i rzec: „Wiesz pan, kim syn pański będzie w przyszłości?!"... To by i starzy Wańkowicze i ojcowie dzisiejszych „paxistów", w 24 godziny przysłali sekundantów.

Ech, bo epoka była inna.

Osobiście, w tym niedostatecznie podkreślonym rozgraniczeniu pomiędzy „duchem czasu", a „ciałem" ludzi tego czasu, dostrzegam pewne psychologiczne niedociągnięcie w książce Pawlikowskiego.

◆

Nie można polemizować z chrześcijaninem, ale też i z komunistami, gdyż ich argumenty opierają się nie na oczywistości, a na wierze. Tak samo nie można polemizować z twórcami abstrakcyjnego malarstwa, o ile szczerze wierzą, że kobieta o czterech piersiach z dziesiątkiem sutek jest autentyczną sztu-

ką, a z dwoma piersiami jest kiczem. Zresztą z każdym innym rodzajem abstrakcji polemika jest utrudniona. Tak na przykład ze smakiem i gustem redaktora Grydzewskiego, który przerabia cudzy artykuł nie tylko z formy, ale i z treści, wierząc że go poprawia. Nawiasem, to było przyczyną, dla której wyjątki z książki Pawlikowskiego, drukowane w ,,Wiadomościach'', przerzucałem tylko przelotnie, nie będąc pewien ile znajdę w nich autora, a ile redaktora; podobnie jak nie czytam literatury tzw. ,,krajowej'', w której twórczość autorska wydaje się nazbyt pomieszana z dyrektorstwem partii. Dopiero po przeczytaniu ,,Dzieciństwo i Młodość Tadeusza Irteńskiego'' w doskonałym wydaniu książkowym, jednym tchem, od deski do deski, odczuwam nieprzepartą chęć polemiki, jak to bywa w zetknięciu z człowiekiem głęboko inteligentnym, z którym się rozmawia o rzeczach realnych i prawdziwych.

Powiedziałbym tedy: Drogi Michale, wszystko to prawda co piszesz i wszystko to tak było. Ale czy dziś dużo ludzi, poza nami, o tym wie? Tymczasem wyrastają pokolenia, które roku 1914 nie oglądały nawet w niemowlęctwie. Dlatego trzeba im pewne rzeczy od podstaw wyjaśnić. Bo jakże to: znachodziły się w każdym domu pocztówki patriotyczne, przedstawiające Polskę w postaci dziewicy skutej kajdanami? Znachodziły się. A czy chciałeś jednocześnie nazwać opowieść o tamtych czasach ,,bajką''? Chciałeś. Jak tu więc, pozorny paradoks tego skojarzenia uprzystępnić większości czytelników polskich? — Że nie było tak strasznie pod względem *ilościowym* jak dziś, tego się prawie każdy domyśla. Ale w Twojej książce za skąpo uwypuklona jest, a bywa nawet trochę na bakier zinterpretowana: istotna, *jakościowa* inność tej epoki.

Za wstęp do ilustracji tej ,,inności'', pozwolę sobie ponownie zacytować Fedora Stepuna z 276 stronicy jego ,,Bywszeje i niesbywszejesia'':

,,Jakaż ogromna różnica pomiędzy caryzmem i bolszewizmem... Despotyzm państwowy straszny jest nie tyle w jego politycznych *zakazach*, ile w jego kulturalno-politycznych *nakazach*, w jego pomysłach stworzenia nowego człowieka i nowego człowieczeństwa. Przy całym swoim despotyzmie, Rosja carska nikogo duchowo nie zamierzała wychowywać, i w dziedzinie duchowo-kulturalnej nic nikomu nie przykazywała. Byłaby to zresztą rola wykraczająca poza jej możliwości. Poszczególne anegdoty w niczym nie zmieniają zasadniczego faktu''.

Niewątpliwie różnica pomiędzy: tylko-zakazem, a: powszechnym nakazem, stanowi różnicę najbardziej istotną pomiędzy wówczas i dziś. Zakaz dotyczył wyraźnie publicznej działalności politycznej. A poza tym: rób co chcesz!

A teraz dalej: Rosja carska była państwem stanowym. Nie tyle państwem niesprawiedliwości społecznej — (bo w przeliczeniu na dzisiejsze czasy, łatwiej w niej było nieraz o sprawiedliwość, niż w późniejszych demokracjach) — ile wielkiej

nierówności społecznej. Dzieliła się wewnątrz nie na narody, a na warstwy społeczne. W ten sposób Polak, ale szlachcic, miał w niej większe prawa od Rosjanina, ale chłopa, mieszczanina, czy kupca. To jako reguła, pomijając wyjątki. Niedopowiedziane przez autora źródło ,,bajkowości'' życia Tadeuszów Irteńskich, mógł też stanowić fakt, że właściwie oni to byli panami całą gębą u siebie w kraju, a nie urzędnik rosyjski. Oni rozjeżdżali poszóstnym powozem, gdy urzędnik trząsł się urzędową furmanką. Oni wchodzili wychodzili z gabinetu gubernatora, gdy urzędniczyna czekał w przedpokoju. Oni popijali starki we własnym domu, gdy nasłanemu z Rosji gorodowemu, co najwyżej przez pokojówkę raczono wysłać kieliszek monopolki do kuchni; bo do ,,paradnych drzwi'' nawet i z powinszowaniem świątecznym nie ośmielił się dzwonić. Wystarczy przejrzeć rocznik nominacji oficerskich przed rokiem 1914, ażeby się przekonać, że roi się od szlacheckich nazwisk polskich, począwszy od Korpusu Paziów, w pułkach kawalergardów, kirasjerów gwardii, huzarów i innej gwardyjskiej konnicy (za wyjątkiem, czywiście, ,,grodzieńskich huzarów'', gdzie dopuszczani byli synowie rosyjskich kupców), a odsetek ich gwałtownie maleje w piechocie zwykłej armii, gdzie miejsca zarezerwowano dla Popowych, Pietrowych, Iwanowych...

To jest naturalnie tylko lapidarny skrót stanu faktycznego. Ale brak podkreślenia u Pawlikowskiego tego stanu, tam wszędzie gdzie wspomina o dyskryminacji, czy prześladowaniach Polaków przez Rosjan, może czytelnika dzisiejszego, *per analogiam* do prześladowań XX wieku, wprowadzić w błąd. Gdyż pojęcie ,,prześladowania'' łączy się automatycznie niejako, z obrazem — losu. Tymczasem był to los klasy uprzywilejowanej, jeżeli się zważy, że zakazaną akcję uprawiała wyłącznie inteligencja polska, a w XIX wieku rekrutowała się ona jeszcze w 80 % ze szlachty. W rzeczywistości zatem obraz był taki, że trzy-czwarte narodu rosyjskiego, de facto pozbawione praw ,,dworjanskich'', raczej by się chętnie zamieniło swym losem na los — ,,prześladowanych'' (2).

Rozumiem, że w dzisiejszych, demokratycznych czasach, jest trochę nieporęcznie wykładać na stół te karty przeszłości. Tym niemniej, dla jej pełnego zrozumienia, konieczne. Gdyż w przeciwnym wypadku, jak się rzekło, nasuwają się fałszywe analogie. Służba w cesarskich kawalergardach nie była tym samym co służba w dzisiejszych ,,Kierunkach'', czy ,,Słowie Powszechnym'', i nie kolidowała z pocztówką dziewicy w kajdanach, przechowywanej w domu. A to z tej prostej przyczyny,

(2) Za jakże charakterystyczną ilustrację posłużyć tu może opowieść Czechowa pt. ,,Step''. Powszechne padanie plackiem wywołuje zjawienie się hr. Branickiej (,,Dranickaja''). Mimo, że jak wiadomo: ,,w jej pałacu wiszą portrety wszystkich królów polskich''. Opowieść pisana była w r. 1888.

że nikogo, ani duchowo, ani politycznie w niczym nie angażowała. Działo się bowiem w epoce nie tylko wielkiej własności prywatnej (ziemskiej!), ale i wielkiej wolności — prywatnej, osobistej, indywidualnej.

Naturalnie, ludzie... Ci zawsze i wszędzie, pod płaszczykiem „pozytywizmu", robili wielkie kariery i małe karierki, wielkie świństwa i małe świństewka, zbijali większe lub mniejsze ilości rubli; ale dopiero naciąganie ówczesnego „pozytywizmu" do norm dzisiejszego kolaboranctwa, stwarza to generalne zakłamanie którego jesteśmy świadkami, a którego wonczas nie było.

Nie należy zapominać, że „demokracja" to jeszcze nie wolność. Demokracja to tylko — równość. Liberalizm jest dopiero wolnością. Połączenie równości z wolnością ma wreszcie stwarzać ów ideał, do którego wszyscy chcą dążyć. Rosja carska nie była państwem demokratycznym, ale w czasie dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego była państwem liberalnym. — (Poza wieloma przykładami, które cytuje Pawlikowski. Właśnie wpadła mi do ręki mowa adwokata M.G. Kazarina wygłoszona w sądzie w obronie Szmula Sikorskiego, Żyda z Knyszyna, który brał udział w zamachu na W. Plewe, carskiego ministra spraw wewnętrznych, sekretarza stanu, szefa żandarmów. Za taką mowę nie tylko dziś... Ale, obawiam się, i w Polsce Piłsudskiego, mógłby adwokat gładko trafić do Berezy!) — Temu liberalizmowi hołdowało wówczas 90 % inteligencji zarówno rosyjskiej jak polskiej. Politycznie mogliśmy walczyć o granice państwowe z roku 1772 czy inne; różnić się w tysiącu i jednym szczególe; ze względów patriotycznych nie przyjmować Rosjan w salonie; albo pozwalać sobie na, przyznajmy, trochę chamski gest spluwania za popem prawosławnym na ulicy, ale — w poprzek „ducha czasu" nie przebiegała żadna zasadnicza granica dzieląca obydwie grupy inteligencji.

Pawlikowski nie wszędzie w swej świetnej książce, potrafił rozpoznać owe tło z lotu ptaka. Czasem ten lot obniża i nawet, jakby schlebiając gustom na dzień dzisiejszy, trochę plącze. Tak np. na str. 362, pisząc o „oddziałach potiesznych", coś w rodzaju urzędowego skautingu rosyjskiego, porównuje je do „Hitlerjugend". Otóż takie porównanie wymaga sprostowania historycznego: organizacja ta nie tylko nie była podobna do „Hitlerjugend", ale ponadto: być podobną nie mogła!

Bo działo się przed rokiem 1914.



„Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego" płynie, ot sobie, od rozwijania liści na wiosnę, do opadania liści jesienią; tchnieniem lipcowego dnia, lub śniegiem zimy. Miękkie, wygodne; czasem porywiste, czasem nudne; zawsze prawie łagod-

ne. Z nim razem płyną i narastają wypadki dziejowe. Do najpiękniejszych ustępów książki zaliczyłbym te, opowiadające o lasach nadberezyńskich, o promach, o karczmach żydowskich, polowaniach, o Petersburgu. Do najciekawszych może, odtwarzające środowiska, oraz z wielkim talentem narysowane postacie.

Umrę w głębokim przeświadczeniu, że Prousta czytają ludzie tylko przez snobizm. Jestem go pozbawiony, więc mnie bezbrzeżnie Proust nudzi. Od tego jest talent pisarski, ażeby w symbiozie z inwencją czytelnika, potrafił wykrzesać żywą postać, ale nie na stu stronicach nużącej analizy! Pawlikowski, ze skomplikowanej np. sylwetki Saszy Zenowicza, potrafił najprostszymi środkami odmalować mistrzowski psychologicznie obraz dorastającego człowieka. Pewien inteligentny Francuz powiedział o ,,Panu Tadeuszu'' Mickiewicza, że jest to dzieło przede wszystkim ,,płaskie''. Jego prawo wolnego krytyka. Ja stawiam M.K. Pawlikowskiego wyżej od Prousta. Moje prawo. Przed rokiem 1914, jak wspomina Pawlikowski, pewien malarz wystawił w Petersburgu, autentyczną, zdechłą mysz, przybitą do deski autentycznym gwoździem. Wszyscy uważali go za wariata. Przeszło czterdzieści lat później, widziałem, wystawił Picasso autentyczny kawałek brudnego worka, przybity takimże, zardzewiałym gwoździem. Wszyscy uważają go za geniusza. Ich prawo. Pasternak notuje w swej autobiografii, że w roku 1906 przejęty był Andrejem Biełym, Hamsunem i Przybyszewskim. Biełyj, znany jest dziś praktycznie tylko wśród Rosjan; Hamsunem (którego osobiście uważam za największego pisarza wszystkich czasów) zaczytuje się w dalszym ciągu cały świat; o Przybyszewskim, nawet Polacy odzywają się z niejakim zawstydzeniem. Nie ma rzeczy bardziej względnej od krytyki i oceny artystycznej.

Czy książka M.K. Pawlikowskiego, którą uważam za świetną, będzie miała powodzenie poza językiem polskim? Któż to odgadnie! Któż to może odgadnąć.



Nie wszyscy intelektualiści lubią opisy przyrody. Wielu ona nudzi. Już Puszkin pisał:

No, możet byt', takowo roda
Kartiny was nie priwliekut:
Wsio eto nizkaja priroda;
Iziaszcznowo (*wytwornego*) *nie mnogo tut.*

Pawlikowski jest myśliwym. Zdawałoby się więc, iż ma zadatki na pierwszego w powiecie literatury polskiej pejzażystę. Niektóre jego obrazy są istotnie piękne. Na ogół jednak nie stworzył własnej szkoły w oddaniu swoistego oddechu tych

strasznie szerokich przestrzeni, którym od Prus Wschodnich po ostatnie krańce tajgi, żyje nasza palearktyczna strefa. Nieograniczoną niczym mnogość, ogranicza pewnym schematem. Jakby w autorze działał jakowyś wewnętrzny hamulec, nie pozwalający mu przekroczyć, najlepszych wprawdzie wzorów, ale konwencjonalnych. Kto wie, czy roli tego hamulca nie odgrywa predyspozycja autora do — dobrego humoru... Ze swego szacunku dla tzw. ,,poczucia humoru'' spowiada się na str. 542:

,,...nawet na stypę pogrzebową potrafił wnieść skarb najcenniejszy (nawiasem mówiąc jedyny skarb, świadczący o nieśmiertelności wartości ludzkich) — humor.

Otóż, moim zdaniem, humor, jeżeli nawet miałby być skarbcem międzyludzkim, w przyrodzie nie istnieje. Humor zostawmy w domu, czy w kawiarni, wchodząc do lasu. Bo w lesie nie ma nic co by było śmieszne; ani jeden liść, ani jeden ptak, nie jest zabawny. Tu nawet wesołość jest poważną rzeczą. Przyroda nie zna grymasu, maski, karykatury. Jest zimna, albo ciepła, ale zawsze surowa. Mnie się też zdaje, niech autor uwagi tej nie poczyta za złośliwość, że z humorem nie można polować, zabijać zwierząt i ptaków; można tylko post factum opowiadać anegdoty myśliwskie.

Zresztą temat opisu przyrody jest dla mnie tematem szczególnie drażliwym. Bo i ja próbuje nieraz... Nie wychodzi! Był tylko jeden mistrz, Iwan Bunin, któremu nikt nie dorównał i zapewne nie dorówna nigdy, w podpatrzeniu, rejestrowaniu i opisie tych nieskończonych zmian jakie zachodzą w przyrodzie, nie cztery razy do roku, a w każdej porze roku co dzień, co noc. Zwłaszcza w tej przyrodzie, którą znamy, pokrytej najczęściej chmurnym niebem. Ale też był to pisarz raczej chmurny.



Naturalnie łatwo jest krytykować i udzielać rad, których samemu nie potrafi się wcielać w życie. Z formy, to rzecz najłatwiejsza w świecie. W danym jednak wypadku, ta wielka ilość krytycznych uwag pod adresem książki, którą jestem tak szczerze zachwycony, ma swoje podłoże specjalne, choć może się wydać paradoksalne: gdy się człowiek raz dorwie do prawdy, z którą zwłaszcza w piśmiennictwie polskim nie styka się tak często, ma się ochotę rozcinać jej włos na więcej niż dwie części.

,,Dzieciństwo i Młodość Tadeusza Irteńskiego'' wydana została przez Dom Wydawniczy Bolesława Świderskiego, jako tom VI Londyńskiej Biblioteki Literackiej, bardzo starannie pod względem graficznym. Druk jasny, przyjemny. Jedynie tytuły rozdziałów umieszczone zostały zbyt blisko, bez należy-

tego odstępu od tekstu. Obwoluta, gdy się ją rozwinie, przedstawia klasyczny widok bułhakowskiej fotografii traktu, jednego z tych, które przecinały Wielkie Księstwo Litewskie jeszcze za mojej pamięci; wysadzane podwójnym szpalerem, ostatnio wiekowych już, brzóz. Jest on szeroki na rozwinięcie szwadronu kawalerii, miękki, zryty koleinami furmanek; pylny latem, błotnisty jesienią; dający cień podróżnikowi pieszemu, a w zimowe zawieje chroniący sanki przed zbłądzeniem z drogi. Jest niewątpliwie piękny. Jeżeliby kto chciał, mógłby ponadto dopatrzeć się w tej obwolucie symboliki, zarówno treści książki jak historii kraju, złej czy dobrej, ale takiej jaką była. Szlaki są wielkoksiążęce, a brzozy przy nich sadziła Katarzyna II.

Józef MACKIEWICZ

W niezgodzie z prawdą

Komisja Historyczna polskiego Sztabu Głównego w Londynie od kilkunastu lat pracuje nad wielotomową monografią o polskim wysiłku zbrojnym w drugiej wojnie światowej. Ostatnio wydany został kolejny fragment — pierwsza część tomu o ,,kampaniach na obczyźnie'', obejmująca okres 20 miesięcy między klęską wrześniową w Polsce a wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu r. 1941 (1).

Ukazanie się tego fragmentu wywołało publiczne (w ,,Kulturze'', nr 12/146) wystąpienie Stowarzyszenia Lotników Polskich z zarzutem, że nie jest to opracowanie ,,historycznie obiektywne'', gdyż ,,nie odzwierciadla w sposób właściwy'' wysiłku — czynów i zasług — polskich sił powietrznych. W publicznej z tej racji wymianie sądów przewagę uzyskały kierowane do Stowarzyszenia Lotników stwierdzenia ,,bezpodstawności zarzutów'' i ,,nieuzasadnionych pretensji''. Z krótkotrwałej tej ,,burzy w szklance wody'' Komisja Historyczna wychodzić zdaje się obronną ręką. Przewodniczący jej dał wyraz nadziei (,,Kultura',, nr 1-2/147-148), że czytelnicy w trakcie lektury sami się przekonają, iż przy opracowywaniu tego fragmentu zrobiono ,,wszystko, aby uniknąć jakiejkolwiek tenden-

(1) Komisja Historyczna polskiego Sztabu Głównego. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*. Tom 2-gi. *Kampanie na obczyźnie*. Część pierwsza. Wrzesień 1939 — Czerwiec 1941. Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego. Londyn, 1959. Stron XXI i 412 oraz 20 szkiców.

cyjności". Jest to parafraza zapewnień, znanych już z przedmowy redakcyjnej, głoszącej, że kierowano się troską, by podawać tylko „bezspornie stwierdzone fakty" i ich „związki przyczynowe" — powstrzymywać się od „oceny wypadków i osób", ale „dać możliwie dużo materiału historycznego", wprowadzić czytelnika „w atmosferę, w jakiej dojrzewały i zapadały decyzje" i ułatwić temu czytelnikowi „wyrobienie poglądu na wydarzenia i ludzi"...

Ale czy te piękne zapowiedzi zostały dopełnione? Niestety! — nie, zwłaszcza w kwestiach politycznych, bardzo w tym fragmencie licznych. Metodę zastosowaną można nazwać różnie, trudno byłoby jednak uznać ją za wyraz rzetelnego wysiłku badawczego. Księga ta w kwestiach politycznych i personalnych nie daje obrazu prawdy historycznej, przeciwnie — jest spiętrzonym stosem dowodów jaskrawej tendencji politycznej. Weźmy kilka przykładów.

Przede wszystkim — sprawa internowania w Rumunii naczelnych władz polskich po katastrofie wrześniowej. Internowania tego dokonano podstępnie, wbrew prawu międzynarodowemu i wbrew zawartym układom. Pomocnicza rola ówczesnej opozycji polskiej nie ulega wątpliwości. Przywódcy opozycji już 10 września, za pobytu we Lwowie, rozważali „możliwość" pochwycenia władzy w drodze zamachu stanu i próbowali wciągnąć w to gen. Wł. Sikorskiego. Czy istnieją i jakie dowody-dokumenty na to? Owszem — istnieją. W Instytucie Historycznym Sikorskiego w Londynie jest dostępny dla badaczy „Dziennik Czynności" Sikorskiego za okres września; w tymże Instytucie są przechowywane protokóły z posiedzeń Rady Ministrów — wśród nich protokół z 19 maja 1942 z osobistymi — istotnymi — stwierdzeniami Sikorskiego; są opublikowane relacje marsz. Rydza-Śmigłego, płk. A. Bogusławskiego, Karola Popiela i nieopublikowana płk. T. Münnicha.

Czy autorzy omawianej księgi wyzyskali te dokumenty i świadectwa? Nie. Nie wyzyskali wszystkich, choć niektóre z nich mieli pod ręką, w tymże gmachu w Londynie, tylko o piętro niżej. Nie wspominają więc ani pół-słowem o „Dzienniku czynności" Sikorskiego, nic nie mówią o protokóle Rady Ministrów; nie sięgają do relacji marsz. Rydza-Śmigłego. W opisie lwowskich narad opozycji opierają się wyłącznie na relacji tylko Karola Popiela, pomijając nawet relację Bogusławskiego, choć Popiel zabrał głos (w r. 1943) na skutek wcześniej o tydzień ogłoszonego wspomnienia Bogusławskiego.

Niewyzyskany przez autorów księgi „Dziennik Czynności" mówi, iż gen. Sikorski za pobytu we Lwowie 10-13 września spotykał się i odbywał narady z gen. J. Hallerem, gen. M. Kukielem, prof. Kotem, Karolem Popielem, Zygmuntem Nowakowskim. Przebywał w tymże czasie we Lwowie prof. St. Stroński. Autorzy księgi, powołując się na relację Popiela, nie wymieniają Kota, ani Strońskiego, stwierdzają, że „pod koniec roz-

mowy'' Sikorskiego z ,,przyjaciółmi'': Hallerem, Kukielem, Popielem i Stefczykiem — ,,przyszedł Zygmunt Nowakowski'', znany publicysta z Krakowa, i ,,przedstawiając w patetycznych słowach grozę ogólnego położenia, zaproponował gen. Sikorskiemu, aby wobec faktycznego załamania się centralnego ośrodka władzy państwowej, utworzył wraz z gen. Hallerem i gen. Sosnkowskim triumwirat, coś w rodzaju komitetu ocalenia publicznego''. Autorzy księgi powtarzają jeszcze za Popielem, że Sikorski propozycję Nowakowskiego ,,bez wahania odrzucił'' i od siebie już dodają: ,,wobec tego rozmowa ta (przyjaciół) nie miała żadnych dalszych konsekwencji''.

Niestety — nie odpowiada to rzeczywistości historycznej. Mniejsza już o to, że autorzy księgi nie zechcieli wyzyskać relacji płk. A. Bogusławskiego, któremu Sikorski mówił wtedy, zaraz po tej ,,rozmowie'', że ,,przedstawiciele opozycji'' namawiali go na zamach stanu. Rzeczą znacznie gorszą jest to, że autorzy księgi, powołując się na Popiela i cytując go, urywają jego relację nagle, niemal w połowie zdania. Dlaczego? Bo Popiel w dalszym ciągu tej swojej relacji stwierdza najwyraźniej, że ,,bezpośrednio potem p. Nowakowski odbył jeszcze rozmowę z gen. Sikorskim w cztery oczy''. Popiel stwierdza, iż przebiegu tej rozmowy nie zna, ale ,,przypuszcza'', że ,,najprawdopodobniej dotyczyła sprawy użycia jako ewentualnego pośrednika wobec Śmigłego-Rydza wojewody lwowskiego Biłyka...''. ,,Kiedy w kilka godzin później — stwierdza Popiel — opuszczałem mieszkanie gen. Sikorskiego, spotkałem na schodach przychodzącego doń ponownie p. Nowakowskiego; z jego wyrazu twarzy odniosłem wrażenie, że jeżeli istotnie miał on jakąś misję do p. Biłyka, to skończyć się musiała niepowodzeniem''... Z tej właśnie — końcowej — części relacji Popiela autorzy księgi nie dali ani słowa. Nie szukali też dalszego ciągu tej ,,zamachowej'' sprawy, a mogli łatwo stwierdzić, choćby u płk. T. Münnicha, że wojewoda Biłyk, po rozmowie z Nowakowskim, bezzwłocznie udał się do marsz. Śmigłego-Rydza, by mu osobiście zameldować o zamachowych zamiarach opozycji. Sam marsz. Śmigły w relacji swej, wyjaśniając decyzję przejścia z Polski do Rumunii, stwierdzał, iż niemały wpływ na tę jego decyzję wywarła wiadomość, że ,,pewna grupa'' opozycyjna, w kontakcie ze światem obcym, dążyła do ,,opanowania władzy'', a więc do obalenia istniejącego i stworzenia nowego rządu; marszałek uważał, że bronić skutecznie praw Polski może tylko rząd, którzy pozawierał traktaty sojusznicze i układy z mocarstwami Zachodu.

Obciąwszy relację Popiela i odwróciwszy się plecami do innych świadectw — autorzy księgi twierdzą kategorycznie, iż lwowska narada opozycji nie miała ,,żadnych dalszych konsekwencji''... Niestety — miała. Projektowany zamach stanu został zrealizowany. Naczelne władze państwa polskiego — Prezydent Rzplitej, rząd i Naczelny Wódz — zostali w Rumunii

podstępnie internowani. Opozycja polska odegrała tu rolę pomocniczą, ale bardzo istotną. Spójrzmy tylko na prof. Strońskiego: był przy Sikorskim we Lwowie, a w Rumunii zjawił się na trzy pełne doby przed opuszczeniem Polski przez jej władze naczelne; w Rumunii czuł się tak pewnie, że już 15 września uważał się za ministra informacji, choć nikt go na takie stanowisko nie mianował, a właściwy minister był jeszcze w Polsce, na Wołyniu. Mimo to prof. Stroński od 15 września wydawał dyspozycje, opracował i zostawił do wykonania „swoim ludziom" program prac, sam zaś — jak to stwierdza w relacji własnej, także przez autorów księgi „niedostrzeżonej" — już 17 września udał się pośpiesznie do Szwajcarii, by przebywającemu tam Ignacemu Paderewskiemu zaproponować objęcie Prezydentury Państwa. Jeśli się weźmie pod uwagę, że w tym momencie Prezydent Mościcki przebywał jeszcze w Polsce i nie mógł się spodziewać jeszcze internowania w Rumunii — ruchliwość prof. Strońskiego stanie się aż nader wymowna... A autorzy księgi twierdzą, że lwowskie narady opozycji nie miały „żadnych konsekwencji"... (2).

Gdzie jednak był w tym momencie i co robił gen. Sikorski? Niewyzyskany przez autorów księgi „Dziennik czynności" mówi, iż gen. Sikorski w dn. 14-16 września był w Dubnie, Krzemieńcu, Zbarażu, Tarnopolu i Trembowli, skąd przez Monasterzyska i Stanisławów w niedzielę 17 września popołudniu dotarł do Kosowa, gdzie przebywał jeszcze marsz. Śmigły-Rydz. W warunkach owej chwili Naczelny Wódz nie mógł przyjąć przybyłego, ale przez płk. Jaklicza zaproponował spotkanie i rozmowę po przekroczeniu granicy, w Rumunii. Autorzy księgi przedstawiają ten moment ściśle, choć w oparciu tylko o relację płk. Bogusławskiego. Ale i z tej relacji — jak w wypadku Popiela — usuwają pewne fragmenty: nie przytaczają np. opisu chwili przejścia przez granicę z Kut do Wyżnicy: w ciemności, w ścisku na szosie, auto Sikorskiego długo nie może dobrnąć do szlabanu rumuńskiego: „Generał chwilami wychodzi z auta, i widać, jak jest zdenerwowany" — pisze towarzyszący mu płk. Bogusławski. „W pewnej chwili, po północy, jest prawie zdecydowany wyjechać z kolumny lub też wydostać się z niej pieszo i wracać do kraju, lub też, gdyby to było możliwe, iść ku granicy węgierskiej. Czynimy, co możemy, aby go odwieść od tego zamiaru"... „Generał po namyśle zamyka walizkę, z której już wydobywał ubranie cywilne"... Przytaczam tu ten fragment nie dlatego, by wykazać, co autorzy księgi pominęli,

(2) Już w trakcie druku tej notatki sprawozdawczej otrzymałem najświeższy zeszyt warsz. „Kwartalnika Historycznego" (nr 4/1959) z obszernym wykazem zawartości przekazanego do kraju archiwum Paderewskiego; jest tam streszczony list K. Popiela do Paderewskiego, napisany w rumuńskiej Suczawie 18. IX. 1939; według tego listu w wyniku lwowskiej narady opozycji Popiel i Haller mieli bezzwłocznie udać się do Francji.

ale dlatego, że widzę tu — w tym fragmencie — moment bardzo istotny. Jeśli Bogusławski relacjonuje rzetelnie — a nie mam powodu do posądzania go o nierzetelność — to właśnie w takim zachowaniu się Sikorskiego przed szlabanem granicznym jest dowód na to, że nie wiedział on jeszcze co go ze szlabanem czeka. Sam Sikorski —później —19 maja 1942 — na Radzie Ministrów, przypominając ,,dzieje swego wyjazdu z Polski'' — stwierdzi, że ,,zgodnie z radą ambasadorów W. Brytanii i Francji udał się wówczas do Bukaresztu, mijając w drodze członków rządu (polskiego) i rezygnując z zaproszenia marsz. Śmigłego do Czerniowiec''. Gdzie i kiedy padły te ambasadorskie rady? Przede wszystkim: chodzić tu może tylko o ambasadora Noëla — nie ma ani jednego dowodu na to, że Sikorski w Kutach czy w Rumunii widział ambasadora brytyjskiego. Z Noëlem natomiast mógł się widzieć już gdzieś w drodze — między Lwowem a Kutami. ,,Dziennik czynności'' mówi, iż po przekroczeniu granicy przybył Sikorski do rumuńskiej Wyżnicy i tu w hoteliku spotkał się ,,przypadkowo'' z amb. Noëlem. ,,Dziennik czynności'' mówi o rozmowie w tym hoteliku z amb. Noëlem, oraz generałami francuskimi Faury i Musse. Po tych rozmowach Sikorski udaje się wprost do Bukaresztu, gdzie — według ,,Dziennika czynności'' — konferuje z amb. Noëlem, gen. Faury, amb. R. Raczyńskim i ppłk. Zakrzewskim (polski attaché wojskowy w Bukareszcie) i już 22 września wyjeżdża ,,w towarzystwie amb. Noëla'' do Paryża, gdzie w hoteliku ,,Danube'' czeka już na niego prof. Stroński. W świetle tych dokumentów nie ma i nie może być wątpliwości: Sikorski, gdy go we Lwowie namawiano na ,,zamach stanu'' — odpowiedział zrazu odmową, zapewne rozumiejąc, że próba taka byłaby tylko przyśpieszeniem katastrofy, pod której gruzami zginąłby on sam przede wszystkim; nie wyrzekał się jednak tej myśli — wolał wyczekać; zawsze bardzo ambitny i od lat rwący się do czynnej roli na najwyższych szczeblach, już w niecały tydzień po naradzie lwowskiej, w dużej mierze pod wpływem wydarzeń, w niemałej idąc za własnym popędem i ulegając bezustannym propozycjom, namowom, perswazjom — przyjął to, co z paru stron pchano mu wprost w ręce...

Czołową konsekwencję internowania rumuńskiego — a więc rezygnację prof. Mościckiego z urzędu Głowy Państwa i wyznaczenie przezeń następcy w osobie zrazu gen. B. Wieniawy-Długoszowskiego, ostatecznie zaś Władysława Raczkiewicza — omawiają autorzy księgi dość szeroko, na ogół wiernie, choć zbyt jednostronnie; nie ujawniają np. zakulisowych zabiegów opozycji i jej alarmowych interwencji u Francuzów (3). Bardzo zwięźle natomiast, w zdaniach krótkich i skąpych w

(3) Stwierdza to zupełnie wyraźnie prof. Stroński w relacji, ogłoszonej drukiem, lecz także niedostrzeżonej przez autorów księgi. (,,Dziennik Polski'', Nr 160/1951).

treści, potraktowali autorzy sprawę marsz. Śmigłego-Rydza i gen. Sosnkowskiego w związku z kwestią objęcia przez gen. Sikorskiego zrazu tylko dowództwa nad armią polską we Francji, wnet zaś i dowództwa naczelnego (4). Fakty i daty podane są ściśle, ale — wbrew zapowiedziom z przedmowy redakcyjnej — bez ukazania ich „związków przyczynowych" i „atmosfery", w jakiej się kształtowały. Na to, by uzupełnić te istotne braki — trzeba by co najmniej paru stron druku; nie ma na to miejsca w ramach tej sprawozdawczej notatki. Sięgnę po przykłady niemniej wymowne, ale nie wymagające zbyt skomplikowanych sprostowań i uzupełnień.

Obraz budowy wojska (pobór w skupiskach emigracji i ewakuacja z obozów rumuńskich, węgierskich, litewskich) oraz użycia, czy raczej zaprzepaszczenia tego wojska w „bitwie o Francję" w czerwcu r. 1940 i chaotycznej ewakuacji ocalałych resztek z Francji do W. Brytanii — wymagałby też bardzo długiego łańcucha „poprawek historycznych". Z konieczności ograniczę się tu do jednego tylko przykładu — największego bodaj bezsensu — zmarnowania sił polskich, przebywających w dniach katastrofy nie na froncie, lecz we francuskiej Bretanii. Autorzy księgi, przedstawiając tę sprawę, nie ukrywają fatalnego rezultatu, starają się jednak wybronić i usprawiedliwić nie tylko gen. Sikorskiego, ale też gen. Kukiela, który w tych tragicznych dniach był dowódcą wszystkich sił, niezaangażowanych w walce na froncie. Prawda historyczna wygląda inaczej. Najfatalniej zaciążyła tu tygodniowa nieobecność gen. Sikorskiego, który jak najmylniej widząc i jak najbłędniej oceniając sytuację na froncie wojennym, 10 czerwca opuścił Paryż, by gdzieś na froncie szukać gen. Weyganda i by przedstawić mu swój „zbawczy plan" — „użycia wojsk z linii Maginota dla flankowego przeciwuderzenia". Błąkając się z tym swoim planem nie wiadomo gdzie przez cały tydzień, Sikorski nie wie, że poszukiwany przezeń na froncie gen. Weygand przebywa zrazu w Tours, później w Bordeaux, nie wie też, że załoga linii Maginota już 12 czerwca opuściła fortyfikacje i że korpusy i dywizje, których użyć chciałby dla „flankowego przeciwuderzenia", spływają już ku granicy szwajcarskiej lub na południe, z jedyną perspektywą kolejnego osaczenia i kapitulacji. Opuszczając Paryż 10 czerwca, Sikorski nie tylko nie wydał żadnych rozkazów, ale co gorsza — sterroryzował swoje otoczenie wojskowe, podsuniętą mu bowiem ostrożnie myśl, by ewakuować poza Loarę niezaangażowane w walce oddziały i instytucje tyłowe — odrzucił gwałtownie, i nawet brutalnie skarcił, jako przejaw „defetyzmu" i „panikarstwa". Po wy-

(4) Autorzy księgi nie zadali sobie trudu, by sięgnąć do nieopublikowanej, ale istniejącej w archiwach, obszernej na ten temat relacji amb. J. Łukasiewicza. Nie zajrzeli też do „Kultury" Nr 50/1951, gdzie w obszernym artykule przytoczyłem sporo dokumentów w tej sprawie.

jeździe z Paryża utrzymywał z rządem i sztabem łączność jednostronną, próby skomunikowania się z nim rezultatu nie dawały, bo już nie było go tam, gdzie go szukano na podstawie nadchodzących od niego i tchnących optymizmem depesz i listów. Sterroryzowany przez niego sztab z gen. Kukielem na czele nie chciał, bez niego i bez jego wiedzy, wydać żadnych rozkazów. Zachowane w archiwach, a nie wyzyskane przez autorów księgi, akta mówią, że np. 14 czerwca min. A. Zaleski na naradzie u Prezydenta w Pignerolles pod Angers — i Prezydent także — poruszyli sprawę ,,ewakuacji wojsk polskich, stojących poza frontem''; wiceminister Kukiel oświadczył w odpowiedzi, iż ,,nie jest w stanie podjąć odpowiednich kroków'', a to ,,wobec nieobecności Naczelnego Wodza i niemożliwości skomunikowania się z nim''; potwierdzi to Prezydent Raczkiewicz w zachowanym w archiwum, a nie wyzyskanym przez autorów księgi, liście do gen. Sikorskiego z 18 lipca 1940. Tak tedy sztab z Kukielem — nie wydając żadnych rozkazów, dostosowywał się tylko do zarządzeń władz francuskich. Ten brak decyzji polskiej zadecydował o bezsensie zaprzepaszczenia brygady podhalańskiej, która wracając z Norwegii 13 czerwca wylądowała we francuskiej Bretanii; tu też zginęła organizująca się dywizja 3-cia wraz z najpoważniejszym ośrodkiem wyszkolenia z Coëtquidan. Autorzy księgi nie mówią nic o tym, że po katastrofie francuskiej, już w Londynie, gen. Kukielowi postawiono zarzut, iż opóźnił ewakuację wojska wskutek braku rozkazów od Sikorskiego. W archiwum jest zachowany, a także przez autorów księgi niewyzyskany, list gen. Kukiela do Prez. Raczkiewicza z 16 lipca 1940; w liście tym gen. Kukiel — broniąc siebie — obarczał winą gen. Faury, który jakoby ,,nie zdołał skutecznie się przeciwstawić'' rozkazom wyższych dowódców francuskich; ponadto — gen. Kukiel, w liście tym do Prezydenta — robił *bezpodstawny* zarzut dowódcom polskim, płk. Zieleniewskiemu i płk. Jakliczowi, oskarżając ich o ,,zupełne załamanie się'' — ,,graniczące ze zdradą''!... Wreszcie — w tymże liście do Prezydenta dowodził gen. Kukiel, iż 16 czerwca ,,nie tylko nasi dowódcy byli zorientowani w położeniu i w planie ewakuacji do portów nad Oceanem'' — ,,byli uprzedzeni, że jeśli Francja wystąpi o zawieszenie broni'', to mają wykonywać plan ,,bez oglądania się na Francuzów''. Nie znalazłem nigdzie potwierdzenia, by gen. Kukiel rozkazy takie wydał; płk. Zygmunt Wojciechowski (zmarły przed paru laty w Kalifornii), na którego powołują się autorzy omawianej księgi, w obszernej złożonej mi relacji twierdził jak najbardziej stanowczo, że ani w liście gen. Kukiela, odczytanym głośno przez gen. Faury, ani w instrukcjach dla dowódców polskich w Bretanii, nie było takich poleceń. Listu gen. Kukiela do gen. Faury w archiwach nie ma, ale zachowana w Archiwum Kancelarii Cywilnej Prezydenta odpowiedź gen. Faury dla gen. Kukiela nie może być, nawet przy

najżyczliwszej interpretacji, dowodem, jaki chciał w niej widzieć gen. Kukiel.

Wreszcie — przykład ostatni: autorzy księgi na str. 223-225 przedstawiają sprawę memoriału, jaki złożył rządowi angielskiemu gen. Sikorski, nazajutrz po katastrofie francuskiej, w czerwcu r. 1940. Autorzy księgi przytaczają tekst tego memoriału w jego oryginalnym brzmieniu francuskim i w przekładzie polskim. O okolicznościach jednak, w jakich memoriał ten został złożony, nie mówią nic, bardzo swoiście też przedstawiają konsekwencje polityczne tego memoriału, wskutek czego czytelnik nie znający bliżej sprawy, wyciągnąć może wnioski jak najbardziej bałamutne i wręcz błędne. Powiedzmy więc tu to, czego autorzy księgi powiedzieć nie mogli czy raczej nie chcieli.

Do złożenia tego niefortunnego memoriału namówił Sikorskiego Stefan Litauer. Kim był Litauer? Formalnie — urzędnikiem polskim, korespondentem londyńskim urzędowej Polskiej Agencji Telegraficznej. Ale już przed wojną podejrzewano go o ukryte kontakty z ambasadą sowiecką w Londynie; późniejsze wypadki, zwłaszcza w r. 1944 i 1945, potwierdzą te podejrzenia w zupełności — Litauer był po prostu tajnym agentem Moskwy. Cóż zawierał zasugerowany przezeń memoriał? Składał się on z czterech punktów; punkt trzeci rozważał możliwość utworzenia za zgodą Rosji 300-tysięcznej armii polskiej z oficerów i ,,wyszkolonych rezerw'' polskich, znajdujących się w danej chwili na okupowanym przez Rosjan terytorium Rzplitej względnie nawet na terytorium Związku Sowieckiego. By wszystko było jasne — powiedzmy, że gen. Sikorski składał taki memoriał w momencie, gdy Rosja, po dokonanym do spółki z Hitlerem rozbiorze Polski, nie uznawała rządu polskiego, a samą Polskę uważała za wykreśloną z mapy Europy. Całość memoriału robi wrażenie rzeczy pisanej na kolanie, bez rozwagi i bez namysłu, w największym pośpiechu. Padał tu Sikorski ofiarą nie tylko podszeptów Litauera, ale przede wszystkim własnych ambicji, własnej impulsywności i nadmiernego zaufania do nieznanych sobie bliżej ludzi; działał na własną rękę — w imieniu rządu, ale bez wiedzy i bez zgody rządu; łamał przy tym swe paryskie zobowiązanie do ,,niedziałania w sprawach państwowej wagi bez porozumienia z Prezydentem Rzplitej''. Nie po raz pierwszy zresztą odzywał się tu jego apodyktyczny, nawet despotyczny stosunek do polskiego otoczenia — nie po raz pierwszy lekceważył Prezydenta, a w rządzie zawsze widział zespół nie współpracowników, tylko bezkrytycznych, posłusznych, potulnych wykonawców jego poleceń; w dodatku — po katastrofie francuskiej, zaprzepaściwszy wojsko i straciwszy grunt pod nogami, chciał jak najprędzej odzyskać jedno i drugie, nie dostrzegając politycznego niebezpieczeństwa swej pogoni za mirażem ,,armii 300-tysięcznej''...

Rolę inspiratora odegrał Litauer. Ale z czyjego ramienia działał Litauer? Anglicy po klęsce Francji, wchodząc w nową fazę swej polityki wobec Rosji, mogli chcieć wyjaśnienia sytuacji na odcinku stosunków swoich z Polską. W tym sensie memoriał mógł dać im niemało: mogli na tej podstawie trafnie ocenić Sikorskiego, właściwości jego umysłu i charakteru ze słabymi jego stronami — ujrzeć w nim partnera bardzo dla nich wygodnego, bo płytkiego w myśleniu politycznym, zmiennego w poglądach, słabego w odporności na *obce* perswazje i naciski, wrażliwego na pochlebstwa i przez to łatwego do kierowania. Anglicy w nowej fazie polityki wobec Rosji mogli chcieć zbadać, z czym się spotkać mogą ze strony polskiej. I te właśnie względy mogą być pewną podstawą do przypuszczeń, iż w sprawie tego memoriału działała cicha inspiracja angielska. Jeśli działała — to przecież nie była ani jedyną, ani główną siłą napędową dla Sikorskiego. Równocześnie z nią bowiem — chyba niezależna od niej, choć zapewne powiązana z nią niewidzialnymi nićmi — działała prowokacja moskiewska. Litauer, wręczając Sikorskiemu ,,notatkę'', powoływał się, jako na ,,źródło pomysłu'', na londyńskiego przedstawiciela sowieckiej agencji prasowej A. Rothsteina. Wobec znanych zasad sowieckiej techniki rządzenia niesposób przypuszczać, by ,,pomysł'' taki mógł się zrodzić w Londynie, bez wyraźnej na to instrukcji z Moskwy. Epizod z memoriałem zresztą wiąże się niechybnie z ówczesnymi poczynaniami Moskwy na odcinku spraw polskich. Kreml bowiem, dokonanego w porozumieniu z Hitlerem podziału Polski nie uważając za rozwiązanie trwałe i definitywne i obiecując sobie większe zdobycze w schyłkowym okresie wojny, pracował zawczasu nad przygotowaniem ,,posłusznego narzędzia'' — nad stworzeniem pozorów, które osłaniając podstęp i oszustwo, pozwoliłyby mu na ujarzmienie całej Polski, bez narażania się na zarzut gwałtu i zaborczości, a tylko pod pretekstem zgody na to samych Polaków. Nie mógł służyć temu celowi Związek Polskich Komunistów, utworzony we Lwowie już na początku okupacji — trzeba było innego szyldu i innych ludzi. Istnieją liczne świadectwa, iż Moskwa w ciągu pierwszych miesięcy swej okupacji w Polsce pozostawiała rozmyślnie na wolności upatrzonych wybitniejszych Polaków i że do niejednego z nich, nawet po ich uwięzieniu, zwracała się z propozycją utworzenia ,,rządu polskiego pod opieką sowiecką''. Równolegle do tych, bezskutecznych, wysiłków szły, i to pod kierownictwem samego szefa NKWD Berii i jego zastępcy Mierkułowa, próby pozyskania wziętych do niewoli wyższych stopniem oficerów polskich — proponowano im bądź to wstąpienie do armii sowieckiej na wyższe w niej szczeble, bądź też dowództwo nad ,,dywizją polską'', która miała być stworzona. Próby rekrutowania kandydatów do ,,współpracy wojskowej'' prowadzone były, bezustannie i bezskutecznie, także wśród oficerów niższych, zarówno w obozach jenieckich, jak i w wię-

zieniach, głównie w Butyrkach i na Łubiance. Ani propaganda sowiecka, ani namowy, z zastosowaniem nieraz środków terroru,nie dawały rezultatu. Szukała tedy Moskwa innych dróg do przełamania nieugiętej postawy jeńców, odmawiających — mimo pokus i gróźb — wszelkiej współpracy i służby. Droga ta, najstaranniej zakamuflowana, poszła przez Londyn właśnie. Sikorski, tak zręcznie przez Litauera złapany na sowiecką wędkę, miał przez swój memoriał, na pewno mimo woli, ułatwić zabiegi Kremla wśród jeńców i więźniów. Bo jeśli ,,tworzenia wojska'' i ,,współpracy'' chce polski premier i wódz naczelny — to dlaczegóżby odmawiać tego mieli pozamykani po obozach i więzieniach jeńcy — polscy oficerowie?

A jak skończyła się sprawa z memoriałem? Prez. Raczkiewicz i min. Zaleski, przybywszy do Londynu w ślad za Sikorskim i dowiedziawszy się o złożonym memoriale, uznali to słusznie za wielką gaffę polityczną; zażądano od lorda Halifaxa zwrotu memoriału. Ponadto Prezydent uznał, że po takiej samowoli Sikorskiego musi przyjść jego dymisja ze stanowiska szefa rządu. Tak się też stało. Misję utworzenia nowego rządu otrzymał August Zaleski. W odpowiedzi na to grupa oficerów wyższych, z gen. Kukielem na czele, niechybnie za wiedzą i zgodą Sikorskiego, postanowiła decyzję Prezydenta przekreślić. Na wniosek Kukiela trzech oficerów: ówczesny szef sztabu płk. Klimecki oraz pułkownicy Protasewicz i Krubski udali się do min. Zaleskiego i grożąc mu najpoważniejszymi konsekwencjami, żądali, by zrzekł się misji, powierzonej mu przez Prezydenta i by premierem był nadal Sikorski. Była to swoista próba zamachu stanu, niewątpliwa próba sterroryzowania min. Zaleskiego i równie niewątpliwy bunt przeciwko Głowie Państwa.

Autorzy omawianej księgi interwencję zbrojną u min. Zaleskiego przedstawili na ogół wiernie, choć zbyt zwięźle; ale i w tym wypadku stosują swoją metodę niedomówień; według nich — Prezydent po prostu — za poradą Sosnkowskiego — decyzję zmienił, Sikorski zostawał nadal premierem, i tylko gen. Kukiel, jako inspirator próby zamachu stanu, zrezygnował ze stanowiska wiceministra spraw wojskowych. W rzeczywistości było *zasadniczo* inaczej. Min. Zaleski nie uląkł się zbrojnego nacisku, ale prez. Raczkiewicz, po naradzie z gen. Sosnkowskim, uznał, że nie są wskazane jakieś wstrząsy, skoro dopiero co przeżyło się katastrofę francuską. Prezydent decyzję zmienił, ale pod warunkiem m.in., że wystąpienie oficerów wobec min. Zaleskiego ,,będzie surowo skarcone'' i że zostaną powzięte ,,wszelkie środki, aby w przyszłości podobne wystąpienia, godzące w podstawy praworządności, nie mogły się powtórzyć''. Wbrew tym przyjętym przez Sikorskiego warunkom — płk. Klimecki został demonstracyjnie zaawansowany na generała. Protasewicz i Krubski również otrzymali wyższe stanowiska. Gen. Kukiel odszedł wprawdzie ze stanowiska wiceministra,

ale na dowódcę korpusu w Szkocji — takiej zmiany przydziału nikt chyba nie może uważać za ,,surowe skarcenie''...

Powiedziałem gdzieś wyżej, że w tej księdze o ,,kampaniach na obczyźnie'' wszystkie niemal kwestie polityczne wymagają — często bardzo gruntownych — ,,poprawek historycznych''. Ograniczyłem się do kilku przykładów. Sądzę, że wystarczy ich na to, by przyznać rację Stowarzyszeniu Lotników Polskich, że księga ta nie jest opracowaniem ,,historycznie obiektywnym''.

Wł. POBÓG-MALINOWSKI

P.S.: — Nawet i omówionych tu kwestii nie rozwijałem szerzej — poświęciłem im wiele miejsca w trzecim tomie mojej ,,Najnowszej Historii Polski''. Tom ten ukaże się już niebawem i do niego odsyłam tych wszystkich, których sprawy te bliżej interesują.

Bernard Singer i jego Nalewki

Tanio wydana książka, obwoluta krzycząca czernią, gazetowy papier, natłoczona kolumna druku ze skąpymi marginesami. Może i tak trzeba było wydać tom wspomnień o Nalewkach (1), gdzie pierwszym, dominującym wrażeniem przechodnia było wrażenie tłoku i biedy.

Nazwisko autora książki, Bernarda Singera, głośne było w politycznych i dziennikarskich kołach Polski w latach międzywojennych. Dla mnie zaczęło ono coś znaczyć jeszcze w krakowskich latach studenckich, kiedy naczyłem się cenić jego artykuły, ogłaszane w *Nowym Dzienniku*. Po przejeździe do Warszawy nie należałem do regularnych czytelników *Naszego Przeglądu*, ale starałem się nie przeoczyć numeru dziennika z artykułem Singera. Singer ogłaszał swe artykuły równolegle w warszawskiej i krakowskiej gazecie, ale w warszawskiej podpisywał się na odwyrtkę: Regnis.

Artykuły Singera, poświęcone sprawom wewnętrznej polityki polskiej, odznaczały się doskonałą orientacją tak w za-

---

(1) Bernard Singer (Regnis), *Moje Nalewki*. Opracował Eugeniusz Szrojt. Warszawa, Czytelnik, 1959. Str. 174.

gadnieniach, jak i w personaliach. Były wnikliwe i oryginalne w ujęciach, cięte i dosadne w sformułowaniach. Lektura ich sprawiała zawsze nie byle jaką satysfakcję miłośnikowi dobrej prozy dziennikarskiej. Ambicją Singera było przemycenie za pomocą napomknień, aluzyj, kalamburów jak największej ilości niecenzuralnych wiadomości i ujęć w sposób taki, aby cenzura nie mogła się do nich przyczepić.

W *Moich Nalewkach* czytamy:

,,Ojciec abonował dziennik żydowski wychodzący w Petersburgu. Poważna część artykułów była przedrukiem z rosyjskich gazet liberalnych. Pismo było pełne dwuznaczników i aluzji pod adresem cara i carowej, tak jednak napisanych, że cenzor nie mógł się przyczepić. Celował w tym największy humorysta żydowski Szolem Alejchem''.

Tu była najoczywiściej szkoła stylu dziennikarskiego Singera. Ale i najlepsza szkoła nie wiele by tu pomogła bez tego spontanicznego daru kalamburu, w którym celował. Opowiadał mi kiedyś w Rosji, jak raz, przy jakiejś uroczystości poświęcania w Gdyni znalazł się w czasie wpisywania się do księgi gości tuż za Sławkiem. Premier, zobaczywszy Singera, pogroził mu: ,,Oj, panie Singer, jeśli się pan nie poprawi, to będzie z panem krucho''. Singer zamiast odpowiedzi wpisał się: ,,Dłużej Singera niźli premiera. Regnis''. W darze ciętego, na zawołanie przychodzącego kalamburu mógł się mierzyć z największymi w tej dziedzinie majstrami, Nowaczyńskim i Słonimskim.

Zastanawiałem się nieraz, dlaczego cenzura tolerowała artykuły Singera, niejednokrotnie mocno dotkliwe. Świeciły one czasem białymi plamami, ale na ogół mógł on sobie na dużo pozwolić. Myślę, że wiele zaważył tu fakt, iż pisywał w prasie żydowskiej. Gdyby był współpracownikiem jakiejś polskiej gazety opozycyjnej, nie puszczono by mu nawet i połowy z tego, co wypisywał. Ale czytelników *Naszego Przeglądu* trudno było posądzać o ambicje opanowania Zamku, Pałacu Kazimierzowskiego i Giszu. Można więc było tu pozwolić sobie na luksus stosowania zasady *l'art pour l'art*. Trochę też mógł i zaważyć wzgląd na to, że artykuły Singera były bardzo dowcipne. A w warunkach przedwojennej cenzury dowcip cieszył się po trosze przywilejem eksterytorialności. Na wiele mogły sobie pozwolić Cyrulik Warszawski czy Szopka Polityczna. Coś z tej tradycji pozostało w Polsce do dzisiaj we — względnej — pobłażliwości, z jaką cenzura traktuje teatrzyki studenckie. Ale artykuły typu Singera byłyby w dzisiejszej prasie polskiej nie do pomyślenia.

Z racji tych artykułów czytamy w krótkiej wstępnej notatce informacyjnej p. E.S., który ,,opracował'' książkę: ,,Ich autor stanął wreszcie wobec groźby Berezy. I tylko wybuch wojny — o ironio — uratował go przed aresztowaniem i wywiezieniem do obozu''.

O ironio! Jakże nie *à propos* zostałaś przywołana tu na świadka! Bo naprawdę w rezultacie działań wojennych Singer znalazł się szybko w obozie. Ale nie w Berezie.

Schronił się we wrześniu przed Niemcami do Rygi. Tam, już pod rządami sowieckimi, został raz zaczepiony przez milicjanta za niewłaściwe przechodzenie ulicy. Ponieważ nie miał przy sobie pieniędzy na opłacenie grzywny, zabrano go do komisariatu. Przy legitymowaniu okazało się, że zatrzymany przechodzień jest ,,burżuazyjnym'' dziennikarzem, i to, co gorsza, takim, z którym władze sowieckie mają na pieńku.

Singer był rozczarowanym komunistą. Do ZSSR jeździł kilkakrotnie. Dał się i tam poznać ze swego ostrego języka. Był w Moskwie, kiedy urządzono konferencję prasową z racji wyprawy podbiegunowej bodaj że Papanina. Po triumfalnych sprawozdaniach dygnitarz Narkomindiełu, prowadzący konferencję, zaczął zbierać komentarze zagranicznych dziennikarzy. Kiedy przyszła kolej na Singera, ten w odpowiedzi zacytował słowa rosyjskiego przysłowia: *Ot charoszej zizni nie uletisz.* ,,Nie odlatuje się od dobrego życia''. Za jednej podróży do Rosji postanowił na własne oczy przekonać się, jak wygląda życie w Birobidżanie. Nie dostał pozwolenia. Mimo to postanowił spróbować szczęścia, wsiadł na pociąg, dojechał, a na wyjezdnym posłał z Birobidżanu kartkę z pozdrowieniami do Narkomindiełu. Teraz przychodziło za to wszystko płacić.

Poznałem go w Ambasadzie Polskiej w Kujbyszewie na jesieni 1941 r., wkrótce po wypuszczeniu go z obozu. Chodził wtedy jeszcze w fufajce, był już siwy, kwękał, utykał, wyglądał starzej nad swoje lata, a nie miał jeszcze pięćdziesiątki, ale ani werwy, ani pasji intelektualnej nie stracił, nie zapomniał też ciętego języka w gębie. Pracowaliśmy razem w Wydziale Prasowym Ambasady. Był tam nieoceniony dla swojej orientacji w sowieckim życiu politycznym, jego problemach i personaliach, a przede wszystkim dla swojej umiejętności czytania prasy sowieckiej. Lektura z nim tych najnudniejszych w świecie gazet była pasjonującą przygodą intelektualną. Dostawaliśmy wtedy wcale obficie prowincjonalne dzienniki. Singer umiał świetnie czytać w nich między wierszami. Jeśli np. gazeta z Mołotowa rozpisywała się numer po numerze o tym, jak Niemcy głodują i jak ludność niemiecka zmuszona jest żywić się szczurami, Singer rozszyfrowywał te wiadomości w ten sposób, że w rejonie Mołotowa jest głód. Relacje ludzi, którzy z tamtych okolic zjawiali się potem w Ambasadzie, potwierdzały słuszność takiego odczytania.

Pozwalał sobie na dużo, zwłaszcza że, jak łatwo się domyśleć, przeżycia więzienne, o których nie lubił mówić, nie nawróciły go do reżymu. Raz zepsuł się u nas telefon. Singer dzwoni do centrali, domagając się przysłania mechanika. O co idzie, pyta się telefonistka. *Podsłyszalnost' charoszaja, no*

słyszalnost' płochaja, ,,Podsłuch dobry, ale słyszalność zła'' — pada odpowiedź.

To był, ostatecznie, jeszcze dość niewinny żart. Gorzej było kiedy indziej, kiedy w Wydziale Prasowym zjawiło się rosłe chłopisko w papasze, przedstawiciel redakcji *Istorik Marksist*. W związku z wizytą gen. Sikorskiego pismo chciało wydać numer, poświęcony stosunkom polsko-rosyjskim. Szło o współpracę polską. Ledwie zdążył wejść, a Singer zaczął sugerować tematy dla numeru: wywiezienie senatorów do Kaługi, Repnin, rzeź Pragi, Murawiew-Wieszatiel... Historyk rosyjski długo u nas nie zabawił i o wydawaniu numeru już więcej mowy nie było.

Nie zapomniał też sztuki złośliwej aluzji, przemyconej tak, aby domyślił się jej czytelnik, a nie zauważył cenzor. W wydawanej przez Ambasadę *Polsce* ogłosił na pierwszą rocznicę wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej artykuł podpisany O.W.R. — co miało oznaczać Oboźnego Wielkiej Rosji — w którym można było o Hitlerze przeczytać, co następuje:

,,Kpił z Rzeczypospolitej Polskiej, nazywając ją niezgrabnym, poronionym dzieckiem Traktatu Wersalskiego. Basowali mu inni z głupoty lub ze strachu. Drwili złośliwie z nowego ośrodka władzy, który powstał na emigracji. Niektórzy otrzeźwieli już teraz. Trzeba było kolejnego łajdactwa Hitlera, aby mogli dojrzeć w całej pełni zbrodnie poprzednie''.

Redaktor *Polski,* Ksawery Pruszyński, mógł dla pisma w każdym momencie i na każdy temat dostarczyć artykułu, ale poza tym w szczegóły redagowania zbytnio się nie wdawał. Podejrzewam, że nie wszystko z tego, co posyłał do druku, czytał. Trudno go zresztą o to winić, bo pismo było z konieczności oficjalnie nudne. Podlegało ono sowieckiej cenzurze, z reguły mikroskopijnej, podejrzliwej i dokuczliwej. Ale to aby ktoś odważył się w Kujbyszewie nawymyślać publicznie władzom sowieckim od głupców i tchórzów, nie mieściło się już w granicach cenzorskiej wyobraźni. Toteż cenzor ustęp ten puścił. A i po ogłoszeniu nie było o ten artykuł żadnej awnatury. Trochę zapewne dlatego, że władze sowieckie miały wtedy i inne zmartwienia na głowie, a przede wszystkim dlatego, że sprawa była dla nich żenująca i że cenzura była sama zainteresowana w tym, aby takiej gaffie nie nadawać rozgłosu.

Stało się rzeczą oczywistą, że przy tego rodzaju fantazji i niewyparzonym piórze Singer powinien jak najszybciej opuścić ZSSR. Po zniknięciu Altera i Erlicha można się było dlań obawiać wszystkiego najgorszego. Postanowiono, że dla bezpieczeństwa opuści Rosję latem 1942 r. wraz z Kotem i partią ludzi mu towarzyszących. Władze sowieckie zabawiły się jeszcze w kotka i myszkę, wstrzymując się z wydaniem jego wizy wyjazdowej do ostatniego możliwego momentu, ale ostatecznie go wypuściły.

Spotkaliśmy się potem w Palestynie. Tam znów służył Kotowi swoją orientacją w bardzo skomplikowanym krajobrazie politycznym żydowskiej Palestyny i ścierał się na ostre ze syjonistami. Wygrażał się im, że po wojnie otworzy w Jerozolimie biuro, wydające affidawity Żydom do Polski i że wielkie ogonki będą przed tym jego biurem stały.

Ale w Palestynie nie został. Dość szybko poleciał do Londynu. Samolotowi jego przyszło zatrzymać się w Lizbonie. Nie miał wizy portugalskiej, ale zawsze ciekaw nowych miejsc i ludzi, postanowił skorzystać z okazji i coś z tej Lizbony zobaczyć. W rezultacie wylądował w więzieniu. Zamknięto go w jednej celi z jakimiś oenerowcami, którzy przemykali się z Polski do Londynu i którzy, nie domyślając się kogo mają za towarzysza, swobodnie i z wyraźną aprobatą rozpamiętywali hitlerowską akcję likwidacji Żydów w Polsce. To przeżycie więzienne było dla niego wstrząsem. W Londynie trzymał się już od emigracji polskiej z daleka. Kiedy przyjechałem tam w 1945 r., nasze stosunki, zażyłe w Kujbyszewie i w Palestynie, już się nie nawiązały. On miał mi za złe związanie się z ,,antysemitami'', ja jemu pokumanie się z reżymową Ambasadą, z którą zresztą w r. 1948 z trzaskiem zerwał. Dziś jest współpracownikiem znanego londyńskiego tygodnika, *Economist'a*.

W *Moich Nalewkach* dawnego Singera-dziennikarza przypominają czasem dygresje, jak np. taka świetna charakterystyka *Kuriera Warszawskiego:*

,,Dziennik widocznie dobrze działał na nerwy. *Kurier Poranny* straszył, donosił o głodzie, o trzęsieniu ziemi; *Kurier Warszawski* pocieszał, uspokajał, usypiał. Był gazetą każdego solidnego domu. Sprzedawano go nie byle gdzie, w porządnym specjalnym kiosku lub u kupca kolonialnego. Czuć go było naftą, ja zaś wyczuwałem trociczki, kadzidło i naftalinę... Mówiono zwykle: Bóg wysoko, Francja daleko. W *Kurierze Warszawskim* Bóg wyzierał z każdej stronicy, a Francja była tuż, tuż. Z korespondencji paryskich mogło się wydawać, że Francja o niczym innym nie myśli, tylko o Polsce. Wsławił imię polskie koń księcia Lubomirskiego: Lira na wyścigach wygrała *Grand Prix*. W Fontainebleau książę Radziwiłł po polowaniu urządził przyjęcie z udziałem deputowanych. Mówiono o wynikach polowania, ale korespondent operował takimi aluzjami, że zdawało się, iż debatowano o wskrzeszeniu Polski. Niejeden gość kawiarniany, czytając korespondencję, dodawał sobie otuchy jak Rzecki w *Lalce*''.

Na ogół jednak panuje w tej książce inny styl: w służbie konkretu, rzeczowy, sprawozdawczy, oszczędny w wyrazie, jak ognia unikający ,,literatury''. Liryzm tej książki nie pozwala sobie na bezpośredni wyraz, ukryty poza rzeczową relacją ma w sobie męską powściągliwość i właśnie przez to działa na czytelnika. Nie ma tu ciągłej narracji. Książka rozbita jest na z pięćdziesiąt krótkich rozdziałków-felietonów. Najwyraźniej autorowi-dziennikarzowi tak łatwiej było się wypowiedzieć.

Książka jest autobiografią na wyrywki, pod koniec nawet mocno na wyrywki, przeplataną scenkami z życia żydowskiej Warszawy. Obejmuje ona lata dzieciństwa i młodości autora, od końca ubiegłego wieku aż po rok 1914. Obfitość realiów, podsuwanych przez usłużną pamięć, talent wydobycia wymownego szczegółu i świetna obserwacja socjologiczna sprawiają, że scenki te są żywe, że je widzimy i słyszymy, a równocześnie mają w sobie duży ładunek poznawczy, doskonale wprowadzają w swoisty i skomplikowany układ stosunków życia na Nalewkach. Coś jak studium socjologiczne w migawkach. Cheder, bożnice, kantory i warsztaty, bogaty dom chasydzki, kawiarnie i herbaciarnie, przekupki na Muranowie, targ na Wołówce, służące i mamki, stróże i policja, pokątni doradcy i lekarze — aż dziw, że tak dużo treści dało się zamknąć na stu siedemdziesięciu stronach tej książki.

Szkicowość scen, język pełen kolokwializmów, czasem po prostu niestaranny, wszystko to na pierwszy rzut oka robi wrażenie rzeczy pisanej odręcznie, bez większych ambicji literackich. Jak ta książka powstała, to już tajemnica autora. Ale przy uważniejszej, powtórnej lekturze uderza przemyślana celowość w doborze szczegółów, a znajdujemy i ustępy, które talentem oszczędnej a żywej ewokacji przypominają Czechowa:

„Przechodziłem na przeciwległą stronę ulicy, gdzie znajdował się hotel Brystol, i kierowałem się w stronę ślimaka na Karowej. W miarę zbliżania się do wiaduktu, dzwony cichły; na dole panował już zupełny spokój. Szept zakochanych, kryjących się pod wiaduktem, zlewał się z szumem drzew. Warszawa z migającymi światłami gazowymi nabierała tu uroku istoty owiniętej woalem".

Singer zaczyna swą książkę od uwag na temat tego, że Nalewki nie dostały się do literatury polskiej. Pisarze polscy poruszający tematykę żydowską, osadzali swe powieści czy nowele na prowincji, przeważnie w małych miasteczkach. Sugeruje, że przyczyną tego była niechęć społeczeństwa polskiego do Nalewek. Ale sprawa nie tłumaczy się tak prosto. W małym miasteczku egzotyka żydowska występowała w czystszej postaci, stosunki układały się prościej, oba światy były wyraźnie przegrodzone.

Nalewki domagały się pisarza, który by miał w sobie coś z pojemności wyobraźni i intelektu Balzaka. Tradycje i style życia polskie i żydowskie zazębiały się tam o siebie w różnych kombinacjach i dawały w rezultacie mnóstwo form pośrednich. Środowisko, w którym sam Singer wyrósł, jest tego doskonałym przykładem. Byli w rodzinie ludzie noszący się krótko, i tacy, co chodzili w kapotach. Ojciec, kupiec-komisjoner, chodził jeszcze regularnie do bóżnicy, ale robił to raczej pro forma. Babka za to bez reszty jeszcze tkwiła w tradycyjnym świecie żydowskim. Rodzina długo nie mogła się zdecydować, gdzie

posłać chłopca na naukę, do szkoły świeckiej czy do chederu. A była to przecież decyzja wyboru nie między ,,lepszą'' czy ,,gorszą'', tańszą czy droższą szkołą, ale między tym, czy dziecko spędzi lata nauki w świecie dziewiętnastego czy trzynastego wieku.

Singera posłano początkowo do chederu. Spędził tam dwa lata. Miał lat osiem, kiedy go przeniesiono do syjonistycznej szkoły z językiem wykładowym hebrajskim. Potem zdał egzamin do wstępnej klasy polskiej szkoły średniej Zgromadzenia Kupców. Dotarł tam do czwartej klasy. Śmierć ojca, trudne warunki w domu, konieczność jęcia się pracy zarobkowej sprawiły, że musiał ją rzucić.

Taka huśtawka różnych tradycyj nie była sprawą łatwą. I największe trudności tkwiły tu chyba nie w przerzucaniu się z jednego języka wykładowego w drugi, w zmianach programu, ale w impoderabiliach, w różnych normach zwyczajowych, zasadach tego co można i co trzeba. Pamiętam jeszcze z lat gimnazjalnych, jak jeden z moich kolegów, który tak jak Singer zaczął od chederu, z iskrzącymi się oczyma, zduszonym głosem, jakim chłopcy zwierzają się z pierwszych swych doświadczeń erotycznych, powiedział mi: ,,Wiesz Wiktor, wczoraj jadłem świnię''. Mały Singer ciężko zapłacił za to, że przyszedłszy pierwszy raz do chederu, na powitanie zdjął czapkę. Potem pobożny wuj kupił mu chasydzką czapeczkę, w której paradował w chederze, ale z której posiadaniem musiał się kryć w domu. Kiedy raz przez roztargnienie wszedł w niej do mieszkania, wybuchła awantura i czapeczka została spalona. Nalewkowskie postscriptum do Carlyle'owskiego *Sartor Resartus*.

A i rezultaty takich przeskoków bywały różne. U jednych cała energia zdawała się wyczerpywać na opanowanie zdradliwych arkanów polszczyzny, nowego obyczaju, świata pojęć. I w ostatecznym wyniku dawało to pewną pustkę duchową, jaką nieraz obserwujemy w Ameryce u dzieci emigrantów, które już wyrosły z jednej tradycji, a jeszcze nie wrosły w drugą. Ale u natur bogatszych i chłonniejszych zostawiały w dziedzictwie ostrość spojrzenia, krytycyzm, nie przyjmujący niczego na wiarę, dojrzałość w stosunku do życia.

Tytułem swej książki Singer jakby dyskretnie usuwał na bok swoją osobę. Chciał przede wszystkim ocalić od zapomnienia świat swego dzieciństwa i młodości, z którego dzisiaj — najdosłowniej — kamień na kamieniu nie pozostał. Ale o wartości tej książki decyduje nade wszystko to, że świat ten pokazany w niej został tak, jak się przełamał w świadomości jego bardzo niezwykłego a równocześnie reprezentatywnego przedstawiciela.

Wiktor WEINTRAUB

Człowiek zagrożony

Mało jest cudzoziemców mających w Polsce tylu przyjaciół co dr Hans Zbinden. W okresie międzywojennym bywał w Warszawie i gościł u Stanisława Vincenza w Rungurskiej Słobodzie, miejscu przeznaczonym do zawierania trwałych i różnorodnych przyjaźni. Niezliczeni Polacy wiedzieli ze słyszenia, że w odległym Bernie mieszka ,,doktor Zbinden'', którego w przejeździe można bez ceremonii odwiedzić.

Nie wiem, czy i pisma jego były równie szeroko znane. Hans Zbinden należy jednak do nielicznych autorów, których żywe słowo warte jest ich pism. Nawet gdyby nie napisał nic zgoła, byłby wybitną osobistością naszych czasów. Zresztą czernienie papieru i czytanie korekt nie było dlań być może nigdy potrzebą, lecz tylko formą wypowiedzi narzuconą przez rolę, jaką papier i druk zajął w naszej cywilizacji. Wszystkie jego książki powstały z odczytów i dyskusji i mają w sobie coś z żywego słowa. Przypuszczam też, że w Europie i Ameryce liczy przynajmniej tyluż przyjaciół i słuchaczy co czytelników.

Dla tych, kto go nie zna, postaram się go krótko opisać. Sylwetka jego jest krępa bez otyłości, odpowiadająca dokładnie temu, co w klasyfikacji kretschmerowskiej nazywa się typem pyknicznym. Twarz ma ogrągłą, oczy ciemne, spojrzenie otwarte i życzliwe. Wśród ludzi czuje się jak ryba w wodzie. Organizm jego nie wytwarza oporów i zgrzytów wewnętrznych, sprawiających że słowa i pomysły większości śmiertelników wydają się ciężkie i niezgrabne. Wie zawsze, co komu należy powiedzieć, a kiedy nie należy nic mówić. Zwracając się do swych kompatriotów przybiera ton poważny, przypominający z daleka ewangelickie kazanie. Do innych mówi lekko i wesoło. Z równą prostotą i swobodą obraca się wśród książek i dzieł sztuki. Na dworze oświeconego despoty byłby nieocenionym doradcą, nieuchwytnym dla zawiści i intrygi. W demokracji współczesnej, wśród mas ludowych przesuwających się powoli po kolumnach cyfr statystycznych, talenty towarzyskie nie mają większego zastosowania. Mogą co najwyżej zapewnić ich posiadaczom pewne luzy, jaką taką niezależność. Różne jednak bywają niezależności. O niezależności Hansa Zbindena powiedzieć można, że była pełna godności i wcześnie zyskała powszechne uznanie. Przez długie lata Hans Zbinden był prezesem związku pisarzy berneńskich, potem zaś ógólnego związku pisarzy szwajcarskich. Przed kilku laty został profesorem historii kultury uniwersytetu berneńskiego.

Kto nie ma zgubnego zwyczaju płynięcia zawsze przeciw prądowi musi zastanawiać się nieraz, dokąd niosą go posuwające się z nim razem masy, jaki jest kierunek ich ruchu. Większość pism Zbindena dotyczy tych zagadnień. Jego wyczucie aktualności i zdolność szybkiego rozpoznania każdej nowej sytuacji sprawiają, że słuchany jest uważnie przez pragnących zorientować się w chaosie historii bieżącej.

Mylilibyśmy się sądząc, że głębokie prądy niosące nas ku przyszłości widoczne są lepiej w krajach nawiedzanych przez przewroty i rewolucje, i że Szwajcaria z jej stałością i ciągłością życia nie jest dobrym terenem do obserwowania tych procesów. Kierowana zamożność i polityka pełnego zatrudnienia wywołały i tam uderzające przemiany. W 1940 w spisie abonentów telefonicznych miasta Berna figurował jeden tylko Zbinden, mianowicie Dr Phil. Hans Zbinden, kierownik artystyczny wydawnictwa Iris i autor omawianej tu książki. W spisie na rok 1960 znajduje się 142 Zbindenów, z czego 13 Hansów. Już ten szczegół daje pojęcie o przesunięciach ludności i zmianach jej trybu życia. Nie brak o tym i innych dających do myślenia wiadomości.

Ostatnia książka Hansa Zbindena (1) traktuje o uczuciu zagrożenia, jakie nie przestaje szerzyć się w Europie Zachodniej, zwłaszcza od kiedy ludność jej została jako tako zabezpieczona od klęsk elementarnych, chorób epidemicznych, głodu, nędzy i bezrobocia. Autor pomija całkowicie groźbę wojny atomowej, zajmując się wyłącznie uczuciem zagrożenia endogenicznym, wynikłym z życia wewnętrznego obecnych pokoleń. Pierwszy rozdział książki mówi o lęku towarzyszącym ich życiu codziennemu, o strasznych bajkach wieku dziecinnego, o obawie przed egzaminami, przed wyborem zawodu, przed małżeństwem, przed odpowiedzialnością w ogóle, przed posiadaniem własnego zdania, przed chorobą, ubóstwem, samotnością, starością i śmiercią. Następny rozdział traktuje o niebezpieczeństwach grożących wolności na skutek pojawienia się „człowieka masowego”, gotowego zamienić wolność na zabezpieczenie swych zarobków i stanu posiadania. Jest to jeden z najciekawszych rozdziałów książki, analizujący choroby, jakim ulega obecnie demokracja nawet w krajach, gdzie władza ludu posiada stare tradycje i zdaje się mieć najsilniejsze przesłanki. W trzecim rozdziale autor zajmuje się uczuciem zagrożenia powstałym z rozwoju techniki i automatyzacji fabryk; w czwartym niepokojem wynikłym z nadmiaru zabezpieczeń.

Nie zdradzę tu żadnej tajemnicy dodając, że autor nie wierzy ani przez chwilę żadnemu z tych niebezpieczeństw. Nie mówi wprawdzie tego sam, można się jednak łatwo domyśleć, że uczucie zagrożenia jest mu zupełnie obce. Niepokoje, lęki

(1) Hans Zbinden. *Der bedrohte Mensch*. Zur sozialen und seelischen Situation unserer Zeit. Str. 309. Francke Verlag, Bern 1959.

i paniki współczesnych opisuje z prostotą i humorem przyrodnika badającego różne typy zachowania się istot żywych. W książce swej nie zajmuje się innymi autorami traktującymi te same i pokrewne zagadnienia. Czytelnik stawiający sobie z przyzwyczajenia pytanie *de fontibus* — o źródłach i poprzednich sformułowaniach każdej myśli — widzi nie bez pewnej rozrywki jak całe stosy przeczytanych książek topnieją w pamięci Hansa Zbindena do kilku przejrzystych zdań. Autor czerpie przede wszystkim z kilkudziesięciu lat własnego doświadczenia wśród ludzi. Stąd zapewne pochodzi świeżość i nowość jego rozważań.

Odrębną jak gdyby całość stanowi rozdział piąty, poświęcony kryzysowi sumienia. Przedmiotem jego jest niepokój zrodzony z wrażenia, że głos sumienia — czy, jak byśmy w niektórych wypadkach powiedzieli, honoru — dochodzi do świadomości naszych współczesnych słaby, odległy, ledwie dosłyszalny. Sposób, w jaki autor, unikając profesorskiej terminologii, wytycza granice swych rozważań i etapy eksploracji niejasnego na pierwszy rzut oka terenu mają w sobie coś mistrzowskiego. Rozdział ten zaliczam bez wahania do najlepszych esejów naszych czasów. Mam wrażenie, że polskim czytelnikom Conrada ta część książki Zbindena dostarczy tematu do licznych refleksji.

Następny, szósty rozdział, traktujący o miłości ojczyzny i przezwyciężeniu nacjonalizmu, jest lekturą przeznaczoną jak gdyby dla emigrantów. Rozważania autora na ten temat wychodzą z odróżnienia, które każdy z nas zna i musiał w jakiś sposób dla siebie przemyśleć. Wypadki oderwały nas mianowicie od ojczyzny pojętej jako twór państwowy, w pamięci naszej pozostało natomiast wciąż żywe wspomnienie ojczyzny jako miejsca pochodzenia. Istnieją więc dwa nie pokrywające się z sobą pojęcia ojczyzny: jedno bliższe, bezpośrednie, konkretne, drugie bardziej oderwane, wyrozumowane, nabyte. Przez mistrzowską analizę tego co daje i co sugeruje znajomość i pamięć miejsc pochodzenia, Hans Zbinden przychodzi do wniosku, że wierność tej ściślejszej ojczyźnie zbliża uczuciowo do innych ludów i krajów, gdy wpajany przez szkoły patriotyzm państwowy oddala od pozostałego świata i skazuje w nim na odosobnienie. Po przeczytaniu tego rozdziału niejeden emigrant poczuje się być może podniesiony na duchu, dowiadując się jak i dlaczego zachowany przezeń w pamięci obraz stron rodzinnych jest najlepszą i najbogatszą wersją ojczyzny.

Jak przystało na książkę streszczająca długie i bogate doświadczenie, ,,Człowiek zagrożony'' kończy się rozdziałem o dobrych sposobach przygotowywania się do pogodnej starości.

Paweł HOSTOWIEC

Nadesłane nowości wydawnicze

BĄCZKOWSKA (Irena). *Podróż do Brailowa.* Str. 231 i 11 nlb. Obwoluta z tytułem „Droga do Brailowa" Janiny Chrzanowskiej. Tom XLV Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", wrzesień 1959, Londyn. Cena 15 sh.).

GIERTYCH (Jędrzej). *Europa w niewoli.* Str. 303 i 3 nlb. Obwoluta Janiny Chrzanowskiej. Tom XLVI Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Kat. Ośr. „Veritas", październik 1959, Londyn. Cena 15 sh.).

SOSABOWSKI (Stanisław, mjr.-gen., C.B.E.). *Freely I Served.* Str. 203 i 4 nlb. plus 2 mapy. W tekście fotografie. Przedmowa gen. Sir. Richarda Gale, G.C.B., K.B.E., D.S.O., M.C. (Nakładem William Kimber and Co., Ltd., Londyn, 29 luty 1960, cena 25 sh.).

ROOS (Hans). *Polen und Europa.* Studien zur polnischen Aussenpolitik. 1931-1939. Tom 7 Tuebinger Studien zur Geschichte und Politik. Str. 421 i 3 nlb. (Wyd. J.C.B. Mohr (Paul Siebeck), Tuebingen, 1957.

DIAMAND (Władysław). *W poszukiwaniu tła, wytycznych i dróg polityki zdrowego rozsądku.* Zeszyt 2. Str. 35. Powielacz. Wydane bez korekty, (grudzień 1959, styczeń 1960, Sao Paulo).

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A. University of Ottawa. *The Epistemological Problems of De-Anthropomorphization of Modern Science.* Str. 58-64. Odbitka z „Proceedings of the American Catholic Philosophical Association" (The Catholic University of America, Washington, D.C., 1959).

ZAJĄC (Józef L, Ottawa). *Z problematyki widzenia przestrzennego.* Str. 127-149. (Nadbitka z Nru 3 „Przeglądu Psychologicznego, Wrocław, 1959).

KOSKOWSKI (Włodzimierz, dr med.) *O starości.* Str. 312. Tom VII Serii Zielonej „Biblioteki Polskiej", z cyklu „Osiągnięcia nowoczesnej medycyny. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, październik 1959, cena 15 sh.).

OBERTYŃSKA (Beata). *Ballada o chorym księżycu.* Str. 84. (Nak. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, listopad 1959).

Pamiętnik Kijowski. Tom Pierwszy. Str. 240. Zawiera opracowania: prof. dr W. Wielhorskiego, prof. dr. W. Kwiatkowskiego, ppłk. dypl. Z. Andrzejowskiego, S. Zielińskiego, S. Sopickiego, K. Prausa, X Glinki oraz przedruki z K.J. Turowskiego „Pism Politycznych ks. Józefa Wereszczyńskiego" oraz z „Kalendarza Kijowskiego" za r. 1913. (Nakładem Koła Kijowian, Londyn, 1959).

BRZĘKOWSKI (Jan). *Start.* Str. 287. Tom XII Londyńskiej Biblioteki Literackiej. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1959, cena 24/6 lub dol. 3.50).

Ideology and Foreign Affairs. (An Analysis of the Principal Ideological Conflicts, Variations Thereon, Their Manifestations, and Their Present and Potential impact on the Foreign Policy of the United States). Str. 118. (Przygotowane przez Committee on Foreign Relations United States Senate by the Center for International Affairs, Harvard University, Grudzień 1959).

PIEKUT (Stanislas). *Sigismondo Krasinski e l'Italia del Risorgimeto.* Str. 183-199. (Wyciąg z „Annali dell'Istituto Universitatio Orientale", Napoli, 1959).

TYRMAND (Leopold). *Zly, l'homme aux yeux blancs.* Roman. Traduit du polonais par Anna Posner. Pp. 384. (Ed. Librairie Stock, Paris, 1960. Prix 13.50 NF).

DOMS (Julius Dr). *Das Weltfluechtlingsjahr und die deutschen Heimatvertrieben.* Vortrag gehalten auf einer Kundgebung des Bundes der Vertrieben in der Stadthalle zu Rheydt am 13 November 1959. Str. 15. (Wyd. Kammwegverlag, Troisdorf vor Bonn, styczeń, 1960).

SŁAWOJ SKŁADKOWSKI. *Kwiatuszki administracyjne i inne.* Str. 592. T. XI Londyńskiej Biblioteki Literackiej. Winieta tytułowa T. Terleckiego. Obwoluta D. Laskowskiej. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1959, cena 35 sh., lub dol. 5).

Biographische Angaben opr. ROOS (Hans). Str. 722-742. (Odbitka z „Polen". (Wyd. Boehlau Verlag, Koeln Graz, 1959).

GUENTHER (Oskar Eugen). *Die Organisation der Jugend. Die Hochschulen.* Str. 540-563. (Odbitka z „Polen", wyd. Boehlau Verlag, Koeln Graz, 1959).

MAAS (Walter). *Das Schulwesen.* Str. 544-551. (Odbitka z „Polen", Boehlau Verlag, Koeln Graz, 1959).

Pour la Liberté et le Socialisme. Union Socialiste du Centre-Est de l'Europe 1949-1959. Pp. 42. (Vari-typer).

LEWICKI (Tadeusz). *Les ibadites en Tunisie au Moyen Age.* Str. 16 i 2 mapy. Odczyt wygłoszony dnia 17 lutego 1958 r. w Akademii Polskiej w Rzymie. (Wyd. jako zeszyt 6 Angeli Signorelli Editore, Roma).

KOTARBIŃSKI (Tadeusz). *La logique en Pologne. Son originalité et les influence étrangères.* Str. 24. Odczyt wygłoszony w dn. 15 kwietnia 1959 w Akademii Polskiej w Rzymie. (Wyd. jako Zeszyt 7 Angelo Signorelli Editore Roma).

KOSCHMIEDER (Erwin). *Wissenschaft und Forschung.* Str. 567-578. (Odbitka „Polen", Wyd. Boehlau Verlag, Koeln Graz, 1959).

JAWORSKI (A.). Internationale Route Air Navigation Facilities and Services — its financial Aspect from a Canadian Point of View. Str. 137-157. Odbitka z „The Journal of Law and Commerce, Vol. 26, Spring, 1959, N° 2.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

,,Kultura" płynie do Australii około 6-7 tygodni, więc dopiero niedawno temu otrzymałem numer grudniowy, w którym (AV), recenzując pracę ks. M. Hrynczyszyna, pisze o aktualności Szeptyckiego. Ponieważ temat jest naprawdę interesujący i ważny, a wydaje się mi, że mogę tu dorzucić coś mało znanego, przeto proszę uprzejmie o łaskawe zamieszczenie poniższego listu. Chciałbym opisać audiencję u nieżyjącego już ks. Prymasa Hlonda w Hautecombe, podczas której to audiencji w rozmowie m.in. na temat metropolity halickiego i arcybiskupa lwowskiego obrządku grecko-katolickiego padły z ust Prymasa znamienne słowa.

Przez kilka miesięcy na przełomie lat 1943-44 Prymas ukrywał się w klasztorze Hautecombe w Sabaudii, niedaleko Aix-les-Bains, po drugiej stronie Lac du Bourget. Tam to udała się delegacja Polskiej YMCA we Francji i została serdecznie przyjęta przez Prymasa. Otoczenie Jego stanowili księża Filipiak i Baraniak (jeden to dziś w Rzymie audytor Wielkiej Roty, drugi arcybiskup gnieźnieńsko-poznański). Grupę imkarzy, udających się do Prymasa z zażaleniem na niektórych kapłanów polskich w nieokupowanej (wówczas nota bene j u ż okupowanej) Francji, którzy utrudniali robotę YMCA w obozach i kompaniach pracy wymyślając nam od masonów, stanowili: prezes YMCA we Francji Zdzisław Woydat, kierownik terenowy Władysław Czyżkowski (młody historyk i b. hokeista Warszawianki), Władysław Kawałkowski (nic wspólnego z konsulem, prawdziwe nazwisko Dudek, zamęczony potem przez Gestapo w Gdańsku) i kierownik działu wydawnictw nielegalnych, czyli niżej podpisany. Nieporozumienie szybko wyjaśniono i uzyskaliśmy od Prymasa obietnicę, że wpłynie na tych niechętnych nam księży, co wkrótce już dało się odczuć.

Audiencja trwała dość długo, a Prymas wypytywał się z troską o naszą pracę w świetlicach i obozach, o niebezpieczeństwa (byłem już po więzieniu Gestapo), nastrój był serdeczny, że zaś w powielaczowej ,,Służbie", wydawanej nielegalnie swego czasu przez Marię Winowską w Tuluzie, pisywał był Prymas pod pseudonimem Krzysztof Śmieć i czytał tam jakieś moje dwie rzeczy, przeto łaskawie i z ożywieniem rozmawiał ze mną o tym piśmie, o przerwanych studiach i rodzinie, skąd rozmowa zeszła zaraz na Lwów. Stąd na Szeptyckiego. Prymas powiedział:

,,Ksiądz Arcybiskup Szeptycki to wielki i świątobliwy człowiek. Przez Jego ręce przepływają znaczne fundusze Stolicy Apostolskiej nie tylko na pomoc dla Duchowieństwa polskiego, nie tylko dla Żydów, których sporo ukrywają klasztory grecko-katolickie, ale i dla polskiego ruchu oporu, czyli Armii Krajowej. Oprócz pieniędzy Watykanu na te trzy cele tą drogą dochodzą i inne, skądinąd. Księdza Arcybiskupa Szeptyckiego spotkała ze strony Polaków niejedna małość i krzywda, tym godniejsze podkre-

ślenia jest Jego dzisiejsze stanowisko. To wielki i świątobliwy człowiek. Zdziałał i działa wiele dobrego".

Po chwili zadumy dodał:

,,Tak, nie umieliśmy prowadzić mądrej polityki wobec Ukraińców, owocem tego są tragiczne i bratobójcze rzezie na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Może kiedyś oba narody lepiej zrozumieją swe błędy i głębiej odczują wspólność losu...".

Ze swej strony dorzucę, że we Lwowie na przełomie roku 1939-40 wiedziano, iż w Katedrze Św. Jura Metropolita przechowywał swego bratanka, a kapitana Wojsk Polskich, wraz z grupką kolegów. Kpt. Szeptyckiego Rosjanie niedługo potem aresztowali. Jednak pomimo nieprzyjemności ze strony władz NKWD Metropolita nie zaprzestał udzielania pomocy oficerom polskim.

W kilka miesięcy po naszej audiencji Gestapo aresztowało Prymasa i — jak dziś wiemy — wywiozło do Bar-le-Duc, gdzie miał odrzucić później wielokrotne propozycje utworzenia rządu polskiego w Kraju pod Jego przewodnictwem. Sam moment aresztowania Prymasa (mieszkałem wówczas w Aix-les-Bains) wart jest upamiętnienia:

Pluton wojska okrążył klasztor, a trzech oficerów Gestapo zgłosiło się do Prymasa i zakomunikowało Mu, że jest aresztowany. Przyjął to spokojnie i powiedział:

,,Za pół godziny będę do panów dyspozycji".

Najstarszy z nich (bodajże płk. Ratzek z Lyonu) zaprotestował i nie zgodził się, aby Prymas sam udał się do swych apartamentów.

,,Panowie, jak powiedziałem, tu zaczekają, ze mną uda się tylko mój kapelan".

Tyle było godności i siły w głosie i wzroku aresztowanego, że Ratzek ustąpił. Prymas udał się na górę i po jakichś czterdziestu minutach zszedł na dół, trzymając w ręce małą walizeczkę.

Podobną godnością i pańską wyniosłością wobec zbrodniarzy odznaczał się i Szeptycki. Rosjanie nie poważyli się podnieść ręki na Niego.

Widziałem Go raz w Jego majątku w Podlutem koło Broszniowa kiedy niesiono chorobą złożonego starca w lektyce. W tej twierdzy wojującego ukrainizmu, stałem, wyszedłszy z restauracji stanowiącej własność Kurii Arcybiskupiej, w mundurze harcerskim. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem swymi przenikliwymi oczyma, uśmiechnął się i skreślił w powietrzu znak Krzyża. Już wtedy pomyślałem, że takie oczy musieli mieć święci. Gdyby kanonizacja Szeptyckiego doszła do skutku, byłby orędownikiem zbliżenia polsko-ukraińskiego.

Łączę wyrazy poważania i dziękuję za zamieszczenie listu.

Andrzej CHCIUK

◆

Londyn, dnia 13.2. 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Skoro ,,Kultura" udzieliła swych łamów dla polemiki p. Jennego ze mną, proszę o umożliwienie mi dania mu odpowiedzi na tych samych łamach. P. Jenne przypisuje mi poglądy, których nigdy nie wyznawałem i nie głosiłem. Nie potępiałem młodzieży rewizjonistycznej ani oficjalnie ani nieoficjalnie, ani podczas jej najcięższych walk ani też przedtem czy potem. Odwrotnie, nazwałem rewizjonistów (w ,,Robotniku" z czerwca

1957) najideowszym i najinteligentniejszym składnikiem obozu polskiego października, co chyba nie brzmi jak potępienie. Nie wystosowywałem żadnego apelu do rewizjonistów w kraju, w ogóle uważam wszelkie apele z emigracji do kraju za niepotrzebne i drażniące. Polemizowałem nie z rewizjonistami, lecz z p. Mieroszewskim, z jego artykułem o rewizjonistach w „Kulturze" z października 1958. W polemice tej (w „Robotniku", również z października 1958) musiałem zacząć od ustalenia terminologii. Nic na to nie poradzę, bo tak już jest, że rewizjonizm z końca XIX stulecia oznaczał spór wewnątrz socjaldemokracji, zaś rewizjonizm współczesny oznacza rozłam wśród komunistów; oczywiście, mówiąc o rozłamie niekoniecznie mam na myśli formalną tj. organizacyjną stronę zagadnienia, gdyż „tam" istotnie prawidła gry są inne niż w wolnym świecie. Nigdy nie uważałem Gomułki za rewizjonistę; ostrzegałem (w „Robotniku" z grudnia 1956), że Gomułka w słowie i czynie stoi na gruncie tzw. demokracji ludowej, tzw. dyktatury proletariatu i monopolu partii komunistycznej na klasę robotniczą i że bynajmniej nie zamierza wyprowadzić Polski z orbity sowieckiej. Nigdy też nie stawiałem na Październik „najbardziej oficjalny, albo co jeszcze gorsze — reakcyjny". Pisałem (w „Robotniku" z grudnia 1956), że „wydarzeniem największej wagi w całym okresie powojennym w Polsce nie jest powrót Gomułki do władzy, lecz powrót klasy robotniczej do wiary w samą siebie i w swoje siły; punktem zwrotnym w dziejach powojennych całej Europy wschodniej, nie tylko Polski, było powstanie robotników poznańskich".

Dojście do porozumienia z p. Jenne nie jest możliwe, bo on uważa socjaldemokratyzm (termin ze słownika leninizmu i stalinizmu) za nieszczęście a ideę socjalizmu demokratycznego za rupieć, ja zaś nadal jestem zdania, że podać rękę rewizjonistom z emigracji możemy tylko w jeden sposób: „dopomagając im do dalszej ewolucji ideologicznej w kierunku socjalizmu demokratycznego i pracując w wolnym świecie nad wytworzeniem warunków, w których możliwe będzie w Polsce zbudowanie demokracji i demokratycznego socjalizmu" („Robotnik" z października 1958). Wcale z tego nie wynika, że chodzi o wzięcie rewizjonistycznej młodzieży polskiej pod komendę emigracji, w ogóle nikogo w kraju nie należy brać pod komendę emigracji. Wcale też z tego nie wynika, że nie dostrzegam „innych wiar i religii na przedpolu".

P. Jenne pisze pod moim adresem: „Właśnie wtedy (dwa i pół lata temu) trzeba było stanąć przy młodzieży, a nie — jak zawsze — wydawać mylne oceny i mylne sądy wartościujące". Przejrzałem na nowo wszystko, co na temat sytuacji w Polsce powiedziałem publicznie lub napisałem w okresie od początków roku 1956, zwłaszcza w artykułach wstępnych „Robotnika" i widzę, że moje oceny i moje przewidywania nie były mylne; rozwój wydarzeń w Polsce potwierdził je całkowicie. Kto chce, może sprawdzić w rocznikach „Robotnika".

Łączę wyrazy uszanowania.

Adam CIOŁKOSZ

◆

Drogi Jerzy,

W ostatnim numerze Londyńczyk słusznie i rzeczowo porusza sprawę wydrukowania w „Encounterze" angielskiego tłumaczenia opowiadania Terca, wydanego w ramach „Biblioteki „Kultury", konstatując nieprzyzwoi-

tość przemilczenia źródła skąd opowiadanie otrzymał. Znajduję jednak w tej notatce zdanie następujące:

,,Gdyby z ,,Free Europe'' z ,,Kongresu Wolności Kultury'' i dziesiątka innych instytucji usunąć jednego dnia emigrantów wschodnio-europejskich ten wielki *show business* trzeba by tego samego dnia zamknąć''. Pomijając już sens zdania, niesłuszny jeżeli chodzi o Kongres, co znaczy *show business* — przedsiębiorstwo widowiskowe czy interes widowiskowy?

Nie mając żadnego wpływu na linię polityczną ,,Kultury'' chciałbym tu zaprotestować przeciwko tego rodzaju określeniu Kongresu jak i Free Europe, której działalność ma zresztą inny zakres i inne cele. Londyńczyk nie może nie wiedzieć, jeżeli chodzi o Kongres, bo jakże często drogi ,,Kultury'' przez ostatnie dziesięć lat się z drogami Kongresu zbiegały, co Kongres dokonał. Powstał on w okresie, kiedy środowiska lewicowe na świecie były zmajoryzowane przez oportunistów: ZSSR i wszystkie kraje w jego sferze wolno było widzieć jedynie przez różowe okulary, mówić o obozach sowieckich, o gwałtach, czy asfikcji moralnej w krajach tak czy inaczej podległych Rosji Sowieckiej to był crimen przeciw Historii przez duże H. Kongres którego głównymi wówczas inspiratorami byli ekskomunista Koestler i ekstrockista Burnham od pierwszej chwili przełamał to tabu. Kongres *poderwał* intelektualistów, pisarzy od katolików do skrajnych lewicowców do wspólnej akcji, do wypowiedzi w dziedzinie kultury, myśli rzetelnej *przeciw* wszelkim totalizmom, stworzył na świecie trybuny gdzie się mogli wypowiadać: ,,Preuves'', ,,Monat'', ,,Tempo Presente'', ,,Quadernos'' a teraz pisma, broszury, seminaria na całym świecie od Argentyny po Indie i Japonię.

Z pism Kongresu jedynie ,,Preuves'' znam bliżej, wiem jednak, że nie stanowi wyjątku. Pismo francuskie chyba w Paryżu najciekawsze, bo najmniej ,,prowincjonalne'' jeżeli chodzi o sprawy społeczne czy dzisiejsze problemy polityczne i nie wyłącznie literackie jak na przykład świetna ,,Nouvelle Revue Française''. Nie wiem który miesięcznik może się tu poszczycić taką ekipą jak Bondy, Carat, Bloch Michel, R. Aron, Grenier czy Jeleński, ludzi utalentowanych, rzetelnych i niezależnych.

W pismach Kongresu więcej niż w innych, odpowiedzialniej niż w innych piszą o krajach za kurtyną, one również dają możność, gdy tylko się da, wypowiedzi intelektualistom pisarzom z naszych krajów.

Wspominam tylko skrawek działalności Kongresu, ale dla człowieka, jak Londyńczyk, który nie lekceważy spraw kultury i myśli — nazwać te akcje *show business* zdaje mi się lekkomyślną i krzywdzącą pomyłką.

Józef CZAPSKI

◆

Drogi Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze ,,Kultury'' Londyńczyk pisze: ,,Gdyby z Free Europe, Kongresu Wolności Kultury i dziesiątka innych instytucji usunąć jednego dnia emigrantów wschodnio-europejskich, — ten wielki ,,show-business'' trzeba by tego samego dnia zamknąć''.

W przeciwieństwie do Free Europe, wschodnia Europa nie jest terenem działania Kongresu, ani nawet głównym przedmiotem jego zainteresowań. W sekretariacie międzynarodowym Kongresu Wolności Kultury jestem jedynym ,,emigrantem wschodnio-europejskim'' i mogę Londyńczykowi zaręczyć że nie czuję się tam w roli Atlasa. ,,Kultura'' często pisała

o różnorodnych akcjach Kongresu, a ostatnio ogłosiła list jego sekretarza generalnego, Nicolas Nabokova, skierowany do ,,Polityki", a przez to pismo zamieszczony w formie zniekształconej, o organizacji, środkach i celach działania Kongresu. Niech mi wolno będzie przypomnieć że Kongres stawia sobie za główne zadanie stworzenie szerokiej międzynarodowej platformy intelektualnej, która by umożliwiła nowe podejście do zagadnień społecznych, politycznych, kulturalnych drugiej połowy XX wieku, w stosunku do których odziedziczone z XIX wieku ideologie okazują się często kluczem niewystarczającym. Temu celowi służą wydawane przez Kongres miesięczniki, komitety narodowe grupujące uczonych i pisarzy krajów wszystkich kontynentów, cykl międzynarodowych seminariów. Kongres nie wypowiadał się nigdy za taką czy inną formą ustroju politycznego, gospodarczego czy społecznego, protestując jedynie przeciw prześladowaniu grup społecznych oraz uciskowi zmysłu krytycznego i swobody twórczej w jakimkolwiek ustroju by się one przejawiały.

Pretensja Londyńczyka do redakcji ,,Encounter" jest słuszna. Opowiadanie Terca ukazało się jednak również w innych miesięcznikach wydawanych przez Kongres Wolności Kultury, które nie tylko podały copyright Kultury, ale szerzej komentowały pierwodruk ,,Kultury" i wstęp Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Skąd zatem tak do Londyńczyka nie pasująca myśl że ,,Kultura" uważana jest za pismo poślednie, a ,,emigranci wschodnio-europejscy" za ludzi drugiej klasy? Zwykle tak uniwersalny, Londyńczyk zagalopował się chyba tym razem na ,,słoniu od Sprawy Polskiej".

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów szacunku

K. A. JELEŃSKI

◆

Szanowny Panie Redaktorze!

W ,,Listach z Polski" (,,Kultura", nr 147-148) dwukrotnie poruszana jest sprawa tzw. kryzysu mięsnego. Nie jestem ekonomistą, a z mięsem spotykam się tylko na płaszczyźnie handlu detalicznego, nie mówiąc oczywiście o konsumpcji. Chciał natomiast przypadek, że niedawno rozmawiałem z przybyszem z kraju, osobą ,,wysoko postawioną" na drabinie gospodarki państwowej. Jego interpretacja kryzysu mięsnego brzmiała następująco: Chłop w Polsce nie oszczędza, w zachodnim znaczeniu tego słowa. Nie odkłada do banku, czy do pończochy. Produkuje tyle, by móc zakupić potrzebny sprzęt gospodarski, sprzęty domowe, ubranie, itd. Zdaniem mego rozmówcy, jeśli chodzi o artykuły osobistego użytku, rynek wiejski jest nasycony (ogromną pokupnością cieszą się na wsi pralki elektryczne, gdyż okazało się, że nadają się znakomicie do wyrobu masła). Chłop żyje dobrze. Możliwości inwestowania w gospodarstwo, to inna sprawa. Tu chłonność rynku wiejskiego mogłaby być w praktyce nieograniczona, pobudzając chłopa do zwiększenia swojej siły nabywczej, drogą zwiększenia produkcji (między innymi mięsa). Ale Gomułka w jednym ze swoich przemówień (zdaje się na ostatnim plenum C.K.) wspomniał, dość zresztą oględnie o możliwości powrotu do kolektywizacji gospodarstw wiejskich. Ten nowy kierunek wiatru (czy też powrót do starego) został natychmiast podchwycony przez wieś, która ma na te sprawy nos bardzo wyczulony, a u której pojęcie dobra zbiorowego jest jeszcze raczej mgławicowe, daleko pod tym względem pozostając w tyle za miejską sferą robotniczą. Tak tedy chłop, przewidując że w niedalekiej przyszłości jego pług może prze-

stać być ,,jego", przestał na zakup tego pługa odkładać, jego doraźne zapotrzebowanie na pieniądze spadło i co za tym idzie zmniejszył produkcję, powiedzmy, o ileś tam świń rocznie. Tych, nowym wiatrem wystraszonych świń zabrakło na rynku. Rezultat: kryzys mięsny. Nie będąc ekonomistą i nie mieszkając w Polsce, nie zabieram głosu w tej sprawie. Pragnę tylko podzielić się z czytelnikami punktem widzenia osoby ,,wysoko postawionej".

J. R.

◆

Londyn, dnia 1 lutego, 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

W ,,Kulturze" z grudnia 1959 pułkownik Leon Mitkiewicz wypowiada pogląd, że na przełomie lat 1938-39 istniała możliwość zawarcia porozumienia pomiędzy Polską, Związkiem Sowieckim, Państwami Bałtyckimi (Estonia, Łotwa, Litwa), Czechosłowacją i Mocarstwami Zachodnimi przeciwko agresji Niemiec hitlerowskich. W tym czasie płk. Mitkiewicz był attaché wojskowym w poselstwie polskim w Litwie. Z deklaracją o potrzebie takiego układu wystąpił do niego w połowie grudnia 1938 roku sowiecki attaché wojskowy w Kownie. Oficer sowiecki z naciskiem podkreślił, że warunkiem *sine qua non* porozumienia i układu polityczno-wojskowego między Rosją a Polską jest wyrażenie przez Polskę zgody na prawo natychmiastowego wkroczenia wojsk rosyjskich na terytoria Państw Bałtyckich przy pierwszych oznakach agresji niemieckiej i na prawo przemarszu wojsk rosyjskich ,,przez obszary Wilno i Lwów".

Wywody sowieckiego attaché wojskowego trafiały do przekonania płk. Mitkiewiczowi. Był on pod wrażeniem tego wystąpienia i przypisywał mu duże znaczenie. Niezwłocznie raportował o tej rozmowie do Sztabu Głównego w Warszawie, jednakże Sztab nie reagował na te jego raporty i nie nadsyłał mu instrukcji do dalszej rozmowy z sowieckim attaché wojskowym. Ale obok tego pisze, że w drugiej połowie grudnia 1938 roku był w Warszawie i konferował zarówno z Szefem Sztabu Głównego, jak i z szefem oddziału II Sztabu Głównego. W rozmowach tych nie mógł być i nie był pominięty temat, któremu płk. Mitkiewicz nadawał tak wielką wagę. Otrzymał więc płk. Mitkiewicz w czasie swej bytności w Warszawie instrukcje ustne.

Sztab Główny miał stokroć więcej elementów niż płk. Mitkiewicz do oceny sowieckich wystąpień politycznych i nie uważał za pożyteczne podtrzymywanie przez płk. Mitkiewicza dalszej rozmowy z sowieckim attaché wojskowym na temat owego polsko-sowieckiego porozumienia, do którego mogłoby jakoby dojść pod warunkami wysuniętymi ultymatywnie w stosunku do Polski przez sowieckiego reprezentanta. Płk. Mitkiewicz był nie dość gruntownie zorientowany w tym skomplikowanym i drażliwym zagadnieniu, a i wyrobienia w rozmowie z sowieckim attaché wojskowym nie wykazał, gdyż pospiesznie przyznał jego wywodom słuszność, wypowiadając wobec niego swoje własne, jak pisze ,,osobiste" przekonanie. Będąc oficjalnym polskim reprezentantem wojskowym nie miał do tego prawa.

Wiosną 1938 roku płk. Mitkiewicz został wyznaczony przez marszałka Śmigłego-Rydza na stanowisko attaché wojskowego w Litwie. Otrzymał wtedy instrukcje, które zawierały ocenę aktualnego położenia politycznego i wojskowego, zarówno pod kątem zagrożenia niemieckiego jak i niebez-

pieczeństwa ze strony sowieckiej. Instrukcje określały stosunek Polski do Państw Bałtyckich i linię postępowania naszego wobec tych państw, podlegających tym samym co Polska zagrożeniom. Zadaniem płk. Mitkiewicza było współdziałać w ułożeniu świeżo nawiązanych pomiędzy Polską i Litwą stosunków w kierunku przyjaznej, sąsiedzkiej współpracy, a więc takich stosunków, jakie mieliśmy z Estonią i Łotwą. Oczywiście, płk. Mitkiewicz powinien był zapoznawać się z opiniami akredytowanych w Kownie wojskowych przedstawicieli innych państw, ale nie miał prawa wypowiadać w rozmowach z nimi żadnych swoich osobistych poglądów na tematy związane z jego zadaniami służbowymi, a cóż dopiero na tematy politycznie ważkie, trudne i drażliwe. Wobec przedstawicieli państw obcych mogła być ujawniana tylko jedna polska opinia oficjalna, a nie żadne poglądy ,,osobiste". Płk. Mitkiewicz musi sobie chyba zdawać sprawę z absurdalności sytuacji, która zaistniałaby, gdyby polscy przedstawiciele dyplomatyczni, a więc i attachés wojskowi, wypowiadali nieuzgodnione z władzami kierowniczymi i nieautoryzowane przez te władze swoje własne poglądy na aktualne zagadnienia polityczne.

Wysunięcie przez sowieckiego attaché wojskowego w Kownie konieczności sowiecko-polskiego porozumienia w ramach szerszego koalicyjnego układu mogło być dla płk. Mitkiewicza czymś nieoczekiwanym i zaskakującym. Użyty przy tym motyw o potrzebie zapobieżenia wojnie był widocznie tak uderzający, że płk. Mitkiewicz potraktował całe wystąpienie pod znakiem tego motywu. Żądanie sowieckie uzyskania zgody Polski na wkraczanie na terytoria Polski i Państw Bałtyckich płk. Mitkiewicz traktował jako techniczne zagadnienia wykonawcze w realizacji wielkiej koncepcji. W rzeczywistości sztabowi sowieckiemu chodziło przede wszystkim o uzyskanie tych polskich upoważnień. Sowiecki attaché w swym wystąpieniu z naciskiem to podkreślał.

Sprawa uzyskania zgody Polski na przemarsz wojsk sowieckich przez tereny polskie była po raz pierwszy wysuwana w latach 1934-35, w czasie gdy Hitler po dojściu do władzy zlikwidował współpracę niemiecko-sowiecką, która poprzednio przez długie lata trwania układu zawartego w Rapallo bujnie się rozwijała, zwłaszcza w dziedzinie wojskowej. W tamtym okresie negocjowania tzw. ,,Paktu Wschodniego", który był inicjatywą francuską, Polska odmówiła swej zgody na udzielenie Rosji prawa przemarszu, gdyż przekreślałoby to jej linię polityczną, polegającą na układaniu i utrzymywaniu równomiernych stosunków sąsiedzkich zarówno ze Związkiem Sowieckim jak i z Rzeszą. Z oboma tymi państwami Polska zawarła pakty o nieagresji. Te same przesłanki, motywujące ówczesne odmowne polskie stanowisko, trwały jeszcze i na przełomie lat 1938-39. Ze względów zasadniczych Polska nie mogła wydawać Państw Bałtyckich na zbrojną okupację sowiecką, ani namawiać tych państw do uległości wobec takiego żądania sowieckiego.

Jeśli w okresie rozmów z sowieckim attaché wojskowym w Kownie płk. Mitkiewicz mógł ulegać wrażeniu, że Rosji istotnie chodzi o obronę pokoju i że nie chce ona dopuścić do wojny, to dzisiaj, po przeszło dwudziestu latach od chwili tych rozmów i na podstawie wielu doświadczeń, nie powinien mieć tych złudzeń. Wszak w roku 1939 Moskwa w trakcie prowadzenia rozmów z misją angielsko-francuską w sprawie zawarcia paktu o wzajemnej pomocy na wypadek agresji niemieckiej, zawarła układ z Hitlerem i nie tylko podpisała z Niemcami umowę o nieagresji, ale i ułożyła się też co do rozbioru Polski zlikwidowania niepodległości Państw Bałtyckich. Ta ugoda Rosji z Niemcami była Hitlerowi potrzebna i dała mu wolną rękę do rozpoczęcia wojny.

Nie zamierzam zajmować się innymi momentami wspomnień płk. Mitkiewicza, ani też przytaczanymi przez niego jakimiś nieistotnymi strzępami rozmów ze mną, ale nie chcę pominąć dotyczącej mnie nieścisłości w kalendarzu tych wspomnień.

Listopad i grudzień 1938 roku przeznaczone były na oddanie przeze mnie obowiązków szefa oddziału II Sztabu Głównego memu następcy płk. Józefowi Smoleńskiemu. Z powodu wyjazdu do Paryża na konferencję z szefami służby informacyjnej sztabu francuskiego zdawanie służby przeciągnęło się do połowy stycznia 1939. Po piętnastym stycznia nie byłem już szefem oddziału II. Więc w dniu piątym maja 1939, gdy płk. Mitkiewicz był w Warszawie w związku z zapowiedzianą wizytą generała Rastikisa, to płk Smoleński nie „właśnie" objął szefostwo oddziału II, lecz był już szefem oddziału od pięciu miesięcy.

Tadeusz PEŁCZYŃSKI



Monachium, 9 marca 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Zdziwiła mnie niezmiernie apologia komunizmu na stronicach „Kultury" (nr 3/149, 1960, str. 104). Szanowny Pan Londyńczyk dopatruje się w komunizmie — w przeciwieństwie do hitleryzmu — wysokich wartości ideologicznych i etycznych. Widzi w nim i solidne teoretyczne podstawy, i uczciwe dążenie do sprawiedliwości społecznej, i nawet... chrześcijańskie zasady. Dzięki tym właściwościom — pisze autor „Kroniki angielskiej" — komunistyczna przeszłość nie jest uważana na Zachodzie za plamę, podczas gdy przynależność do obozu nazistowskiego dyskwalifikuje na zawsze.

Nie sądzę, jakoby ta podwójna miarka, stosowana przez zachodnie demokracje do dwóch jednakowo barbarzyńskich i jednakowo nikczemnych systemów, miała swą przyczynę w intelektualnej i moralnej wyższości komunizmu. Przyczyny czapkowania przed ex-komunistami i nawet przed obecnymi watażkami komunizmu leżą gdzie indziej.

Hitlerowcy mówili prosto z mostu: „My jesteśmy Herrenvolk, a wy należycie do rasy Untermensch'ów. Nam potrzebny jest Lebensraum, więc wasze narody skazane są na zagładę. Żydzi są główną przyczyną wszelkiego zła, więc wymordujemy ich bez litości". Jakież to było obrzydliwe, jakie irytujące! Nikt tego nie mógł znieść. Toteż wszyscy ich nienawidzili.

Inaczej komuniści: „My pragniemy pokoju, wolności i szczęścia dla wszystkich. Pragniemy zgodnego współżycia wszystkich narodów. U nas panuje wolność słowa, wolność wyborów, wolność religii. Potępiamy wszelki wyzysk, wszelką niesprawiedliwość. Budujemy raj na ziemi. Realizujemy, po raz pierwszy w dziejach ludzkości, doskonały ustrój społeczny, oparty na zasadach równości, wolności i braterstwa". I powtarzali swą frazeologię tak długo, dopóki nie doprowadzili naprzód do znieczulenia, a następnie do zaniku na Zachodzie zmysłu moralności i zdrowego rozsądku. Ludzie przestali wierzyć faktom, a wierzyli propagandzie. Ignazio Silone nazwał tę niezdolność rozróżniania pomiędzy sloganem a rzeczywistością w Związku Sowieckim jurydycznym kretynizmem, „il cretinismo giuridico".

Ale na tym nie koniec. Bolszewickie kłamstwa i krętactwa, wiarołomstwa i oszustwa, nazywanie białego czarnym i czarnego białym, krótko mówiąc cała komunistyczna retoryka, która od czterdziestu lat deprawuje i ogłupia Zachód, — to nie wszystko. Do komunistycznej propagandy proszę dodać działalność piątych kolumn we wszystkich krajach demokratycznych. Proszę nie zapominać o zgrajach ,,progresistów" i fellow-travellerów wszelkiego rodzaju, ani o międzynarodowych snobach, zachłystujących się z zachwytu krainą socjalizmu. Malcolm Muggeridge pisał już w 1933 r. o ,,imbecilic foreign admirers" Związku Sowieckiego. Jeszcze Litwinow przekonał demokratycznych mężów stanu, że jedynym niebezpieczeństwem dla demokracji, wolności i pokoju jest ,,faszyzm". (Za przykładem komunistów zachodni lewicowcy używają terminu ,,faszyzm" na określenie wszelkiego prawego totalitaryzmu, a nawet wszelkiego antykomunizmu). Była to era frontów ludowych, era paktów przyjaźni i nie-agresji, era sukcesów komunizmu w polityce i dyplomacji, ukoronowanych wpuszczeniem Związku Sowieckiego do Ligi Narodów i nawiązaniem z nim stosunków dyplomatycznych przez Amerykę. Równocześnie był to szczytowy punkt zachwytu ,,głupawych adoratorów zagranicznych". Ludzie uwierzyli słowom, ślepi byli na fakty.

Nikogo to nie żenowało, że właśnie w tym samym czasie komuniści, aby złamać opór chłopów ukraińskich przeciw kolektywizacji, zamordowali na Ukrainie sztucznie wywołanym głodem kilka milionów ludzi. Może 10, może 8, a może ,,tylko" 6 milionów. Nikt nie zna dokładnej cyfry. Zachód mógł udawać, że nic o tym nie wie, bo rząd sowiecki faktowi głodu kategorycznie zaprzeczał. Albo inny fakt. Kiedy bolszewicy rozstrzeliwali masowo wrogów ludu, jak np. w Winnicy w r. 1938, to gwoli sprawiedliwości społecznej zabijali oprócz burżujów także chłopów i robotników. O egzekucjach nikt nie wiedział: ludzie ginęli, jak kamień w wodę. Ziemię na grobach udeptali równiutko, posadzili tam drzewka i kwiatki i zrobili ,,park kultury". Na tym samym miejscu, skąd po pięciu latach wydobyto ze wspólnych mogił 9.432 ludzkich zwłok, ustawiono huśtawki i karuzele dla dzieci. Przyjeżdżali do Winnicy zagraniczni postępowcy, zwiedzali park kultury i podziwiali pieczołowitość rządu sowieckiego o wychowanie dzieci, oparte na ,,wielu zasadach słusznych, zaczerpniętych bezpośrednio z Chrześcijaństwa". A oto jeszcze jeden przykład, świadczący o wysokim poziomie komunizmu. Jak zlikwidowali bolszewicy Kościół katolicki wschodniego obrządku w Zachodniej Ukrainie? Zaaranżowali synod cerkiewny, który ,,dobrowolną uchwałą" skasował Unię z Rzymem i prosił o przyjęcie wiernych i duchowieństwa na łono moskiewskiej cerkwi prawosławnej. Któż oprócz komunistów umie urządzać takie sztuczki? Metropolitę, biskupów i opornych księży wysłano jako sabotażystów i szpiegów na Sołówki, i wszystko było w porządku. Kiedy naziści palili synagogi, cały świat trząsł się (i słusznie) z oburzenia. Ale nad likwidacją Cerkwi grecko-katolickiej, która miała na tych terenach kilkuwiekową tradycję i liczyła kilka milionów wiernych, postępowe koła Zachodu przeszły do porządku.

Czy wobec takich metod, obliczonych na naiwność i słabość Zachodu, można się dziwić, że przeciętny zachodni demokrata nienawidzi tylko hitleryzmu, a jest pobłażliwy wobec komunizmu? Do wszystkich wyżej wymienionych powodów tej pobłażliwości dołączył się w ostatnich latach jeszcze jeden: strach. Strach przed bombą atomową i przed pociskami międzykontynentalnymi.

André Gide, którego trudno posądzać o sympatie do hitleryzmu, pisał: ,,Wątpię, aby w jakimkolwiek kraju — nawet w hitlerowskich

Niemczech — umysł i duch ludzki był mniej wolnym, bardziej pogwałconym, bardziej sterroryzowanym i ujarzmionym, jak w Związku Sowieckim". Po co głosić wyższość komunizmu nad hitleryzmem, kiedy moralnie wart Pac Pałaca i Pałac Paca, a politycznie niebezpieczeństwo komunizmu okazało się groźniejsze?

Wschodnio-europejscy emigranci nie mają innego wyboru: muszą być albo „mandarynami" antykomunistycznymi, albo zwiększać szeregi „imbecilic foreign admirers", porażonych jurydycznym kretynizmem.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Milena RUDNICKA

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2 *trimestre* 1960

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th t., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », errano 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd.,Daking ouse, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-saky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr onta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia ietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga wirska,** rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Ugan-a), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	2,50 NF	13 NF	26 NF
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, msterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., oronto 3, Ont. lub c/0 **Polish Voice,** 1089 Queen St. /. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Avenue, I.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Ra-omski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU -0829; **Roman J. Sas-Babczynski,** 64 Indian Rd., Toronto , Ont., Tél.: LE 4-1407; **Vatra Trade,** 273 1/2 Selkirk v., Winnipeg 4, Man.; **«Zwiazkowiec »,** 1475 Queen . W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, p. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon-erstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NOWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, enève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	2,50 fr. s
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV ockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan v., Albany, N.Y., **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 1 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew ssetynski,** 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; **S. ziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; .**K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, ass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, hio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,**2109 Robin-ood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford errace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey . Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** 136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 5 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 emphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book nporting Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. W. 2.0890	75 cent.	4 dol. z	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, attersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, int. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
**Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maison-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94**

Nowości

BIBLIOTEKA "KULTURY":

TOM LI

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

SKRZYDŁA OŁTARZA

OPOWIADANIA

Jedno z nich: ,,Wieża'' otrzymało Nagrodę Literacką ,,Kultury'''' za rok 1958

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh., $ 1,50)



TOM LII

HALSZKA GUILLEY-CHMIELOWSKA

SPOTKANIA NA GALERII

POWIEŚĆ

Nagroda Literacka ,,Kultury'' za rok 1959.

Cena egzemplarza 9 NF (13 sh., $ 2,—)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 2,50 NF